

Rex Stout

Śmierć Na Głuszcowym Wzgórzu

Death of a Dude
Przełożył Marek Cegiela

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W nagłówku umieściłem inicjały N.W., a podpisałem się A.G. Od lat prawie wszystkie listy do Nero Wolfe'a pisałem na kartkach z notatnika, które Fritz zanosił na tacy do jego pokoju na górze wraz ze śniadaniem albo sam kładłem mu wieczorem na biurku po powrocie z zadania, kiedy, już leżał w łóżku. Wszystkie zaczynały się i kończyły inicjałami, więc i ten nie stanowił wyjątku, chociaż był napisany na Underwoodzie stojącym na stoliku w kącie dużego pokoju domu Lily Rowan na jej rancho i znajdował się w kopercie lotniczej, którą w to sobotnie przedpołudnie wsunąłem do skrzynki na pocztę w Timberburgu, stolicy okręgu. U góry, przez całą szerokość arkusza, biegł nadruk *Rancho Bar J.R., Lame Horse, Montana*, wykonany dużymi literami, ale nie tak elegancki jak na papeterii z adresem nowojorskiego mieszkania Lily na dachu budynku. Pod nadrukiem znajdowały się następujące słowa:

piątek, 2 sierpnia 1968 r.
godz. 20.13

N.W.

Mamy tu prawdziwy klops i jestem w kropce. W czasie poniedziałkowej rozmowy przez telefon nie wchodziłem w szczegóły, bo ktoś z centrali może współpracować z szeryfem lub prokuratorem okręgowym (w Nowym Jorku byłby to prokurator dzielnicowy), a nawet niewykluczone, że telefon pani Rowan jest na podsłuchu. Nowinki techniczne zapewne tu docierają.

Ponieważ Ty nigdy niczego i nikogo nie zapominasz, musisz więc pamiętać Harveya Greve'a, który będąc kiedyś w Twoim biurze powiedział Ci, że kupił mnóstwo żywego inwentarza: koni, krów i cieląt dla Rogera Dunniga, czym się mu bardzo przysłużył. Chyba Ci wspominałem, że od czterech lat prowadzi farmę pani Rowan, a raczej prowadził do ostatniej soboty, kiedy to oskarżono go o morderstwo i zamknięto w areszcie okręgowym. Pewien wczasowicz, niejaki Philip Brodell, został zabity dwoma strzałami, jednym z tyłu, a drugim z przodu, kiedy zbierał jagody. Jak Ci już mówiłem, górskie jagody są inne. Tym razem postaram Ci się trochę przywieźć.

Pani Rowan i ja uważamy, że Harvey tego nie zrobił, a ja jestem w kropce. Gdyby się jednak okazało, że to mimo wszystko on, wówczas wrócę, co miałem zrobić przedwczoraj, i na stałe zajmę się odkurzaniem Twojego biurka. Pani Rowan wzięła pewnego adwokata z Heleny, który znany jest od Gór Skalistych aż po Małą Missouri, więc to niby jego kłopot. Podejrzewam jednak, że patrzy na tę sprawę inaczej niż my. Moim zdaniem nie wkłada w nią serca. Ja natomiast tak, i mogę postawić pięćdziesiąt przeciwko jednemu, że Harvey jest czysty. Widzisz więc, jak to wygląda — jestem zajęty. Gdybym nawet nie miał żadnych zobowiązań wobec pani Rowan, jako jej gość i stary znajomy, to zbyt długo i za dobrze znam Harveya Greve'a, by się złamać i zostawić go w tarapatkach.

Od trzydziestego pierwszego lipca, czyli od przedwczoraj, jestem oczywiście na bezpłatnym urlopie. Mam nadzieję niedługo wrócić, lecz jeszcze nie wiem, kto zamiast Harveya powinien siedzieć w pudle, a obecnie sprawa tak się przedstawia, że musi to być osoba — wybac mi takie określenie — z dobrymi referencjami. Jeśli chcesz, miejsce przy moim biurku może zająć Saul czy Orrie. Wszystkie ściśle osobiste rzeczy są na górze, u mnie w pokoju, więc nic nie grozi moim sekretom. Telewizja często tu wysiada, muszę zatem wrócić przed rozgrywkami o mistrzostwo świata. Pozdrów ode mnie Theodore'a i powiedz Fritzowi, że codziennie, kiedy się budzę, zawsze o nim myślę — tęsknię za śniadaniem w jego kuchni. Tutejsze naleśniki przypominają gumę, a jedzenie ich jest torturą.

A.G.

Jak dostanie ten list, prawdopodobnie w poniedziałek, odchyli się do tyłu i przez dobre dziesięć minut będzie wpatrywał się w mój fotel.

Po wyjściu z poczty spojrzałem na listę zakupów. Timberburg ma zaledwie 7463 mieszkańców, ale jest największym miastem między Heleną a wodospadem Niagara, i po zakupy przyjeżdżają tu ludzie z ogromnego obszaru, który rozciąga się od rzeki Fishtail na zachodzie, gdzie zaczynają się góry, po tak płaskie równiny na wschodzie, że kojota widać z odległości trzech kilometrów. W ciągu mniej więcej godziny miałem już i wszystko z mojej listy. Zatrzymałem się tylko cztery razy na głównej ulicy i dwukrotnie na bocznych. Lista obejmowała:

Tytoń fajkowy „Big Six Mix” dla Mela Foxa, który z powodu aresztowania Harveya jest zbyt zajęty na farmie, żeby sam jeździł po zakupy.

Packi na muchy dla Pete’a Ingallsa. Nigdy nie wkłada nogi w strzemię bez packi wiszącej przy siodle. Używa jej do zabijania końskich much.

Taśmę do maszyny do pisania.

Tubkę pasty do zębów i pasek dla siebie. Mój najlepszy pasek pogryzł jeź, kiedy... ale to długa historia.

Kieszonkową lupę i notes dla siebie do celów zawodowych. W Nowym Jorku nigdy nie wychodzę służbowo bez tych dwóch przedmiotów, a właśnie teraz miałem wykonać zadanie. Prawdopodobnie w ogóle nie będę z nich korzystał, ale to siła przyzwyczajenia. Psychologia.

Na koniec wstąpiłem do biblioteki publicznej, żeby zajrzeć do książki, której mogło tam nie być, lecz była — *Kto jest kim w Ameryce*. Wprawdzie nie najnowsze wydanie z lat 1968–69, wystarczyło mi jednak poprzednie. Nie znalazłem hasła poświęconego Philipowi Brodellowi, natomiast notatka dotycząca jego ojca, Edwarda Ellisa Brodella, zajmowała około jednej trzeciej szpalty. Wiedziałem, że jeszcze żyje, bo zamieniłem z nim parę słów przed tygodniem, kiedy przyjechał, by się czegoś dowiedzieć, trochę narozrabiał i zabrał ciało syna do domu. Urodzony w St. Louis w 1907 roku, nieźle sobie radził, a obecnie był właścicielem i wydawcą „Star Bulletin” w tym mieście. *Kto jest kim* nie podawało, kto mógłby zabić mu syna.

Ze wszystkimi zakupami w papierowej torbie, o którą poprosiłem w sklepie, żeby włożyć do niej packi na muchy, nie byłem zbyt obciążony, gdy kwadrans po dwunastej wszedłem do Continental Cafe i rozejrzałem się po sali. Przy stoliku w głębi zauważyłem atrakcyjną kobietę w oliwkowej bluzce i ciemnozielonych spodniach. Ruszyłem ku niej.

— Albo jesteś taki szybki, albo nie kupiłeś wszystkiego — powiedziała, kiedy już tam dotarłem i odsuwałem krzesło.

— Dostałem wszystko — odparłem i siadając postawiłem torbę na podłodze. — Może nie jestem taki szybki, ale mam fart. — Kiwnąłem głową w stronę jej szklanki z martini. — Carson?

— Nie. Nie mają. Tylko mi nie mów, że każdy dzin smakuje tak samo. Jest grochówka.

Ucieszyła mnie ta wiadomość, jedynie bowiem z tego dania kucharz w Continentalu miał prawo być dumny. Zjawiła się kelnerka i przyjęła zamówienie: dwie podwójne zupy, mnóstwo krakersów, jedno mleko i jedną kawę. Kiedy czekaliśmy na to wszystko, sięgnąłem do torby po pasek i lupę, by udowodnić Lily, że Timberburg nie jest gorszy od Nowego Jorku, jeśli się czegoś potrzebuje.

Grochówka spełniła nasze oczekiwania. Kiedy miski były już prawie puste, a z krakersów zostały resztki, powiedziałem:

— Nie tylko wszystko kupiłem, ale również wygrzebałem pewne fakty z *Kto jest kim* w bibliotece publicznej. Dziadek Philipa Brodella miał na imię Amos, ojciec zaś należy do trzech klubów, a jego żona z domu nazywa się Mitchell. To przełom. Prawdziwy postęp.

— Moje gratulacje — odparła Lily, biorąc krakersa. — Należy to przekazać Jessupowi. Jesteś świetnym psychologiem, ale co, u licha, dała ci ta lektura?

— Nic. Kiedy jednak człowiek ma trudności, próbuje robić rzeczy, które nic nie dają, ale raz na rok się zdarza, że coś z tego wynika. — Przełknąłem ostatnią łyżkę zupy. — Muszę ci coś powiedzieć.

— Dobrze. O czym?

— O tym, jak się sprawy mają. Posłuchaj, Lily. Jestem dobrym detektywem z ogromnym doświadczeniem, lecz od aresztowania Harveya minęło już sześć dni, a ja nie posunąłem się nawet o krok. Ani ani. Nie wiem, od czego zacząć. Może nie jestem taki cwany, jak mi się wydaje, ale też fakt, że znajduję się w gorszej sytuacji. Nie pochodzę stąd, jestem obcy. Owszem, nadają się na posyłki, można ze mną łowić ryby, grać w bezika, a nawet zatańczyć, w sprawie morderstwa jednak traktuje się mnie jak obcego. Cholera, przyjeżdżałem tu tyle razy i znam Mela Foxa od lat, a nawet on jest ze mną ostrożny. Wszyscy tak się zachowują, bo mają mnie za obcego. Przecież w Helenie muszą być jacyś prywatni detektywi i chyba wśród nich znajdzie się jeden dobry. Tutejszy. Dawson na pewno będzie wiedział.

Lily odstawiła filiżankę z kawą.

— Proponujesz, żebym wynajęła ci do pomocy kogoś miejscowego?

— Nie do pomocy. Jeśli jest dobry, to nie będzie mi pomagał. Po prostu się tym zajmie.

— Aha. — Otworzyła szerzej swoje błękitne oczy i wbiła we mnie wzrok. — Wyjeżdżasz.

— Nie, nie wyjeżdżam. W liście, który przed chwilą wysłałem do Wolfe'a, napisałem, że mam nadzieję wrócić dopiero na rozgrywki o mistrzostwo świata. Zostaję i coś robię, ale, do cholery, moje szanse są znikome. Proponuję tylko, że może powinnaś się z tym zwrócić do Dawsona.

— No rzeczywiście, rybeńko. — Jej spojrzenie złagodniało, a oczy już się uśmiechały. — Czyż nie jesteś jednym z dwóch najlepszych detektywów w świecie?

— O, z pewnością. W moim świecie, ale tu jest inny świat. Nawet Dawson, nie zauważyłaś? Dałaś mu dziesięć patyków zaliczki, a jak on mnie traktuje? Musiałaś zauważyć.

Skinęła głową.

— To tylko jedna z łagodniejszych odmian ksenofobii. Ty tu jesteś obcy i ja tu jestem obca.

— Ty to co innego. Masz tu farmę.

— Cóż... — Podniosła filiżankę, zajrzała do niej i uznawszy, że kawa jest za zimna, odstawiła ją z powrotem. — Szkoda, że nie można wyciągnąć Harveya z aresztu za kaucją, ale Mel radzi sobie z gospodarstwem... na razie. Ile mamy czasu?

— Z tego, co mówi Jessup, jakieś dwa, trzy miesiące, dopóki Harvey nie stanie przed sądem i nie otrzyma wyroku.

— A do mistrzostw świata zostały dwa miesiące. Wiesz, Archie, moje prywatne zdanie o tobie nie ma tu nic do rzeczy. Nie tylko jesteś lepszy od miejscowych detektywów, ale również doskonale wiesz, że Harvey nikomu by nie strzelił w plecy. Po tygodniu czy dwóch węszenia tutejszy detektyw doszedłby do wniosku, że to jednak Harvey. Dawson też tak uważa. Przyznasz, że mam rację.

— Zwykle ją masz, choć nie zawsze.

— Czy mogę więc dostać trochę gorącej kawy?

W mojej szklance nie było już mleka, wobec czego i ja wziąłem sobie kawę. Kiedy skończyliśmy i zapłaciłem rachunek, ruszyliśmy do wyjścia, odprowadzani spojrzeniami

około dwudziestu osób, a w przybliżeniu dwadzieścia innych udawało, że nie patrzy. Mieszkańców okręgu Monroe bardzo poruszyła śmierć Philipa Brodella. Ich stosunek do obcych nie sprzyjał nawiązywaniu braterskich kontaktów, ale przecież wczasowicze przywozili do Montany i zostawiali tu mnóstwo pieniędzy, nie powinno się więc do nich strzelać, kiedy zbierają jagody. Zatem spojrzenia, osób patrzących na mnie i Lily nie były przyjazne — to właśnie zarządca jej farmy pociągnął za spust. Dla nich tak to wyglądało.

Na parkingu za kawiarnią umieściłem torbę z tyłu kombi Lily, wśród zakupów, które zrobiła, a potem zająłem miejsce kierowcy. Lily siedziała wyprostowana, nie dotykając plecami oparcia rozpalonego promieniami sierpniowego słońca; moje znajdowało się w cieniu. Z postoju wyjechałem tyłem. Jedną z najważniejszych rzeczy, które odróżniają mnie od Lily, jest to, że ja parkuję samochód tyłem, by przy wyjeździe się nie cofać, ona zaś odwrotnie.

Tylko dwie przecznice dalej była stacja benzynowa Presto, gdzie skręciłem i zatrzymałem się koło dystrybutora. Według wskaźnika miałem jeszcze pół baku benzyny, a poza tym litr paliwa tankowanego na farmie kosztował dwa centy mniej, ale chciałem, żeby Lily obejrzała sobie niejakiego Gilberta Haighta, który w tym czasie mógł tam być, i był. Ten chudy młodzian o flakowatych członkach i długiej szyi miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu; akurat wycierał przednią szybę jakiegoś samochodu. Lily musiała odwrócić głowę, by mu się przyjrzeć, gdy ja tymczasem kazałem innemu pracownikowi nalać „specjalnej” do pełna. Kiedy tamten samochód odjechał, chłopak stał i gapił się na nas przez jakieś pół minuty, a później podszedł do otwartego okna z mojej strony.

— Ładny ranek — rzekł.

Właściwie nie powiedział „ładny ranek”, lecz „śliczny ranek”, ale nie zamierzam prezentować tu miejscowej gwary, przynajmniej nie za często. Pragnę jedynie zrelacjonować, co się wydarzyło, a takie wyrażenia tylko by to skomplikowały i opóźniły.

Nie chcąc być niegrzeczny zgodziłem się, że jest „śliczny ranek”, chociaż południe minęło dobre pół godziny temu.

— Ojciec powiedział, żebym z panem nie rozmawiał — oświadczył chłopak.

Skinałem głową.

— Musiał — stwierdziłem wiedząc, że jego ojciec, Morley Haight, jest w tym okręgu szeryfem. — Właściwie mnie też powiedział, żebym z nikim nie rozmawiał, ale ja nie mogę się odzwyczaić, bo z tego żyję.

— Mhm, pan jest gliniarzem.

Pewnie radio i telewizja rozsiewają takie plotki.

— Ja nie. Gliniarzem jest twój ojciec. Ja jestem prywatnym detektywem. Gdybym cię zapytał, co robiłeś w zeszły czwartek, mógłbyś odpowiedzieć, że to nie mój interes. Kiedy twój ojciec zadał mi to pytanie, ja mu tak odpowiedziałem.

— Wiem. — Przeniósł wzrok na Lily, a potem znowu spojrzał na mnie. — Dopytywał się pan o mnie, więc od razu sam się zgłaszam, żeby oszczędzić panu kłopotów.

— Jestem bardzo wdzięczny.

— Ja nie zabiłem tego typu.

— W porządku. To właśnie chciałem wiedzieć, bo zawęza grono podejrzanych.

— Pan mnie obraża. Proszę posłuchać. — Nie przejmował się obecnością swojego kolegi, który już wlał mi benzynę i stał obok. — Pierwszy strzał, w plecy, trafił go w ramię i obrócił. Drugi strzał, z przodu, trafił go w szyję, złamał mu kark i go zabił. Niech pan posłucha. Dla mnie to obraża. Na jelenia zawsze wystarczał mi jeden nabój. Każdy to panu powie. Z trzydziestu metrów jednym strzałem rozwalam głowę wężowi. Za każdym razem. Ojciec nie pozwolił mi z panem rozmawiać, ale chciałem, żeby pan to wiedział.

Odwrócił się i ruszył w stronę samochodu, który podjeżdżał do drugiego dystrybutora. Jego kolega zrobił krok w moim kierunku.

— Dwa sześćdziesiąt trzy.

Sięgnąłem po portfel.

Kiedy ponownie znaleźliśmy się na drodze, jadąc na północny zachód, zapytałem Lily:

— No i co?

— Pasuję — odparła. — Chciałam mu się przyjrzeć, i tyle, ale sam mi kiedyś mówiłeś, jaka to głupota zakładać, że obejrzenie kogoś może się przyczynić do ustalenia, czy jest mordercą. Nie chcę wyjść na głupka i dlatego pasuję. Ale co on powiedział? Że to go obraża?

— A, o to ci chodzi. — Przy rozwidleniu dróg skręciłem w prawo. — On bardzo dobrze strzela. Trzy osoby mi to mówiły. Każdy dureń wie, że jeśli chce się kogoś zabić, a nie tylko zranić, wówczas nie celuje się w ramię. Ani w szyję. Może jednak on jest sprytny. Mógł założyć, że skoro wszyscy go znają jako dobrego strzelca, to należy tak to zrobić, by wyglądało, że to nie on. Miał mnóstwo czasu, żeby to sobie obmyślić.

Zastanawiała się nad tym przez kilka kilometrów, a potem spytała:

— Jesteś pewien, że on wiedział, kto... że Brodell był ojcem jej dziecka?

— Przecież, u licha, wszyscy o tym wiedzą, nie tylko w Lame Horse. Oczywiście wiedzą również, że Gil na nią leciał. W zeszły wtorek... nie, w środę... wspomniał komuś, że chce się z nią ożenić i że to zrobi.

— To ci dopiero miłość. Uważaj, tu będzie ostry zakręt.

Odparłem, że wiem.

Trzydzieści osiem kilometrów drogi z Timberburga do Lame Horse pokrywał asfalt z wyjątkiem dwóch krótkich odcinków — jednego w głębokim parowie, a drugiego tam, gdzie zimą spadające skały tak niszczyły nawierzchnię, że zrezygnowano z jej naprawiania. Początkowo, przez kilka kilometrów od Timberburga widziało się trochę drzew i krzaków, a potem, do końca drogi tylko poszarpane góry.

Lame Horse miało w przybliżeniu stu sześćdziesięciu mieszkańców. Asfalt kończył się dokładnie przed sklepem z towarami mieszanymi Wawtera, ale droga biegła dalej łagodnym łukiem w lewo. Zakupy zrobiliśmy w Timberburgu, więc się nie zatrzymałem, bo już niczego od Wawtera nie potrzebowaliśmy. Pozostało nam cztery i pół kilometra od miejsca, gdzie skręcało się na farmę Lily, a stamtąd mieliśmy jeszcze trzysta metrów do jej domu. Na tym pięciokilometrowym odcinku drogi różnica poziomów wynosiła prawie siedemset metrów. (‘hcąc dostać się do budynków gospodarskich, należało przejechać przez most nad potokiem Berry, tworzącym lulaj wielkie zakole, wewnątrz którego stał dom, tylko kilkaset metrów od granicy farmy. By dotrzeć do budynków gospodarskich pieszo, trzeba przejść na drugi brzeg potoku albo po moście, albo znacznie krótszą drogą przez płyciznę tuż za domem. W sierpniu w jednym |, miejscu można przejść suchą nogą po kamieniach, H raczej przeskakiwać po głazach.

Moje ulubione miejsce na ziemi znajduje się w odległości siedmiominutowego spaceru od domu Nero Wolfe’a przy Trzydziestej Piątej Zachodniej, gdzie mieszkam, a miejscem tym jest plac Herald. W ciągu dziesięciu minut można tam spotkać więcej najrozmaitszych ludzi niż gdziekolwiek indziej. Pewnego dnia widziałem, jak jakiś ważniak z mafii puścił przed sobą nauczyciela szkoły niedzielnej z Iowy, wchodząc w obrotowe drzwi największego domu towarowego na świecie. Gdyby ktoś mnie zapytał, skąd wiem, że to byli właśnie oni, nie umiałbym odpowiedzieć, ale przynajmniej tak wyglądali. Jednakże osobom, które mają dość hałasu i ludzi, polecałbym łąkę, gdzie stoi dom Lily Rowan. Przyznaję, ta nie jest tam zupełnie cicho, bo potok szumi, płynąc między skałami zagrządzającymi mu drogę, ale po kilku dniach można się przyzwyczaić. Strzeliste jodły rosną trochę wyżej, lecz wokół jest mnóstwo drzew, przeważnie sosen. Niżej nad potokiem leży Bobrowa Łąka, a w jego górnym biegu, w miejscu, gdzie znów skręca na północ, jest skała, której szczytu nie widać z tego brzegu. Jeśli ktoś chce sobie potrenować rzucanie kamieniami do susłów, wystarczy trzypięciominutowy spacer aleją do drogi.

Dom jest oczywiście drewniany i parterowy. Z kamiennego tarasu pod dachem wchodzi się do izby szerokości dziesięciu i długości szesnastu metrów, z trzymetrowym kominkiem w głębi — to pokój dzienny. Po prawej stronie jest dwoje drzwi: jedno do sypialni Lily, drugie do pokoju gościnnego. Drzwi z lewej strony prowadzą do długiego korytarza, przy którym jest najpierw kuchnia, dalej pokój Mimi, potem wielka spiżarnia, a następnie jeszcze trzy pokoje gościnne. Dom ma sześć łazienek z wannami i prysznicami. Dywany we wszystkich pokojach są dziełem Indian, a na ścianach, zamiast obrazów, wiszą indiańskie derki i tkaniny. Trzy z nich w dużym pokoju to autentyczne *bayetas*. W całym domu na widoku jest tylko jedno zdjęcie — oprawiona fotografia na fortepianie, przedstawiająca rodziców Lily — jedna z niewielu rzeczy, jakie wozi ze sobą w tę i we w tę między Nowym Jorkiem a farmą.

Kuchnia i spiżarnia były miejscem przeznaczenia części zakupów, które Lily zrobiła w Timberburgu. Obładowani, skróciliśmy sobie drogę, obchodząc taras, by skorzystać z drzwi prowadzących bezpośrednio do korytarza. Ciemnooka piękność o szpiczastej brodzie, opalająca się w fotelu na skraju tarasu, nie zaoferowała nam swojej pomocy, choć pomachała do nas wdzięcznie, kiedy wysiadaliśmy z samochodu. Jej dwuczęściowy kostium miał zaledwie kilkanaście centymetrów kwadratowych powierzchni, tak że było widać mnóstwo gładkiej opalanej skóry. Odniosłszy zakupy do kuchni i spiżarni, Lily wróciła do samochodu po resztę rzeczy, które tam zostały. Wówczas zaparkowałem go tyłem między sosnami i wziąłem swoją papierową torbę. Lily zatrzymała się przy fotelu dziewczyny i podała jej jedną z paczek.

Dziewczyna nazywała się Diana Kadany. Mogła być wszystkim: od zmęczonej pracowniczki opieki społecznej po znaną kompozytorkę pewnego rodzaju muzyki, bez którego potrafię żyć. W tym roku było troje gości, łącznie ze mną, a właśnie tyłu przeciętnie przyjeżdżało. Któregoś dnia rozmawialiśmy o Dianie Kadany, stojąc nad drugim rozlewiskiem i łowiąc pstrągi na kolację. Powiedziałem, że moim zdaniem ona ma dwadzieścia dwa lata, Lily zaś stwierdziła, że dwadzieścia pięć. Ostatniej zimy Diana odniosła pewien sukces w drugorzędym widowisku z muzyką tego rodzaju, o jakim wspomniałem wyżej, a została zaproszona tylko dlatego, że Lily miała w tym interes, zaangażowała się bowiem w to przedstawienie finansowo. Lily oczywiście wiele ryzykowała, zapraszając do siebie na miesiąc osobę zupełnie jej nie znaną, ale nie było tak źle. Diana okazała się tylko nieznacznie uciążliwa — uwodziła wszystkich mężczyzn, którzy jej się nawinęli, a pod ręką miała jedynie Wade'a Worthy'ego i mnie.

Kiedy szedłem do siebie przez duży pokój, a moje drzwi znajdowały się na końcu po prawej stronie, Wade Worthy siedział przy stoliku w kącie, waląc w maszynę do pisania. On był tym trzecim gościem, lecz szczególnego rodzaju: przyjechał tu do pracy. Od dwóch lat Lily gromadziła materiały o swoim ojcu, a kiedy uzbierała ich z tonę, zaczęła rozglądać się za kimś, kto mógłby napisać książkę. Sądziła, że z pomocą jej znajomego, który był redaktorem w Parthenon Press, zajmie to tydzień, ale przeciągnęło się prawie do trzech miesięcy. Spośród dwudziestu dwóch kandydatów, profesjonalnych pisarzy, trzech zajmowało się swoimi własnymi książkami, czterech się do tego przygotowywało, dwóch leżało w szpitalu, jeden miał zbyt wielkiego fioła na punkcie Wietnamu, żeby rozmawiać o czymś innym, trzech przebywało za granicą, jeden eksperymentował z LSD, dwóch było republikanami i nie chciało pisać u facecie, który zbił majątek na kanalizacji i kładzeniu chodników, jeden potrzebował roku na powzięcie decyzji, trzech odmówiło, nie podając żadnego powodu, jeden akurat się zastanowił, czy nie przerzucić się na beletrystykę, a jeden był pijany.

Wreszcie w maju Lily i temu redaktorowi udało się nu mówić Wade'a Worthy'ego. Jego nazwisko, zdaniem redaktora, było całkowicie nieznanne w kręgach literackich jeszcze przed trzema laty, kiedy to wyszła napisana przez niego biografia Abbotta Lawrence'a Lowella. Miała średnie powodzenie, lecz jego druga książka, o Heywoodzie Brounie, zatytułowana *Głowa i serce*, niemal znalazła się na liście bestsellerów. Przekonała go spora zaliczka, Lily

bowiem zaoferowała mu połowę całego honorarium, co bardzo nie podobało się redaktorowi, i oto Wade Worthy siedział przy maszynie, pracując nad szkicem. Już wymyślił tytuł: *Charyzma tygrysa: życie i dzieło Jamesa Gilmore'a Rowana*. Lily miała nadzieję sprzedać tyle egzemplarzy, ile liczyło sobie stado buhajów z wypalonym na skórze znakiem „Bar J.R.” J.R. to inicjały Jamesa Rowana.

Znalazłszy się w swoim pokoju, opróżniłem torbę, założyłem pasek, odniosłem do łazienki pastę do zębów, notes i lupę wsadziłem do kieszeni, a później z pozostałymi trzema zakupami wróciłem do dużego pokoju, by wręczyć taśmę do maszyny Wade'owi Worthy'emu. Lily siedziała na tarasie z Dianą Kadany. Powiedziałem jej, że biorę samochód, bo chciałbym jechać do Lane Horse albo do Farnhama, a ona poprosiła mnie, żebym nie spóźnił się na kolację. Wsiadłem do samochodu, ruszyłem aleją do drogi, skręciłem w lewo, po trzystu metrach jeszcze raz w lewo, znalazłem się na moście nad potokiem, potem przejechałem przez otwartą bramę, która zwykle była zamknięta, minąłem zagrody dla zwierząt, dwie stodoły i baraczek, przez Pete'a Ingallsa nazywany sypialnią, i zatrzymałem się przed domem Harveya Greve'a, na skraju dużego placu, pokrytego zakurzonym żwirem, z drzewem w samym środku.

ROZDZIAŁ DRUGI

Mógłbym powiedzieć mnóstwo rzeczy o farmie Bar J.R. — ile ma hektarów, jakie jest pogłowie zwierząt, jak wysiewano lucernę metodą prób i błędów (przeważnie błędów), o kłopotach z ogrodzeniem, trudnościach z księgowością i wypasem na otwartym terenie, itp. itd. — ale to nie ma nic wspólnego z martwym wczasowiczem ani z uwolnieniem Harveya. Jednakże osoba, która ukazała się za ażurowymi drzwiami, gdy wysiadłem z samochodu, miała z tym coś wspólnego. Kiedy się zbliżyłem, otworzyła drzwi. Wszedłem.

Jeszcze nigdy nie spotkałem dziewiętnastoletniego chłopca, który sprawiałby wrażenie, że wie coś, czego ja nie mógłbym rozgryźć, ale znam trzy takie dziewczyny, mniej więcej w tym wieku. Jedną z nich jest mała Alma Greve. Nie pytajcie mnie, czy to jej brązowe, głęboko osadzone oczy, zazwyczaj lekko przymrużone, czy grymas ust, które jakby się uśmiechały, ale nigdy tego nie robią, czy coś innego, bo po prostu nie wiem. Kiedy przed dwoma laty wspomniałem o tym Lily, powiedziała:

— O, daj spokój. To nie w niej, a w tobie. Dla mężczyzny każda ładna dziewczyna, jaką zobaczy, jest albo obiektem pełnym tajemnic, albo niewiniątkiem, które chciałby... mmm... pouczać. Tak czy inaczej, zawsze się myli. W twoim wypadku dziewczyna rzadko jest tajemnicza, czyż bowiem istnieje cokolwiek, czego ty byś nie potrafił rozgryźć?

Wówczas cisnąłem w nią bukietem ostów.

Spytałem Alnę, czy ktoś jest w domu. Odpowiedziała, że jej matka ucina sobie drzemkę, a dziecko śpi. Z kolei ona zapytała, czy jej matka prosiła mnie o packi na muchy, więc zaprzeczyłem i poinformowałem ją, że to dla Pete'a.

— Może byśmy tak usiedli i zamienili parę słów? — zaproponowałem.

Stała zadzierając głowę, bo była niższa ode mnie o ponad dwadzieścia centymetrów.

— Mówiłam już, że się nagadałam — odparła. — Ale niech ci będzie.

Odwróciła się i zaprowadziła mnie do pokoju frontowego, który można by nazwać salą trofeów. Harvey i jego żona Carol byli niegdyś gwiazdami rodeo i mieli ściany obwieszane zdjęciami przedstawiającymi jego, jak mociuje się z bykami, oraz ich oboje, jak ujeżdżają dzikie konie i pętają cielęta. Były tam również wstęgi i medale, które zdobyli, a na stole, w szklanej gablocie znajdował się wielki srebrny puchar z wygrawerowanym nazwiskiem Harveya; zdobył go któregoś roku w Calgary. Alma podeszła do kanapy przy kominku i usiadła, zakładając nogę na nogę, a ja skorzystałem z pobliskiego fotela. Miała na sobie spódniczkę mini — nigdy nie nosiła szortów — lecz jej nogi prezentowały się gorzej niż Diany, zarówno pod względem długości, jak i klasy, choć nie były całkiem złe.

— Wyglądasz wspaniale — rzekłem. — Spałaś?

Skinęła głowę.

— Zaczynaj bez wstępów. Możesz sobie na mnie pojeździć. Już jestem osiodłana.

— Ale gryziesz wędzidło. — Spojrzałem na nią. — Posłuchaj, Almo. Wszyscy bardzo cię lubimy, ale dlaczego nie chcesz zrozumieć, że ktoś zostanie skazany za zabicie Philipa Brodella i że tym kimś będzie twój ojciec, jeżeli nie dokonamy cudu?

— Tu jest Montana — powiedziała.

— Taa. Stan skarbiec. Pełen srebra i złota.

— Mój ojciec wcale nie zostanie skazany, bo tu jest Montana. Zwolnią go.

— Kto ci to powiedział?

— Nikt mi nie musiał mówić. Ja się tu urodziłam.

— Trochę za późno. Jeszcze pięćdziesiąt lat temu, a nawet mniej, ława przysięgłych w Montanie może by nie uznała za winnego człowieka, który zabił tego, co uwiódł mu córkę. Ale nie dzisiaj, choćbyś nawet zjawiała się w sądzie z dzieckiem i oświadczyła, że jesteś zadowolona ze śmierci tego człowieka. Postanowiłem powiedzieć ci wszystko, co myślę.

Uważam, że domyślasz się, albo nawet po prostu wiesz, kto go zabił, lecz nie chcesz, by ta osoba za to odpowiadała, i sądzisz, że twój ojciec nie zostanie skazany, bo nie uznają go za mordercę. Przyznałaś, że śmierć Brodella cię ucieszyła.

— Ja tego nie powiedziałam.

— Bardzo dziwne. Mogę dokładnie powtórzyć twoje słowa. Ty się cieszysz, że on nie żyje.

— Dobra, cieszę się.

— I nie chcesz, żeby ktoś został za to skazany. Być może masz powody sądzić, że zabił go na przykład Gil Haight. Gil twierdzi, że wówczas cały dzień spędził w Timberburgu, powiedział to kilku osobom. Może ty jednak wiesz, że było inaczej? Może tego dnia przyszedł tutaj i wygadywał różne rzeczy? Stąd jest tylko parę kilometrów do miejsca, gdzie zastrzelono Brodella, a Gil miał broń w samochodzie. Ty jednak nie chcesz tego ujawnić, bo uważasz, że twój ojciec zostanie zwolniony a jeśli nie, jeżeli otrzyma wyrok za morderstwo i pójdzie do więzienia, to dopiero wówczas powiesz to, co wiesz, żeby go uwolnić. Ale to może ci się nie udać z kilku powodów. Po pierwsze, nikt ci nie uwierzy. Jeśli jednak powiesz mi to teraz, wezmę sprawę w swoje ręce i zobaczymy, co się da zrobić. Gil ma takie same szanse jak twój ojciec. Jest stąd, ma czystą kartotekę i chciał się z tobą ożenić, a kiedy tego lata znów pojawił się człowiek, który cię uwiódł przed rokiem, stracił głowę. Ma co najmniej takie same szanse jak twój ojciec, może nawet większe.

Za otwartymi drzwiami, nie tymi do korytarza, coś się poruszyło, jakby dziecko kopnęło w łóżeczko. Alma odwróciła głowę, lecz dźwięk się nie powtórzył.

— Tamtego dnia Gila tu nie było.

— Ja wcale nie powiedziałem, że był, to tylko przypuszczenie. Są jeszcze inne możliwości. Ktoś mógł popełnić to morderstwo z innych powodów, które nie mają nic wspólnego z tobą. W takim wypadku to by się wiązało z jakimś ubiegłorocznym wydarzeniem, bo w tym roku Brodell był tu zaledwie trzy dni. Jeżeli to jest coś z zeszłego roku, na przykład jakiś problem z Farnhamem, może ci o tym wspominał? Kiedy mężczyzna jest na tyle blisko z kobietą, żeby zrobić jej dziecko, wówczas mówi jej różne rzeczy. Cholera jasna, gdybyś tylko porzuciła ten bzdurny pomysł, że twój ojciec zostanie zwolniony, i bardziej skoncentrowała się na „sobie, to może byś mnie naprowadziła na coś, od czego mógłbym zacząć.

Na jej ustach niemal pojawił się uśmiech.

— Uważasz, że ja o tym nie myślę?

— Tak, ale ty myślisz sercem, a nie głową.

— Z całą pewnością myślę głową. — Rozsunęła kolana i wsparła się na nich dłońmi. — Posłuchaj, Archie. Już ci to mówiłam dziesięć razy: uważam, że zabił go mój ojciec.

— A ja ci mówiłem dziesięć razy, że wcale tak nie uważasz. Nie wierzę, żebyś tak myślała. Nie jesteś półgłówkiem, znasz go od dziewiętnastu lat i...

— Ona nie jest półgłówkiem, jest po prostu całkiem głupia — odezwał się jakiś głos.

W drzwiach stała Carol.

— Moja córka, jedyne moje dziecko, a jakie to było szczęście, kiedy się urodziła — powiedziała zbliżając się do nas. — Nie przekonasz jej, ja już zrezygnowałam. — Spojrzała na Almę. — Proszę, idź, wydój mulicę albo zajmij się czymkolwiek. Chciałabym z nim porozmawiać.

Alma nawet nie drgnęła.

— On powiedział, że chce porozmawiać ze mną. A ja właściwie nie mam ochoty na rozmowy. Co to da?

— Absolutnie nic — stwierdziła Carol i usiadła na kanapie w odległości wyciągniętej ręki od Almy.

Wyglądała niechlujnie w zmiętej koszuli, starych brunatnych spodniach do pracy i skarpetkach, ale bez butów. Gdyby nie zmarszczki wokół bystrych brązowych oczu, którymi teraz na mnie patrzyła, miałaby twarz dwudziestoletniej wiejskiej dziewczyny.

— Domyślam się, że się do tego zabrałaś, bo inaczej by cię tu nie było.

— Zgadza się. Widziałaś się wczoraj z Harveyem?

Skinęła głową.

— Tylko przez pół godziny. Morley Haight nie pozwolił na dłużej. Dobrze go znam... Ktoś powinien przytrzeć mu nosa. Może ja...

— Ja ci pomogę. Dowiedziałaś się czegoś od Harveya?

— Nie... nic nowego.

— Chcę cię o coś zapytać. Dziś powiedziałem Lily, że mogłaby poprosić Dawsona, żeby poszukał jakiegoś dobrego prywatnego detektywa w Helenie, który pochodziłby z Montany. Może ludzie jemu by powiedzieli to, czego nie powiedzą mnie. Co o tym sądzisz?

— Zabawne — odparła.

— Co w tym zabawnego?

— Dwie osoby już na to wpadły. Flora i jeden mój znajomy, którego nie znasz. Pytałam wczoraj Harveya, co o tym myśli, ale on się z tym nie zgadza. Powiedział, że żaden detektyw w Helenie nawet w połowie nie jest tak dobry jak ty, a tak czy owak Dawson uważa, że to on zastrzelił tego człowieka, i tak samo będzie myślał każdy, kogo by wynajął. Wiesz, że wszyscy tu tak myślą.

— Nie wszyscy. Nie ten, który go zastrzelił. Dobra, na razie to sobie darujmy. Mówiłaś, że chciałaś ze mną porozmawiać.

Spojrzała na córkę.

— Już nie jesteś moją małą jałoweczką, bo się ocielilaś. Nie mogę cię stąd wygonić. — Wstała i zwróciła się do mnie: — Jeśli pozwolisz, wyjdziemy na dwór.

Alma wstała i chciała coś powiedzieć, lecz zrezygnowała, ruszyła do drzwi i wyszła. Wówczas Carol zamknęła drzwi, wróciła i usiadła na końcu kanapy, żeby być bliżej mnie.

— Może i masz rację co do Almy, a może nie — powiedziała. — Powinna znać swojego ojca, ale chyba nie zna, właśnie dlatego, że to jej ojciec. Pamiętam, jak sama miałam dziewiętnaście lat i też myślałam, że znam swojego ojca, a nie znałam. Zrozumiałam to dopiero wówczas, gdy... a tam, nie ma o czym mówić. Ja ci tylko chciałam powiedzieć, że wpadłam na pewien pomysł, choć nie twierdzę, że dobry.

— Liczy się każdy pomysł, nawet nie najlepszy.

— Chodzi mi o tę parę u Billa Farnhama. Nie o tę z Denver, lecz o tego doktora z Seattle i jego żonę. On chyba jest lekarzem.

Skinąłem głową.

— Doktor medycyny Robert C. Amory i jego żona Beatrice — rzekłem.

— W jakim oni są wieku?

— O, około czterdziestki.

— Jak wygląda ona?

— Jakieś metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i około sześćdziesięciu kilogramów wagi. Nawet niebrzydka. Włosy farbuje na rudo, ale chyba nie zabrała ze sobą tej farby. Próbuje udawać, że jej się tu podoba, ale przyjechała tylko dlatego, że chciała uciec od harówki. On lubi konną jazdę i wędkowanie.

— A jaki jest? Gdyby Brodell się z nią przespał, a on by ich nakrył, to co by zrobił?

— Brodell musiałby działać bardzo szybko. Był tu zaledwie trzy dni.

— Mamy byka, który nie potrzebuje na to nawet jednego dnia.

— Fakt. Wiesz, że już go poznałem. Brodell był inny, ale trzeba przyznać, że to możliwe. Przyznaję również, że ja także o tym pomyślałem we wtorek, cztery dni temu, i zadałem Billowi Farnhamowi parę pytań, którymi poczuł się urażony. Ustaliłem jednak dwa fakty,

które w niczym go nie dotyczą, ale też o niczym nie świadczą. Po pierwsze, że doktor Amory nie ma alibi na tamto czwartkowe popołudnie, ponieważ był nad rzeką sam, a po drugie, że jest kiepskim strzelcem. Miałem nadzieję dowiedzieć się czegoś istotnego, na przykład że wówczas wziął ze sobą broń, na wypadek gdyby spotkał niedźwiedzia, ale Farnham powiedział, że nie.

— Pewnie, że zaprzeczył. Nie chce, żeby któryś z jego wczasowiczów został oskarżony o morderstwo.

— Jasne, ale ja po prostu relacjonuję, co on powiedział, chociaż mu nie dowierzam. Tak samo jak nie lxi rdzo wierzę w to, co mnóstwo osób opowiadało mi w ciągu ostatnich sześciu dni, łącznie z tobą. Przedwczoraj mówiłaś, że nigdy nie widziałaś Philipa Brodella. Czy muszę w to wierzyć?

— Ale to prawda.

— Zeszłego lata był tutaj półtora miesiąca, a to tylko sześć kilometrów stąd.

— Równie dobrze mogłoby być sześćset. Nawet bym wolała. Bill Farnham prowadzi farmę dla wczasowiczów, a tutaj normalnie się pracuje. Harvey i Bill trochę się pokłócili, i ty o tym wiesz. Byłeś tu, kiedy kilka zwierząt znalazło dziurę w ogrodzeniu i uciekło do lasu. Jeden z jego wczasowiczów zastrzelił bukata. Nie bywamy u siebie. Tylko dlatego wiem, że Alma poznała Brodella na zabawie, bo sama mi o tym mówiła. Od zeszłego roku ani razu o nim nie wspomniała, ale skoro nie chcesz wierzyć, że ja go nie widziałam, to nie wier. Rezygnujesz z tego doktora?

— Z nikogo nie rezygnuję. Ciebie nie ma na mojej liście jedynie dlatego, że nic by to nie dało. Przehandlowanie cię za Harveya nie poprawiłoby sytuacji, gdybyś nawet strzeliła komuś w plecy.

— Gdybym ja to zrobiła, nie trafiłabym go w ramię.

— Chyba żebyś chciała. — Nasze spojrzenia się spotkały. — Jeszcze cię nie pytałem, prawda?

— Nie pytałeś o co?

— Czy to ty go zastrzeliłaś?

— Nie. W obu wypadkach. Nie pytałeś mnie i nie zastrzeliłam go. Musi ci strasznie brakować atutów.

— Oczywiście, że tak. Dobrze o tym wiesz. Nie mówię jednak niczego ot tak, żeby napawać się brzmieniem swojego głosu. Zobaczmy, czy się zgadzamy w dwóch sprawach... w trzech. Po pierwsze nie jesteś Harveyem, jesteś sobą, kobietą i ty mogłabyś strzelić komuś w plecy. Po drugie, dobrze strzelasz, z dokładnością do centymetra.

— Nie do centymetra. Trafiam dokładnie tam, gdzie chcę.

— Dobra. A teraz trzecia sprawa. Mnóstwo ludzi, prawdopodobnie łącznie z Haightem i Jessupem, mówi, że Harvey specjalnie trafił go w ramię, żeby się odwrócił, a potem w szyję, bo wszyscy znają go jako dobrego strzelca, a on chciał, by to wyglądało tak, jakby morderca nie umiał strzelać. Jest z tym pewien kłopot, a mianowicie, że Harvey po prostu nigdy by tego nie wykombinował. Załóżmy, że w ogóle mógłby strzelić mu w plecy, czego ja nie zakładam, to jednak nic tak pokrętnego nigdy by mu nie przyszło do głowy. Ale ty jesteś inna. Ty byś mogła na to wpaść. Zgadzasz się ze mną w tych trzech sprawach?

Carol uniosła kącik ust.

— Lily — powiedziała.

— Co Lily?

— Myśli, że to ja go zastrzeliłam, hę?

— Jeśli tak, to nic mi o tym nie mówiła. Ale ja rozmawiam z tobą. Gdyby nawet Lily tak uważała i powiedziała mi o tym, to jednak sam potrafię myśleć. No więc, zgadzamy się w tych trzech sprawach?

Carol wciąż miała uniesiony kącik ust.

— Jeżeli powiem tak, to co wtedy? Sam mówiłeś, że przehandlowanie mnie za Harveya nie poprawiłoby sytuacji. A może tobie chodziło o coś innego?

— Ależ skądże! Przecież to oczywiste. Prosiłem Alnę, żeby się zastanowiła nad pewnymi rzeczami, a teraz proszę o to ciebie. Powiedzmy, że ty go zastrzeliłaś, choć ja zakładam, że nie, i co z tego wynika? Nie mogę znaleźć dowodów przeciwko nikomu innemu, bo ich nie ma. Wszystkie moje wysiłki spęłyby na niczym. Gdybym jednak wiedział, że to ty go zastrzeliłaś, wówczas może znalazłbym jakieś wyjście. Mam pewne doświadczenie w udzielaniu pomocy w trudnych sytuacjach i jestem znany z tego, że od czasu do czasu potrafię coś wymyślić. Wszystko zostanie wyłącznie między nami, porozmawiajmy szczerze.

Spojrzała na mnie, mrużąc oczy, co przydało jej zmarszczek.

— A więc uważasz, że to ja go zabiłam — powiedziała takim tonem, jakby stwierdzała fakt.

— Nie uważam. Jedynie dopuszczam taką możliwość. Alma wprawdzie mówi, że tamto popołudnie obie spędziłyście tutaj, ale naturalnie nic innego nie może powiedzieć. Przyznaję jednak, że byłabyś cholernie głupia, gdybyś mi powiedziała, że go zastrzeliłaś, nie mając pewności, czyja się nie wygada, a chyba nie znasz mnie na tyle, by mieć do mnie absolutne zaufanie. W Nowym Jorku jest parę osób, które mi ufają, ale tutaj nikt, może oprócz Harveya. Jak ci wiadomo, nie mogę się do niego dostać. Jeśli mu przekażesz, że chcę ci dać słowo i zachować dyskrecję, nawet przed Lily, bez względu na to, co się wydarzy, wówczas, jak sądzę, powie ci, żebyś się przede mną otworzyła.

— Więc jesteś pewien, że to ja go zastrzeliłam.

— Wcale nie, do cholery! Mam tylko związane ręce, a muszę to wiedzieć. Nie widzisz, że jestem w trudnej sytuacji?

— No tak, widzę. Cóż... — Rozejrzała się dookoła.

— Nie mamy Biblii. — Wstała, ponownie się rozglądając, a wreszcie zatrzymała wzrok na mało używanym siodle, które wisiało na drewnianym kołku w kącie pokoju.

— Znasz to siodło?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

— Quantrell. Ręczna robota. Ma srebrne strzemiona, nity i ćwieki. Zdobyłaś je w Pendleton w czterdziestym siódmym.

— Faktycznie. To był mój największy dzień. — Położyła dłoń na łęku i spojrzała na mnie. — Jeśli ja zabiłam tego gada Brodeffa, to niech to siodło zgnije, spleśnieje i niech zeżrą je robaki. Tak mi dopomóż Bóg.

— Odwróciła się, poklepała siodło po łęku i znów spojrzała na mnie. — Czy to wystarczy?

— Nic lepszego nie mógłbym sobie życzyć. — Wstałem. — No dobra, jesteś wyłączona, skreśliamy cię, i świetnie. Powiedz Harveyowi, że mam nadzieję być tak dobry, jak on sądzi. Będę musiał. Tytoń jest dla Mela, a packi na muchy dla Pete'a. Nie czekam na nich, bo chcę sobie coś obejrzeć. Słyszałaś moją rozmowę z Alną?

— Prawie wszystko.

— Była tu z tobą tamtego popołudnia? Cały czas?

— Mówiłam ci, że tak.

— A Gila Haighta tu nie było?

— Już ci powiedziałam, że nie.

Ruszyłem do wyjścia.

— Ty ciągle w siodle — rzuciłem odwracając głowę.

— I tak, i nie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jeśli sposób, w jaki spędziłem następne trzy godziny, nie wydaje się najlepszy, to dlatego, że nie w pełni zdawałem sobie sprawę z trudności sytuacji. Pojechałem obejrzeć miejsce zbrodni.

Droga z Lame Horse nie kończy się przy farmie Bar J.R. i domu Lily. Biegnie jeszcze dalej przez niespełna pięć kilometrów, do rzeki Fishtail, i kończy się na dobre dopiero tam, gdzie po prawej stronie stoi dom dla wczasowiczów Biila Farnhama. W porównaniu z niektórymi jest mały, ale bardziej luksusowy, nie licząc domu Lily. Jednorazowo przebywa w nim najwyżej sześciu wczasowiczów, lecz przed kilkoma dniami zabito Brodella, facet ze Spokane zaś złamał rękę i pojechał do domu, zostały więc tylko cztery osoby: doktor Amory z żoną oraz ta para z Denver. Farnham nie był żonaty. Do pomocy miał kucharkę, która zajmowała się domem, a także dwóch ludzi do koni, Berta Magee i Sama Peacocka. Wczasowicze nie mieszkają w domkach, lecz w jednym wspólnym budynku z drewnianych bali, z przybudówkami w środku i na końcu, raczej niewielkim, bo o powierzchni zaledwie około dwóch tysięcy metrów kwadratowych. Stodoła i zagrody dla zwierząt znajdowały się daleko od rzeki, za sosnowym młodniakiem.

Kiedy zatrzymałem samochód między dwiema wysokimi jodłami i wysiadłem, nie zobaczyłem nikogo ani przed domem, ani za nim, od strony rzeki, gdzie na dywanie z opadłych igieł stały krzesła i stoły, ale gdy otworzyłem ażurowe drzwi i zawołałem „Jest tam kto?!”, jakiś głos kazał mi wejść, co też zrobiłem. Pomieszczenie było mniej więcej o połowę mniejsze od dużego pokoju Lily, a w samym środku dywanu leżała na plecach rudowłosa kobieta z głową podpartą stertą poduszek. Kiedy się do niej zbliżyłem, odrzuciła na bok jakieś czasopismo.

— Poznałam pana po głosie — rzekła i ziewnęła, poklepując się w usta.

Grzecznie stanąłem cztery kroki od niej, wyrażając nadzieję, że nie przeszkadzam jej w drzemce. Powiedziała, że nie i że wyspała się w nocy.

— Proszę na to nie zwracać uwagi — dodała — ale jestem zbyt leniwa, żeby obciągnąć sobie spódnice. Nie znoszę spodni. — Znowu ziewnęła, poklepując się w usta.

Jeżeli nie przyjechał pan tutaj zobaczyć się ze mną, to nie ma pan szczęścia. Wszyscy o świcie wybrali się konno przez bród w góry, bo chcą zobaczyć łosia. Nie mam pojęcia, kiedy wrócą. Czy w dalszym ciągu próbuje pan... mmm... wyciągnąć swojego przyjaciela z aresztu?

— Coś w tym rodzaju. Czy mam obciągnąć pani spódnice?

— Proszę się nie trudzić. Skoro więc przyjechał pan tu do mnie, to nie wyobrażam sobie, po co, ale jestem do pańskiej dyspozycji.

Uśmiechnąłem się, by okazać, że pogawędka z nią wprawia mi przyjemność.

— Właściwie, proszę pani, nie przyjechałem tu do nikogo. Chciałem tylko powiedzieć Billowi, że zostawiam tu samochód i idę rzucić okiem na Głuszcowe Wzgórze. Jeśli wróci przede mną, proszę mu to powtórzyć, dobrze?

— Oczywiście, ale on przed panem nie wróci. — Przyglądziła ręką kosmyk rudych włosów. — To się stało na tym wzgórzu, prawda?

Przytaknąwszy odwróciłem się, by wyjść, lecz zatrzymał mnie jej głos.

— Chyba pan wie, że jestem tutaj jedyną osobą, która pana popiera. Wszyscy uważają, że on... zapomniałam, jak on się nazywa...

— Greve. Harvey Greve.

Kiwnęła głową.

— Wszyscy uważają, że on to zrobił. Na pierwszy rzut oka poznają inteligentnego człowieka, a pan mi na takiego wygląda, i mogę się założyć, że pan dobrze wie, co robi. Powodzenia.

Podziękowałem jej i wyszedłem.

Znałem Głuszcowe Wzgórze, w okolicy bowiem jest to najlepsze miejsce do zbierania jagód i często bywałem tam z Lily — czasem po jagody, czasem po młode głuszcze, które w wieku około dziesięciu tygodni odżywiają się prawie wyłącznie jagodami i są najsmaczniejszym daniem serwowanym przez Fritza. Ptaki te oczywiście znajdują się pod ochroną, więc naturalnie z tym nie przesadzaliśmy. Zaledwie dwa dni przed śmiercią Brodella wybrałem się na wzgórze z Dianą Kadany i Wadem Worthym na jagody, nie na głuszcze.

Mógłbym tam dotrzeć na przełaj z farmy Bar LR. lub z domu Lily, ale wówczas miałbym dwukrotnie dłuższą drogę, w dodatku miejscami uciążliwą, od Farnhama zaś dzieliły mnie od wzgórza niespełna dwa kilometry i nie musiałem się wspinać. Za stodołą i zagrodami dla zwierząt, na opadającym w dół stoku, w miękkiej, ciastowatej ziemi gęsto rosły jodły bez wiatrołomów, następnie był odcinek nagich skał, między którymi szedłem zygzakiem, a dalej przeciwległy stok, porośnięty dziką trawą, w sierpniu wyschłą i stwardniałą, co utrudniało mi marsz. Kiedy zbliżyłem się do grzbietu wzgórza na jakieś pięćdziesiąt metrów, skręciłem w lewo i posuwałem się równoległe do niego, szukając zdeptanych miejsc, wyrwanego krzaka, czegośkolwiek. Nie jestem górskim tropicielem, ale z pewnością nawet dyletant potrafi zauważyć ślady świadczące, że zabierano stąd ludzkie zwłoki. Najpierw jednak spostrzegłem coś, co można znaleźć praktycznie wszędzie, zarówno na placu Heralda, jak i na Głuszcowym Wzgórzu — krew. Pewnie zlizano ją jakimś zwierzęciem, została z niej bowiem tylko „plama na głazie i cienka zaschnięta strużka, sięgająca ziemi. Zaczynała się w miejscu, gdzie przy głazie rosła duża kępa jagodowych krzewów, a więc tam stał Brodell, zbierając jagody, kiedy ktoś strzelił mu w plecy.

Dopiero wówczas zobaczyłem ślady, które człowiek miejscowy dojrzałby od razu: połamane gałązki i krzewy, rozgniecione jagody, niedawno poruszone kamienie, zdeptany oset i tym podobne. Wszystko wskazywało, że wszędzie tutaj, nawet znacznie powyżej głazu, ktoś musiał szukać kul. Kiedy już doszedłem do tego wniosku, odwróciłem się i spojrzałem w dół na stok w poszukiwaniu szczegółu, który najbardziej mnie interesował: miejsca, gdzie ukrył się zabójca. W promieniu trzydziestu metrów zauważyłem niewiele oprócz jagodowych krzewów, kamieni oraz paru kępek ostów i innego drobiazgu, lecz dalej zieleń sięgała wyżej i rosły drzewa. Nawet taki facet z Nowego Jorku jak ja mógłby niepostrzeżenie zbliżyć się na czterdzieści metrów od celu, a co dopiero człowiek, który umie podchodzić jelenia czy łosia. Czterdzieści metrów to jednak za duża odległość, by liczyć na skuteczny strzał z pistoletu czy rewolweru, więc musiała to być broń długa, ale w środku lata w Montanie nikt nie chodzi z dubeltówką, chyba że na kojota, lecz na Głuszcowym Wzgórzu nie poluje się na kojoty.

Zebrałem garść jagód i usiadłem na kamieniu. Licząc, to znajdę tu punkt zaczepienia, zachowałem się jak osioł i na dobrą sprawę powinienem się do tego przyznać. Obejrzenie miejsca zabójstwa nic mi nie dało i nic nie da. To nie mój świat, a jeżeli nawet w tym całym bałaganie pod gołym niebem znajdowała się jakaś wskazówka, prowadząca do tego, kto się zaczął na Philipa Brodella i go załatwił, to nie była przeznaczona dla mnie. Zmarnowałem trzy godziny. Zobaczyłem wiewiórkę ziemną, która wskoczyła w krzaki, a kiedy znów się ukazała, podniosłem kamień wielkości piłki golfowej i cisnąłem w nią, ale oczywiście chybiłem. Kilku moich najlepszych znajomych z Montany zachowywało się niczym ta wiewiórka. Niezadowolony, wróciłem do Farnhama po samochód, nie łamiąc po drodze nogi. Nikogo tam nie zastałem. Tuż po wpół do szóstej przyjechałem do domu, a o szóstej była kolacja. Z zasady każdy przychodził na kolację w tym, co akurat miał na sobie, ale ja byłem spocony, więc poszedłem do swojego pokoju, opłukałem się, przebrałem w świeżą koszulę i włożyłem brązowe wełniane skarpetki. Kiedy przyczesywałem włosy, Lily zapukała w drzwi

łączące jej pokój z moim. Otworzyłem je i wpuściłem ją. Miała na sobie tę samą zieloną bluzkę i te same spodnie, co w ciągu dnia.

— Będziemy mieli gości? — zapytała widząc, że się przebrałem.

Powiedziałem jej, gdzie byłem, i że znalazłem zakrwawiony głaz około dwustu metrów na północ od miejsca, w którym kiedyś widziała, jak jedną ręką zdejmowałem z drzewa głuszca. Wspomniałem również o moich rozmowach z Almą i Carol.

— Nie wiem, jak ty — rzekłem — ale ja to kupiłem. Carol odkładam *ad acta*. Może bym jej nie uwierzył, gdyby przysięgała na Biblię, ale na to siodło...

Lily nadeła usta. Po chwili zrobiła normalną minę i skinęła głową.

— W porządku, zatem sprawa załatwiona. Kiedyś chciałam je od niej pożyczyć, żeby po prostu spróbować, jak się w nim siedzi na Kocie, ale się nie zgodziła. Masz rację. Gdyby ona zastrzeliła Brodella, to by ci powiedziała. Nie wydaje mi się jednak, żebyś lepiej ode mnie potrafił oceniać kobiety.

Nie oznaczało to, że Lily chciała sobie pojeździć w tym siodle na rysiu czy pumie. Nazwała tak swoją łaciatą klacz ze względu na sposób, w jaki przeskoczyła rów, kiedy przed trzema laty pierwszy raz na nią wsiadła.

Śniadania i obiady jadaliliśmy w kuchni, przy stole pod dużym oknem. Od czasu do czasu jadaliliśmy tam również kolację, ale zwykle robiliśmy to na osłoniętym tarasie od strony potoku, chociaż sprawiało więcej kłopotów, bo Lily zabierała ze sobą z Nowego Jorku jedynie Mimi, a nie chciała żadnej miejscowej dziewczyny do pomocy, tak więc obsługiwaliśmy się sami. Tego wieczora mieliśmy *filet mignon*, pieczone ziemniaki, szpinak i sorbet malinowy, a wszystko poza ziemniakami przyrządzono z mrożonek przechowywanych w ogromnej zamrażarce w spiżarni. Połudwica przyjechała ekspresem z Chicago, zapakowana w suchy lód. Można by przypuszczać, że mając pod ręką tysiące ton wołowiny, która chodziła po łące na drugim brzegu potoku i należała do Lily, łatwiej i taniej byłoby załatwić świeże mięso na kolację, ale już je próbowano i okazało się kiepskie.

Lily na tarasie zawsze siedziała przy stole twarzą do potoku, który płynął w odległości zaledwie kilkunastu kroków. Z lewej strony miała Wade'a Worthy'ego, z prawej mnie, a naprzeciwko Diane Kadany.

— Dziś przyszła mi do głowy okropna myśl. Naprawdę okropna — odezwała się Diana, kiedy Lily podniosła nóż.

Oczywiście Wade Worthy poprosił ją, żeby to powiedziała. Jeszcze nie zdecydowałem, czy nim też mam się zająć. Na jego pełnej twarzy z szerokim nosem i kwadratową brodą pojawiały się różne uśmiechy, które trudno rozgryźć. Uśmiechając się życzliwie, potrafił powiedzieć coś przykrego, ale zdarzało się również, że z sarkastycznym uśmiechem mówił rzeczy miłe. Tym razem uśmiech, którym obdarzył Dianę, nie był ani życzliwy, ani sarkastyczny, lecz po prostu grzeczny.

— Nikt nie jest dobrym sędzią własnych myśli — rzekł Wade. — Jeśli nam powiesz, to będziemy głosować.

— Gdybym nie chciała wam tego powiedzieć, w ogóle bym o tym nie wspominała.

Po tych słowach Diana ostentacyjnie wzięła na widelec kawałek mięsa, włożyła do ust i zaczęła żuć. Często tak robiła — może dostała rolę w jakiejś sztuce ze sceną jedzenia, a połączenie przeżuwania z rozmową wymaga ćwiczeń, aktorzy zaś mogą ćwiczyć wszędzie, w dowolnym towarzystwie i o każdej porze. Większość z nich tak postępuje.

— Pomyślałam sobie — przemówiła wreszcie — że gdyby tego człowieka nie zamordowano, to Archiego by tu nie było. Wyjechałby przed trzema dniami. W ten sposób morderca zrobił nam przysługę. Nie musicie nad tym głosować. To naprawdę jest okropne.

— Podziękujemy mu, kiedy się dowiemy, kto nim jest — powiedziała Lily.

Diana ze smakiem przełknęła mięso i zagryzła kartoflem.

— Ja nie żartuję, Lily. To naprawdę okropne, że tak pomyślałam, ale dzięki temu mam pomysł na sztukę. Ktoś mógłby napisać sztukę o kobiecie, która robi okropne rzeczy. No wiecie... kłamie, kradnie, oszukuje, podrywa mężów innym kobietom, a nawet mogłaby kogoś zamordować. Z treści wynikałoby jednak, że za każdym razem, gdy ta kobieta kogoś rani, pomaga to kupie innych ludzi. Mnóstwo osób straszliwie przez nią cierpi, ale dziesięciokrotnie więcej wynosi z tego jakieś korzyści. Jeszcze nie wiem, jakie będzie zakończenie, to zależy od tego, kto napisze tę sztukę, ale scena finałowa może być cudowna, naprawdę cudowna. Każdej aktorce spodobałaby się taka rola. Mnie by się spodobała.

Zjadła już kartofel i w tej chwili przeżuwała następny kawałek mięsa. Była w tym rzeczywiście całkiem niezła, ale nad innymi miała przewagę: urodziwą buzię. Ładna dziewczyna musi naprawdę bardzo brzydko to robić, kiedy mówi jedząc, żeby człowiek odwracał od niej wzrok.

— Jesteś pisarzem, Wade — powiedziała Diana, spojrzawszy na Worthy'ego. — Może ty byś to napisał?

Wade przecząco pokręcił głową.

— Ja nie piszę sztuk. Zwróć się z tym do Albeego albo Tennessee Williamsa. A jeśli chodzi o tę przysługę, którą zrobił nam morderca, to właściwie nie była żadna przysługa. W tym tygodniu Archiego prawie nie widywaliśmy. — Spojrzał na mnie z życzliwym uśmiechem. — Jak ci idzie?

— Świetnie — odparłem i przełknąłem jedzenie. — Potrzebuję tylko, żeby ktoś się przyznał. Pewnie to Diana zbierała jagody z najlepszego i największego krzaka, ale przyszedł Brodell i ją odepchnął, więc go zastrzeliła. Tak się...

— Z czego? — spytała Diana.

— Nie przerywaj. Tak się bowiem szczęśliwie złożyło, że nagle zjawił się Wade z rewolwerem, bo akurat polował na susły, i strzelił do niego pierwszy, ale trafił go tylko w ramię. Wtedy poprosiłaś go, żeby dał ci spróbować, a on ci wręczył rewolwer.

Wade wycelował we mnie nóż.

— Nie przyznajemy się. Będziesz musiał to udowodnić.

— Dobra. Czy wiesz, że istnieje promieniowanie indywidualne?

— Nie.

— Że ludzie różnią się nim tak jak odciskami palców?

— Brzmi to sensownie.

— To nie tylko brzmi sensownie, ale również ma podstawy naukowe. To prawdziwy cud, że dotychczas detektywom udawało się coś wykryć bez pomocy takich zdobyczy naukowych. Poszedłem dziś na Głuszcowe Wzgórze z okazji kupionym licznikiem Geigera i wykryłem wasze promieniowanie. Byliście tam oboje. Teraz wystarczy mi tylko...

— Naturalnie, że byliśmy — przerwała mi Diana z pełnymi ustami. — To wyście nas tam zaprowadzili! Trzy albo cztery razy!

— Udowodnij to — odezwała się Lily. — Ja sobie nie przypominam.

— Lily! Przecież pamiętasz! Musisz pamiętać!

Jeden z kłopotów, jakie sprawiała Diana, polegał na tym, że nigdy nie miało się absolutnej pewności, czy ona rzeczywiście jest głupia, czy tylko gra.

Zanim pojawił się sorbet i kawa, ustaliliśmy, co będziemy robić po kolacji. Można było grać w bezika, czytać książki albo prasę, rozmawiać, zajmować się swoimi sprawami u siebie w pokoju, a czasem, szczególnie w soboty, spotykać się z miejscowymi. Tym razem Wade zaproponował bezika, na co oświadczyłem, że będą musieli grać we trójkę, bo ja wybieram się do Lane Horse. Zastanawiali się, czy nie pojechać ze mną, ale ostatecznie zdecydowali, że zostają. Wyszedłem, wsiałem do samochodu i włączyłem rozrusznik.

Teraz mam pewien problem. Jeżeli szczegółowo opiszę, co robiłem przez następne cztery doby, od ósmej wieczorem w sobotę do ósmej wieczorem w środę, poznacie dziesiątki osób i

lepiej zaznajomicie się z okręgiem Monroe w Montanie, lecz nie posuniecie się ani o cal w sprawie zabójstwa Brodella, bo i mnie się to nie udało. Możecie mieć tego dość, a ja już prawie miałem. Jeśli pozwolicie, ograniczę się więc tylko do jednej próbki, taką próbką zaś równie dobrze może być ów sobotni wieczór.

Ponieważ ludzie tłumnie odwiedzający w tę sobotę Lame Horse przyjechali samochodami, a do Timberburga było zaledwie niespełna czterdzieści kilometrów, mogłoby się zdawać, że powinni się raczej wybrać do stolicy okręgu, która miała kino z pluszowymi siedzeniami, kręgielnię i wiele innych lokali oferujących dobrą zabawę. Działo się jednak wręcz odwrotnie: w sobotnie wieczory sporo mieszkańców Timberburga, około setki albo i więcej, przyjeżdżało do Lame Horse. Atrakcją była stara ogromna rudera z drewna, sąsiadująca ze sklepem Vawtera. Na skraju jej dachu wisiał siedmiometrowej długości szylt: WOODROW STEPANIAN — DOM KULTURY To właśnie była sala, którą zwykle nazywano „U Woody’ego”. Woody, wówczas ponad sześćdziesięcioletni mężczyzna, zbudował ją jakieś trzydzieści lat temu za pieniądze otrzymane w spadku po ojcu, który w tych okolicach handlował wszystkim, co tylko można sobie wyobrazić, jeszcze zanim Montanę przyjęto do Unii. Swoje młodzieńcze lata Woody spędził w objazdowym sklepie. Kiedy się urodził, ochrzczono go Theodore na cześć Roosevelta, lecz gdy skończył dziesięć lat, ojciec zaczął go nazywać Woodrow, by uczcić Wilsona. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim Woodrow rozważał możliwość zmiany swojego imienia na Franklin w związku z drugim Rooseveltem, ale uznał, że pociągnęłoby to za sobą zbyt wiele komplikacji, a w tym konieczność zakupu nowego szyltu.

Pierwszym punktem sobotniego programu u Woody’ego był film, który zaczynał się o ósmej, ale w istocie nic musiałem go oglądać. Zaparkowałem więc samochód przy drodze i wszedłem do Vawtera. Rozmaitość towarów sprzedawanych w tym wysokim pomieszczeniu, długim na trzydzieści metrów i niemal równie szerokim, nie pozostawiała wątpliwości co do tego, że mógłbym nie jechać do Timberburga, gdybym nie musiał wysłać listu i zajrzeć do *Kto jest kim*. Ich kompletne wyszczególnienie zajęłoby kilka stron, wobec tego wspomnę jedynie o kilku pozycjach, takich jak patelnie, kapelusze, filiżanki do kawy, sprzęt wędkarski, prasa i tanie książki, broń i amunicja, wszelkiego rodzaju produkty żywnościowe, poncha, ostrogi i siodła, cygara, papierosy i tytoń, kowbojskie buty, wysokie gumki dla wędkarzy, odzież męska i damska, dzinsy levisy, pocztówki, długopisy, trzy regały z lekarstwami...

W środku było kilku klientów, którymi zajmował się Mort Vawter z żoną Mabel i synem Johnnym. Nie przyszedłem tu kupować ani nawet rozmawiać, lecz posłuchać, co mówią inni. Rozejrzawszy się po sklepie uznałem, że najlepsze perspektywy stwarza mi chuda kobiecina o czarnych prostych włosach, oglądająca buty wystawione na kontuarze. To Henrietta, półkwi Indianka nielegalnie handlująca alkoholem. Mieszka przy drodze i wszystkich zna.

— Cześć, Henrietto! Założę się, że mnie nie pamiętasz — powiedziałem zbliżając się do niej.

Przyjrzała mi się z ukosa, poruszając głową na boki, co często robią ludzie ostrożni.

— A o co się założysz?

— O dolca.

— Hm! Jesteś od pani Rowan. Nazywasz się Archie Goodwin — stwierdziła i wyciągnęła rękę. — Dawaj dolca.

— Proszę bardzo. Może nie powiedziałaś tego, co myślisz, ale niech tam. — Wyjąłem portfel, — To miła niespodzianka, że cię tu spotykam. Sądziłem, że w sobotni wieczór obsługujesz klientów.

Odwróciła banknot, żeby obejrzeć drugą stronę.

— Zgrywasz się? — mruknęła i wypuściła go z ręki, tak że sfrunął na podłogę. — Nowy numer.

— Żaden numer. — Podniosłem piąta i podałem jej. — Jeden to za wygrany zakład, a reszta za czas, który mi poświęcisz, odpowiadając na parę pytań, jakie chcę ci zadać.

— Nie lubię pytań.

— Nie chodzi o ciebie. Jak ci wiadomo, mój przyjaciel Harvey Greve ma kłopoty.

— Hm, paskudne kłopoty.

— Bardzo paskudne. Może także wiesz, że próbuję mu pomóc.

— Każdy wie.

— No. I każdy uważa, że nie mogę mu pomóc, bo to on zabił tego człowieka. Widujesz się z wieloma ludźmi i słyszysz, o czym rozmawiają. Czy wszyscy tak myślą?

Wskazała banknot w moim ręku.

— Jak odpowiem, to mi zapłacisz? Cztery dolary?

— Najpierw zapłacę. Weź go, a potem odpowiesz.

Wzięła. Ponownie obejrzała banknot z obu stron i wetknęła do kieszeni spódnicy.

— Nie będę się włóczyć po sądach — rzekła.

— Jasne, że nie. To tylko przyjacielska rozmowa.

— Kupa ludzi gada, że zabił go Greve. Nie wszyscy. Kilku mówi, że ty.

— Ilu?

— Trzech... może czterech. Znasz Emmy'ego?

Odpowiedziałem, że znam. Emmy, czyli Emmett Lake, który zajmował się stadem na farmie Bar J.R., cieszył się opinią jednego z najlepszych klientów Henrietty.

— Nie wmawiaj mi, że on to powiedział.

— Nie. On gada, że to ktoś od Farnhama.

— Wiem, ale nie mówi kto. Ty też chyba nie chcesz mi powiedzieć, co myślisz.

— Co ja myślę? Hm.

Uśmiechnąłem się do niej przymilnie, jak mężczyzna do kobiety, która mu się podoba.

— Założę się, że dużo myślisz.

— O co?

— Tylko że nie mógłbym tego udowodnić. Posłuchaj, Henrietto, jak powiedziałem, słyszysz wiele rozmów. W zeszłym roku on tu był przez sześć tygodni... ten, co został zabity. Wspominał mi, że robił u ciebie jakieś zakupy.

— Raz. Z Farnhamem.

— Czy mówił coś o kimkolwiek?

— Nie pamiętam.

— Ale nie zapomniałaś, co w tym tygodniu mówili o nim ludzie po jego śmierci. To dla mnie najważniejsza sprawa. Nie musisz podawać nazwisk. Powiedz mi tylko, co o nim mówiono. — Wyjąłem z portfela dychę i trzymałem ją tak, żeby Henrietta ją widziała. — To może mi pomóc wyciągnąć Greve'a z kłopotów. Powiedz mi, co o nim słyszałaś.

Spojrzała na banknot i podniosła wzrok.

— Nie — odparła.

Stałem na niej, choć przez dziesięć minut ją namawiałem. Włożyłem dychę z powrotem do portfela. Nie przekonałbym Henrietty, podwajając stawkę, a nawet oferując stówę. Nie chciała ryzykować w obawie przed pytaniami sądu, choćbym przysięgał na dziesięć siodeł, że nie będzie świadkiem. Zostawiłem ją i znów rozejrzałem się po sklepie. Spośród kilkunastu obecnych tam osób nie znałem tylko trzech, ale prawdopodobnie żadna z nich nie zechciałaby puścić pary z gęby. Wyszedłem i ruszyłem do Woody'ego.

Z zewnątrz dom kultury był większy od sklepu Wawtera, ale wewnątrz podzielono na trzy części, z wejściem w środkowej, gdzie na regałach i kontuarach wystawiano przedmioty związane z kulturą, niektóre na sprzedaż. Znajdowały się tam płyty gramofonowe, tanie książki, reprodukcje malarstwa i rysunków, popiersia wielkich ludzi, reprinty Deklaracji Niepodległości oraz sporo najrozmaitszych drobiazgów w rodzaju Biblii po armeńsku,

przeważnie w jednym egzemplarzu. Rzadko kto cokolwiek tu kupował — Woody mówił Lily, że ze sprzedaży ma około dwudziestu dolarów tygodniowo. Dochody przynosiły mu pozostałe dwa działy, gdzie za wejście trzeba było płacić — z lewej strony kino, a z prawej sala, w której się tańczyło i spotykało ze znajomymi, i jedno i drugie czynne jedynie w soboty.

Kiedy wszedłem, Woody rozmawiał z czworgiem wczasowiczów z jakiegoś rancha w dolnym czy górnym biegu rzeki — trzema mężczyznami i kobietą, których nigdy dotychczas nie widziałem. Stałem tam przez chwilę, oglądając książki i przysłuchując się rozmowie, ale niczego się nie dowiedziałem. Woody twierdził, że nigdy nie wystawił żadnej książki na sprzedaż, uprzednio jej nie przeczytawszy, a ja nie nazwę go kłamcą. Na ogół nie miał wysokiego mniemania o wczasowiczach, tak samo zresztą jak o większości rodowitych mieszkańców Montany, lubił jednak Lily, więc mnie akceptował. Zostawił czwórkę wczasowiczów, podszedł do mnie i spytał, czy Lily dziś przyjdzie. Odparłem, że jest zmęczona i wcześniej położyła się spać, lecz prosiła mnie, bym go od niej pozdrowił.

Wprawdzie był wyższy od Almy Greve, ale rozmawiając ze mną, on też musiał zadzierać głowę. Miał oczy czarne jak Henrietta, a czuprynę białą niczym szczyt góry Chair.

— Kłaniaj się jej — rzekł — i powiedz, że z głębokim szacunkiem całuję ją w rękę. Prawdziwa z niej laleczka. Mogę zapytać, czy osiągnąłeś już jakiś postęp?

— Nie, Woody, nie osiągnąłem. W dalszym ciągu jesteście z nami?

— Jestem. Zawsze i wszędzie. Jeśli Greve zastrzelił tego człowieka jak tchórz, to ja jestem kulawym kojotem. Wspominałem ci już, że miałem przyjemność poznać go, kiedy liczył sobie dwa lata, a ja szesnaście. Tego dnia jego matka kupiła u mojego ojca cztery koce i dwa tuziny chusteczek do nosa... A więc żadnego postępu?

— Ani ani. A ty?

— Wolno pokręcił głową, zaciskając usta.

— Muszę przyznać, że też nic. W ciągu tygodnia widuję mało ludzi. Dziś wieczorem się rozgadają i będę trzymał uszy otwarte. Niektórych mogę nawet popytać. Zostaniesz?

Odparłem, że tak, że już zdążyłem zadać parę pytań każdemu, kto mógłby na nie odpowiedzieć, ale chcę posłuchać, o czym rozmawiają. Zjawiała się jakaś para wczasowiczów i podeszła, żeby porozmawiać ze słynnym Woodym. Wycofując się wróciłem do książek, wybrałem jedną pod tytułem *The Greek Way*, o której mówiła zarówno Lily, jak i Nero Wolfe, a później usiadłem na ławce.

Dziewiętnaście po dziewiątej przyszedł jakiś mężczyzna w różowej koszuli, roboczych dżinsach i żółtej chustce na szyi, otworzył drzwi po prawej stronie i na małym stoliku tuż za nimi umieścił swój sprzęt, dostarczony mu przez Woody'ego: podręczną kasę i bloczek biletów. Rewolwer wiszący u jego pasa był tylko na pokaz — Woody zawsze go sprawdzał, by się upewnić, że nie jest naładowany. O dziewiątej dwadzieścia cztery nadeszli muzycy. Prawdopodobnie umówili się przedtem u Wawtera, a może u Henrietty. Ubrani należycie w stroje wieczorowe tak jak bramkarz, nieśli ze sobą instrumenty: skrzypce, akordeon i saksofon. Miejscowe talenty. Na podeście w głębi sali stał fortepian, o którym Lily mówiła, że jest tak samo dobry jak jej. Dwadzieścia osiem po dziewiątej pokazali się pierwsi stali bywalcy, a pięć minut później przez otwarte drzwi z lewej strony wyszedł tłum widzów kinowych. Większość z nich ruszyła do drzwi naprzeciwko i zaczęła się zabawa. Przez następne cztery godziny odbywało się to, co przyciągało tu ludzi w każdym wieku, zarówno mieszkańców Timberburga, jak i miejscowych, a także wczasowiczów aż z Fiat Bank. Kiedy tłok przy wejściu na salę nieco się zmniejszył, zapłaciłem dwa dolary i wszedłem. Orkiestra grała *Horsey, Keep Your Tail Up* i na parkiecie już wyginało się i podrygiwało pięćdziesiąt par. Wśród nich tańczył Woody z Florą Eaton, kościstą nieszczęsną wdową, która na farmie Bar J.R. zajmowała się praniem i sprzątaniem. Wiele wczasowiczek czaiło się na Woody'ego, by porwać go do pierwszego tańca, ale on zawsze wybierał sobie partnerkę miejscową.

Jak powiedziałem, to tylko próba, więc nie wolno mi tego przeciągać. Podczas tych czterech godzin zabawy słyszałem i widziałem wiele różnych rzeczy, ale wychodząc około wpół do drugiej, wcale nie byłem mądrzejszy.

Słyszałem na przykład, jak jakaś dziewczyna w wiśniowej sukience przez całą salę wołała do spóźnionego Sama Peacocka, jednego z dwóch kowbojów Farnhama:

— Ostrzyż się, Sam, bo wyglądasz okropnie!

I jego odpowiedź:

— Teraz nie jest tak źle. Powinnaś mnie zobaczyć, gdy miałem roczek. Musieli wiązać moją matkę, żeby dała mi possać!

Widziałem, jak Johnny Vawter i Woody wyrzucali dwóch nagranych wczasowiczów, próbujących odebrać instrument akordeoniście. Bimber, który ich do tego na tchnął, przyniesli ze sobą, co było miejscowym zwyczajem. Bar w kącie sali oferował jedynie wodę z bąbelkami, lód, papierowe kubki, napoje bezalkoholowe i aspirynę.

W całym Nowym Jorku, w żadnym ze znanych mi lokali, nigdy nie słyszałem równie wytrwałej i tak nie zgranej orkiestry ani nie widziałem tylu niezmordowanych par, tańczących bez poczucia rytmu.

Słyszałem, jak pewna kobieta w średnim wieku i o wydatnym biuście wrzasnęła na swojego rówieśnika:

— Ja ci tu sprawdzę, czy jest w nich mleko!

Po jej ciosie mężczyzna zgiął się wpół.

Jakiś wczasowicz w smokingu cierpliwie tłumaczył swojej towarzysze w sukni prawie do kostek:

— Sekserka to nie prostytutka, kochanie. To dziewczyna lub kobieta, która sprawdza płeć jednodniowych kurcząt.

Podśluchałem też, jak Gil Haight wyjaśniał drugiemu młodzieńcowi:

— Jasne, że jej tu nie ma. Zajmuje się swoim dzieckiem.

Widziałem około dziewięćdziesięciu najrozmaitszych osób, które odwracały wzrok, milkły albo rzucały mi zimne spojrzenia, kiedy się zbliżałem.

Powróciwszy do domu, leżąc już w łóżku pod dwoma kocami, bo noc była zimna, nie miałem się nad czym zastanawiać i powoli zasnąłem.

Tak właśnie wyglądała owa próbka, lecz zanim przeskoczę do środowego wieczora, muszę opisać wydarzenie, które miało miejsce w domu, późnym popołudniem we wtorek. Akurat skądś wróciłem i zastałem Lily siedzącą na tarasie zwanym przez nas „porannym”, w odróżnieniu od „potokowego” z drugiej strony domu, kiedy aleją nadjechał znany mi samochód z dwoma mężczyznami na przednim siedzeniu.

— Już są — odezwała się Lily. — Właśnie chciałam cię zawiadomić, że dzwonił Dawson. Powiedział, że pragnął się ze mną zobaczyć. Nie mówił po co.

Samochód zatrzymał się przy sosnach; wysiadł zeń Luther Dawson i Thomas R. Jessup. Z wrażenia zapomniałem o dobrych manierach i nie podniosłem się z fotela, dopóki nie podeszli. Przyjazd obrońcy sądowego wraz z prokuratorem okręgowym do właścicielki farmy zarządzanej przez Harveya Greve'a musiał oznaczać, że najwyraźniej coś się pogmatwało, więc gdy w końcu wstałem, z trudem udało mi się opanować, żeby nie pokazać im rozpromienionej twarzy. Oni nie mieli rozpromienionych twarzy, kiedy się z nami witali i zajmowali fotele, które im podsunąłem, ale też nie byłoby I u prokuratora, gdyby coś nie skomplikowało mu sprawy morderstwa. Lily stwierdziła, że podczas jazdy prawdopodobnie zaschło im w gardle, i zapytała, co ma podać do picia, lecz się grzecznie wymówili.

— Może się to pani wydawać trochę niezwykle, że przyjechaliśmy tu razem — powiedział Dawson — ale pan Jessup chciał panią o coś spytać i ustaliliśmy, że będzie bardziej przepisowo, jeżeli to ja będę zadawał pytania w jego obecności.

Lily kiwnęła głową.

— Oczywiście. Należy przestrzegać prawa i porządku.

Dawson spojrzał na Jessupa. Obaj urodzili się i wychowali w Montanie, lecz jeden na to wyglądał, drugi zaś nie. Dawson, wysoki mężczyzna około sześćdziesiątki, ubrany w białą-zieloną pasiastą koszulę z podwiniętymi rękawami, bez krawata, i spodnie khaki, miał szerokie bary i potężne mięśnie, podczas gdy prokurator okręgowy był o jakieś dwadzieścia lat młodszy, szczupły i prezentował się schludnie w ciemnoszarym garniturze, białej koszuli i kasztanowym krawacie. Dawson popatrzył na mnie, otworzył usta, z powrotem je zamknął i spojrzał na Lily.

— Naturalnie pani nie jest moją klientką — rzekł. — Moim klientem jest pan Greve. Pani jednak dała mi zaliczkę i powiedziała, że pokryje koszty jego obrony. Wobec tego zapytam wprost: czy poza mną kogokolwiek radziła się pani w tej sprawie... eee... czy do kogoś pani nic z nią zwracała?

Lily lekko wytrzeszczyła oczy.

— Naturalnie, że tak.

— Do kogo?

— Cóż... do Archiego Goodwina, pani Greve, Melvina Foxa, Woodrowa Stepaniana, Petera Ingallsa, Emmeta Lake'a, Mimi Defand, Morta...

— Proszę wybaczyć, że przerywam, ale powinienem precyzyjniej sformułować moje pytanie. Czy kontaktowała się pani w tej sprawie z kimś nietutejszym, na przykład z Heleny?

Gdyby Lily była przeciętną kobietą, już bym się wtrącił, lecz wiedząc, z kim mam do czynienia, uznałem to za zbędne. I okazało się zbędne.

— Rzeczywiście, panie Dawson — powiedziała. — Czy pan jest dzieckiem? Ilu świadkom oskarżenia zadawał pan podchwytliwe pytania?

Dawson oniemiał.

— Przypuszczam — ciągnęła — że adwokaci mają takie samo prawo do złych obyczajów jak inni ludzie, którym jednak nie muszą się one podobać. — Odwróciła się do mnie. — Co ty na to, Archie? Czy to jego sprawa, z kim się kontaktuję lub nie?

— Nie — odparłem — ale tu idzie o coś innego. Z tego, co powiedział, wynika, że za jego pośrednictwem pytanie to zadał Jessup. Jednak również Jessupa nie powinno to nic obchodzić. Obaj są cholernie bezczelni. Nie wiem jak w Montanie, ale gdyby w Nowym Jorku zadawał takie pytania w podobnej sytuacji, to Izba Adwokacka bardzo by chciała się o tym dowiedzieć. Ponieważ pytasz mnie o zdanie, to ja bym na twoim miejscu kazał im się wypchać.

Lily popatrzyła na jednego, potem na drugiego i powiedziała:

— Wypchajcie się, panowie.

— Przedstawił pan to wszystko w całkowicie fałszywym świetle, proszę pana — odezwał się do mnie Dawson.

Spojrzałem na niego.

— Słuchaj pan, panie Dawson. Pan kręci, co mnie nie dziwi. Sam pan mówił, że to trochę niezwykle. Oczywiście, gdyby pan nie kręcił, wszystko dałoby się pięknie załatwić. Najwyraźniej wydarzyło się coś, co kazało Jessupowi sądzić, że kogoś namówiono, by zaczął mu się wtrącać do sprawy. Podejrzewa, że osobą, która do tego namawiała, jest pani Rowan, chciał się więc upewnić, tak samo jak pan. Oczywiście najlepiej byłoby powiedzieć pani Rowan wprost, co się stało, i zapytać, czy nie przyłożyła do tego ręki, a nie szkodziłoby dodać słowo „proszę”. Skoro nie chce pan tego zrobić w taki sposób, chyba trzeba będzie się wypchać. Dawson popatrzył na prokuratora.

— Rozumie się, że wszystko by musiało zostać między nami — rzekł Jessup.

Dawson kiwnął głową.

— Jeżeli pan sądzi, że obiecamy nikomu o tym nie mówić, to nic z tego. Nie będziemy tego rozgłaszać dla zabawy, ale żadnych obietnic — oświadczyła Lily.

— No więc, Tom? — spytał Dawson Jessupa.

— Chciałbym się naradzić — odparł Jessup, wstał i zwrócił się do Lily: — Pozwoli pani, że na chwilę przeprosimy?

Lily skinęła głową. Naradzając się doszli do swojego samochodu, a nawet go minęli. Lily spytała, czy się czegoś nie domyślam. Uniosłem dłoń, obejmując palcami kciuk, i powiedziałem, że mogę się założyć o dwa dolary przeciwko jednemu, że nastąpi jakiś przełom, ale jaki i gdzie, niech sama zgadnie. Już nie musiałem panować nad sobą i twarz mi promieniała.

Narada nie trwała długo. Nie byłbym zaskoczony, gdyby Dawson wrócił sam tylko po to, aby nas przeprosić za zawracanie głowy, lecz po paru minutach wrócili obaj i usiedli.

To była decyzja pana Jessupa, nie moja — odezwał się Dawson. — Chciałbym postawić sprawę jasno: w ogóle jestem tu tylko dlatego, że on uznał to za stosowne, a ja się zgodziłem. — Spojrzał na Lily. — Jeśli pani nie chce niczego obiecywać, proszę pani, to trudno, ale mamy nadzieję, że zarówno pani, jak i pan Goodwin, zachowa w tajemnicy to, co powie pan prokurator. Gdybym ja to państwu powiedział, byłaby to relacja z drugiej ręki, więc będzie mówił on.

W ciągu ostatnich pięciu dni trzykrotnie próbowałem dostać się do Thomasa R. Jessupa, żeby z nim porozmawiać, ale nic z tego nie wyszło. Ja nie narzekam, po prostu informuję. Przecież nie istnieje żadne prawo, które by nakazywało prokuratorowi rozmawiać z przyjaciółmi oskarżonego. Mnie przesłuchiwał szeryf, Morley Haight, lecz u niego występowałem jako ewentualny podejrzany lub ważny świadek. Jessupa widziałem tylko z daleka i zastanawiałem się, co to za facet. Teraz obdarzył Lily uśmiechem polityka.

— Przykro mi, proszę pani, że zaszło pewne nieporozumienie — rzekł. — Pan Goodwin stwierdził, że nie szkodziłoby powiedzieć „proszę”, więc powiem. Proszę traktować naszą rozmowę jako poufną. Pod tym względem zdaję się na panią z pełnym zaufaniem. Pan Goodwin uważa, że należało powiedzieć pani, co się wydarzyło, więc tak też zrobię. To nie potrwa długo. Dziś rano otrzymałem telefon od pewnego urzędnika stanowego z Heleny... wysokiego urzędnika. Poprosił mnie, bym jak najszybciej stawił się w jego biurze, zabierając ze sobą akta sprawy Harveya Greve’a. Pojechałem do Heleny i spędziłem tam prawie trzy godziny. Zażądał ode mnie szczegółowego sprawozdania na piśmie, które podyktowałem jego sekretarce, a kiedy skończyłem, zadawał wiele, bardzo wiele pytań.

Ponownie uśmiechnął się jak polityk, najpierw do Lily, potem do mnie, a później znów do Lily.

— To rzecz bardzo niezwykła, o ile mi wiadomo, bezprecedensowa, żeby proku... żeby wysoki urzędnik stanowy z Heleny wzywał do siebie jakiegoś prokuratora okręgowego i żądał szczegółowych informacji w sprawie, którą on przygotowuje, i to w wypadku zabójstwa. Naturalnie spytałem go, co spowodowało takie nagłe i niecierpiące zwłoki zainteresowanie, lecz nie zaspokoił mojej ciekawości. Kiedy wyszedłem z jego gabinetu, nie miałem absolutnie żadnego pojęcia ani nawet nie mogłem się domyślić, co było powodem. Dopiero w powrotnej drodze do Timberburga, gdy przejechałem już ze trzydzieści kilometrów albo więcej, przyszło mi do głowy, że to może pani... eee... interweniowała. Niepokoi się pani o Harveya Greve’a... to ładnie, bardzo ładnie z pani Nlrony. Załatwiła mu pani adwokata w osobie Luthera Dawsona, znakomitego członka palestry w Montanie. Nic wiem, czy pani ma jakieś koneksje wśród polityków, nic osoba tak zamożna, wykształcona i z taką pozycją jak pani musi... chyba powinna znać ważne osobistości. Wróciłem więc do Heleny, skontaktowałem się z panem Dawsonem i przedstawiłem mu sytuację. Powiedział, że jemu nic nie wiadomo, by ktokolwiek zwracał się do... do tego urzędnika. Po krótkiej rozmowie ustaliliśmy, że najsensowniej będzie zapytać o to panią, i natychmiast do pani zadzwonił. Nie twierdzą, że byłoby to niewłaściwe postępowanie z pani strony, nic podobnego. Skoro jednak wysoki urzędnik stanowy zamierza... eee... wtrącić się do sprawy,

którą ja prowadzę, to chyba mam prawo wiedzieć dlaczego i naturalnie chcę się tego dowiedzieć, a oczywiście pan Dawson, jako obrońca oskarżonego, również tego pragnie. — Znów ten uśmiech. — Naturalnie, jeśli to, co powiedziałem, ma być poufne, jak to wszystko, co pani powie, zostanie między nami.

Gdyby znali Lily tak dobrze jak ja, od razu by się zorientowali, że jest wściekła, zakreślała bowiem maleńkie kółeczka czubkiem pantofla. Poza tym lewe oko zmrużyła bardziej niż prawe, co było jeszcze gorsze.

— Pyta mnie pan, czy nie pociągałam za jakieś sznurki w Helenie.

— Cóż... ja bym tego tak nie określi!

— A ja tak. To co mówię, nie jest poufne, proszę pana. Twierdzę, że pan zachował się niestosownie. Stoi pan po drugiej stronie barykady. Niby dlaczego w ogóle zadaje mi pan jakieś pytania i oczekuje, że na nie odpowiem? Zechce pan wsiąść do swojego samochodu. Pan Dawson będzie tam za minutę.

— Zapewniam panią...

— Do cholery, czy pan Goodwin ma pana tam zaciągnąć?!

Wstała chyba tylko po to, żeby mi pomóc.

Jessup spojrział na mnie, potem na Dawsona, który kręcił głową. Jessup wstał, już bez uśmiechu, i niespiesznie odszedł dostojnym krokiem. Kiedy wsiadł do samochodu stojącego w odległości jakichś piętnastu metrów, Lily odwróciła się do Dawsona.

— Nie wiem, czy pan postąpił właściwie, czy nie, proszę pana, ale nie dbam o to. Gdyby nawet właściwie, i tak mi się to nie podobało, lecz zdejmę panu ten ciężar z głowy, żeby mógł pan jej używać do reprezentowania swoich klientów, na przykład Harveya Greve'a. Z nikim „nietutejszym” się nie kontaktowałam ani w Helenie, ani w żadnym innym mieście, i nie mam zielonego pojęcia, dlaczego jakiś urzędnik stanowy zainteresował się tą sprawą. A ty, Archie?

— Ja też nie.

— Wobec tego sprawa załatwiona. Chodźmy się czegoś napić.

Ruszyła w stronę wejścia do domu. Poszedłem za nią.

Kiedy byliśmy już w środku, Lily skrzyła w lewo, w kierunku drzwi prowadzących do długiego korytarza, lecz ja na chwilę zatrzymałem się w dużym pokoju, by zobaczyć, jak Dawson dołącza do Jessupa i siada za kierownicą, a gdy samochód zniknął za zakrętem, udałem się do kuchni. Lily wkładała kostki lodu do dzbanka, Mimi zaś przy centralnym stole kroїła w plasterki pomidory, które przywiozłem od Vawtera.

— Próbuję sobie przypomnieć — odezwała się Lily czy kiedykolwiek byłam tak wściekła jak teraz.

— No pewnie — powiedziałem. — Bo to raz? — Wyciągnąłem portfel, wyjąłem z niego dwa banknoty jednodolarowe, które jej podałem. — Wygrałaś, u licha.

— Co wygrałam?

Okrągłe błękitne oczy Mimi, pasujące do jej pyzatej twarzy, która z kolei pasowała do jej wszystkich pozostałych krągłości, zerknęły na banknoty, a potem znów patrzyły na pomidory. Przy niej mogliśmy rozmawiać tak swobodnie jak Wolfe i ja w obecności Fritza.

— Przecież ci mówiłem, że zakładam się o dwa dolary przeciwko jednemu, że nastąpi jakiś przełom. Trzymaj. Nie będzie żadnego przełomu.

— Ale ja nie przyjąłem tego zakładu. Poza tym, skąd wiesz? Jeśli sprawą zainteresował się wysoki urzędnik stanowy...

— No właśnie, prokurator stanowy. — Wsadziłem banknoty do kieszeni, a później zdjąłem z półki dzin i wermut. — Raz już prawie mu się to wysnęło. Nie domyślasz się, dla kogo było to sprawozdanie?

— Nie — odparła i nagle kiwnęła głową w moją stronę. — A więc to ty się z kimś kontaktowałeś.

— Nie, nie ja, ale mogę się z tobą założyć o dziesięć dolarów przeciwko jednemu, że wiem, kto to zrobił. Przecież jestem detektywem i potrafię coś wydedukować. W sobotę wysłałem ten list. Dostał go wczoraj rano, a kiedy skończył czytać, stał się dla Theodore'a trudniejszy do zniesienia niż zwykle. Podczas obiadu nie miał apetytu. On właściwie ani mnie, ani nikogo, absolutnie do szczęścia nie potrzebuje, lecz uważa, że jestem dla niego prawie' niezbędny. Z listu wynika, że sprawa mojego powrotu pozostaje całkowicie otwarta; może się mnie spodziewać za tydzień, ale równie dobrze za miesiąc czy dwa, trudno powiedzieć, on zaś nie znosi niepewności.

— A więc zadzwonił do prokuratora stanowego Montany i zażądał, by natychmiast sporządzono szczegółowe sprawozdanie.

— Nie, ale do kogoś zadzwonił. — Składniki były już w dzbanku i zacząłem je mieszać. — Mnóstwo ludzi jest mu wdzięcznych za coś, co kiedyś dla nich zrobił, choćby mu nawet za to płacili, a wśród nich znajdzie się parę osób, które mogłyby zadzwonić do gubernatora czy nawet prezydenta, nie mówiąc już o prokuratorze stanowym, a więc zatelefonował do kogoś w Helenie. Nie prosił go o jakąś wielką przysługę, tylko o sprawozdanie. Z jego treści prawdopodobnie wynika, że dowody przeciwko Harveyowi są żadne i naciągane. Jeżeli już otrzymał to sprawozdanie przez telefon, jeszcze bardziej stracił apetyt na kolację. — Spojrzałem na zegarek.

— Teraz akurat siedzi przy stole. W Nowym Jorku jest siódma trzydzieści dwie.

Odłożyłem szklaną pałeczkę, podniosłem dzbanek i napełniłem szklanki.

— Przyznaję, że nieźle to sobie wykoncypowałeś, ale nie możesz być tego pewien — powiedziała Lily, biorąc swoją szklankę. — W każdym razie ja nie jestem pewna. To jednak może doprowadzić do jakiegoś przełomu.

— Uniosła rękę z koktajlem. — Za Harveya!

— Pomyśl, stawiając jednego dolara, mogłabyś wygrać dziesięć. Za Harveya!

Gdyby przyjęła ten zakład, wówczas moja wygrana lub przegrana zależałaby od tego, czy można uznać za przełom wydarzenie, które miało miejsce dwadzieścia sześć godzin później, około ósmej wieczorem we środę, a także od tego, kto by o tym decydował. Całą środę spędziłem na bezużytecznych poszukiwaniach, co wpłynęło na mnie przygnębiająco. W czasie kolacji z pewnością w żaden sposób nie przyczyniłem się do poprawy humoru współbiesiadników. Po kawie oświadczyłem, że muszę napisać list i poszedłem do swojego pokoju. Rzeczywiście chciałem coś napisać, ale nie list. Z rozpaczy postanowiłem zrobić to, czego jeszcze nigdy nie robiłem, a mianowicie spisać wszystkie fakty, ustalone przeze mnie w ciągu dziesięciu dni, a przynajmniej te, które mogły coś znaczyć, i potem próbować znaleźć jakieś związki i sprzeczności licząc, że one wskażą mi kierunek. Zaopatrzony w notes i ołówek, siedziałem przy stole pod otwartym oknem zastanawiając się, od czego zacząć, gdy usłyszałem nadjeżdżający aleją samochód. Nie mogłem go zobaczyć, ponieważ mój pokój znajdował się od strony potoku. I wikt, że natychmiast się zerwałem i popędziłem do dużego pokoju, najlepiej świadczy, jak mi marnie szło, bo przecież inni mieli bliżej. Diana siedziała przy fortepianie, Lily zaś stała przy ażurowych drzwiach i patrzyła, kto przyjechał. Zatrzymałem się obok niej. Spostrzegłem jakiś samochód, taksówkę z Timberburga. Zmierch jeszcze nic zapadł, dobrze więc widziałem kierowcę, który wysadził głowę przez okno i zawołał:

— Czy to dom Lily Rowan?!

Wyszedłem na taras i powiedziałem, że tak, a wtedy utworzyły się tylne drzwi taksówki i wygramolił się z nich jakiś mężczyzna — tyłem. Szerokie potężne plecy wskazywały na Nero Wolfe'a, co potwierdził również szeroki i potężny brzuch, kiedy jego właściciel wyprostował się i odwrócił.

— Przyszła góra do Mahometa — powiedziała stojąca obok mnie Lily.

Ruszyliśmy mu naprzeciw.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wolfe nigdy nie podaje ręki kobietom i bardzo rzadko mężczyznom, lecz tym razem, gdy przywitał się ze mną, wyciągnął dłoń do Lily.

— Bardzo panią przepraszam — powiedział. — Powinienem był zadzwonić. Prawdopodobnie złoścą panią niespodziewani goście tak samo jak mnie, ale nie lubię korzystać z telefonu, tym bardziej że w ciągu ostatnich dwóch dni zbyt często go używałem. Nie będę pani zawadzał. Muszę tylko porozmawiać z panem Goodwinem.

— Robię wyjątek dla gości, którzy przebyli trzy tysiące kilometrów — rzekła Lily. — Pański bagaż jest w samochodzie?

— W Timberburgu, a właściwie niedaleko Timberburga, w motelu Shafer Creek — odparł i zwrócił się do mnie: — Mam propozycję. Ten człowiek prowadzi jak wariat, a jego pojazd w każdej chwili może się rozsypać. Odprawię go, jeśli znajdzie się tu jakiś samochód, którym mnie odwieziesz po tym, jak się naradzimy.

— Widzisz, Lily, on się boi wszelkiej maszynery — powiedziałem. — Jeśli nie będziesz potrzebowała samochodu...

— To nierozsądne — przerwała mi. — Naturalnie zostaje pan tutaj. Mam wolny pokój. Po całym dniu w samolotach i samochodach zapewne pada pan ze zmęczenia. Archie każe kierowcy przywieźć pański bagaż, a ja pokażę panu ten pokój. Z łazienką. Jadł pan kolację?

— Droga pani, nie chcę się narzucać...

— Proszę posłuchać. Zwykle pan decyduje o czyimś losie, a teraz ja decyduję o pańskim. Nie dam samochodu. Jadł pan kolację?

— Tak, jadłem, ale w motelu mam jeszcze do zapłacenia rachunek.

Powiedziałem, że się tym zajmę i poszedłem omówić sprawę z taksówkarzem. Nie podobała mu się taka jazda w tę i we w tę, ale uznał to za lepsze wyjście niż czekanie, aż jego pasażer zechce wracać, gdy go poinformowałem, że może to nastąpić dobrze po północy. Wręczyłem mu pieniądze na zapłacenie rachunku w motelu. Kiedy odjechał aleją, wróciłem do domu wejściem prowadzącym do długiego korytarza, dotarłem do jego końca i zobaczyłem, że ostatnie drzwi są otwarte. Wszedłem. Wolfe siedział w fotelu przy otwartym oknie. Miał opuszczoną brodę i zamknięte oczy. W pokoju paliło się światło, które zapewne włączyła Lily. Zatrzymałem się po trzech krokach i spojrzałem na Wolfe'a. W okręgu Monroe był w tej chwili prawdopodobnie jedynym mężczyzną w kamizelce, która naturalnie miała tę samą ciemnoniebieską barwę, co marynarka i spodnie. Pewnie przebrał się w motelu, mankiety i kołnierzyk jego żółtej koszuli były bowiem wyprasowane i czyste. Ledwo się mieścił w wiklinowym fotelu.

— Dobrą miałaś podróż? — spytałem.

— Tam jest potok — rzekł i otworzył oczy.

— Berry Creek. Gdybyśmy wiedzieli, że przyjedziesz, złowiłoby się pstrąga na śniadanie. Długo tu będziesz?

— Fuj.

W pokoju stały jeszcze dwa fotele, więc poszedłem do jednego z nich i usiadłem.

— Tak się nazywa mój koń. Pani Rowan dała swojej kobyle imię Kot, bo rzeczywiście porusza się jak kot, a ja nazwałem mojego konia, naturalnie mojego tylko wówczas, gdy tu jestem, Fuj, bo jest ciut narowisty. Chyba się domyślasz, jak go zwą miejscowi. Jeżeli będziesz chciał trochę pojeździć sobie konno po górach, to polecam ci Spotty, gdyż z twoją wagą...

— Zamilcz.

Nie miałem zamiaru, ale umilkłem, ponieważ weszła Lily z tacą i chciałem jej pomóc. Na tacy były dwie szklanki, butelka piwa, otwieracz, dzbanek z mlekiem i papierowe serwetki.

— Przyniosłam ręczniki — powiedziała Lily. — Wzięłam tylko jedną butelkę piwa, bo przypuszczam, że pan woli zimne. Nic więcej wam nie potrzeba?

— W razie czego sam się tym zajmę. Możemy natomiast potrzebować ciebie, więc postaraj się nie wychodzić z domu.

Odparła, że się postara, i zostawiła nas samych. Zaniosem tacę na stół. Wolfe sięgnął po butelkę, obejrzał nalepkę — Browar Mountain, Butte — użył otwieracza i nalał sobie piwa.

— To jest niezłe — poinformowałem go. — Mają ta jeszcze jeden gatunek, do którego chyba dodają siarki.

Wolfe trzymał w ręku szklanekę, póki piana nie opadła do właściwego poziomu, wypił mały łyk, skrzywił się, pociągnął zdrowy haust i oblizał usta.

— Wolałbym iść spać — rzekł. — Wątpię, czy mój mózg będzie należycie funkcjonował, ale się postaram. Dostałem twój list.

— Domyśliłem się tego, kiedy zobaczyłem, jak wysiadasz z samochodu.

— Przyszedł w poniedziałek, przedwczoraj. Niedostatecznie przedstawia sytuację. Potrzebowałem więcej szczegółów, więc zadzwoniłem do trzech osób. Trzecią był pan Oliver McFarland... pamiętasz go.

— Oczywiście.

— Mógł i chciał mi zrobić przysługę. Prowadzi tu rozległe interesy w bankowości i górnictwie. Dzięki niemu wczoraj późnym popołudniem otrzymałem telefon od prokuratora stanowego Montany. Jeżeli wszystko wygląda tak, jak on mi przedstawił, to na dobrą sprawę jutro rano możemy wracać.

— Mnie również przyszło to do głowy, kiedy zobaczyłem, jak wysiadasz z samochodu. Poczekaj chwilkę. W drugim pokoju jest fotel większy i lepszy. Patrząc, jak się męczysz, mam wrażenie, że mnie też jest niewygodnie.

Próbował wstać, ale zrobił to wraz z fotelem, w którym uwięzły mu biodra. W końcu się uwolnił. Zaniosem fotel do dużego pokoju. Lily siedziała przy kominku z Dianą i Wadem, prawdopodobnie informując ich, że mamy nowego gościa.

— Sama powinnam to zaproponować — powiedziała, gdy mnie zobaczyła. — Tamten?

Wskazała fotel stojący przy regale z książkami. Dokonałem zamiany. Ten, który wziąłem, był większy i miał siedzenie pokryte skórą z brzucha jelenia. Odwróciwszy go do góry nogami, wsadziłem sobie na głowę i pomaszerowałem z powrotem do pokoju Wolfe'a. W czasie mojej chwilowej nieobecności zdążył opróżnić butelkę, więc postawiłem fotel, poszedłem do kuchni i przyniosłem następną. Nalałem sobie mleka do szklanki i wróciłem na swój fotel. Wolfe wyglądał lepiej i oczywiście czuł się lepiej, mając więcej miejsca do siedzenia.

— Przedstawię ci sprawę tylko z grubsza, uzupełniając szczegółami w razie potrzeby — powiedziałem.

— Jeśli będę mówił szczerzej niż zwykle, to prawdopodobnie dlatego, że jestem na bezpłatnym urlopie. PoH pierwsze nie sędzę, że przyjechałeś tu ściągnąć mnie z powrotem do Nowego Jorku. Znasz mnie prawie tak dobrze jak ja ciebie. Napisałem ci, że mogę postawić pięćdziesiąt przeciwko jednemu, że Harvey jest czysty, a dobrze wiesz, nigdy aż tyle nie ryzykuję, jeśli nie jestem czegoś absolutnie pewny. Uważam, że przyjechałeś się dowiedzieć, jakie fakty ja ustaliłem, i powiedzieć mi, co mam robić, by to wszystko przyspieszyć. Przypuszczalnie dowiedziałeś się od prokuratora stanowego, że wiosną córka Harveya urodziła dziecko. Swoim rodzicom powiedziała, że jego ojcem jest Philip Brodell, wczasowicz, który był tu zeszłego lata na pobliskim rancho. Wkrótce wszyscy się o tym dowiedzieli.

— Tak. Czy to fakty?

— No pewnie. Brodell ponownie przyjechał tego lata, w poniedziałek, dwudziestego drugiego lipca. Trzy dni później...

— Przerywam. Choć jesteś na bezpłatnym urlopie, to jednak mi pozwól. We czwartek, około trzeciej po południu, samotnie wybrał się na jakieś wzgórze po jagody. Ponieważ nie wrócił nawet na kolację, zaczęto się martwić, a kiedy się ściemniło, wyruszono na poszukiwania. Wszyscy wiedzieli, gdzie najbardziej lubił zbierać jagody. Około wpół do dziesiątej niejaki Samuel Peacock znalazł jego ciało na głazie, nie opodal szczytu wzgórza. Brodell otrzymał dwa postrzały: w ramię i szyję. Nie znaleziono żadnych pocisków, ale rany wskazywały, że użyto broni o dużej sile rażenia. Badanie lekarskie stwierdza, że umarł między trzecią a szóstą, co prawdopodobnie się zgadza. Coś kwestionujesz?

— Nie. — Wypiłem łyk mleka. — Aleście się nagadali przez telefon. Mam nadzieję, że nie dzwonił na twój koszt.

— Nie. Zadawałem mu wiele pytań. Zgadzasz się, że pan Greve miał motyw?

— Oczywiście, że nie.

— A więc rozważmy, czy on mógł to zrobić. Od godziny trzeciej nie ma alibi na tamto popołudnie. Twierdzi, że pojechał szukać krowy, która odbiła od stada, ale był sam. Konno mógłby dotrzeć na jakieś półtora kilometra od miejsca, w którym znaleziono ciało. Sprzeciw?

— Nie.

— A teraz narzędzie. Miał dostęp do trzech sztuk broni, jakiej prawdopodobnie użyto. Dwie trzymał w swoim domu, a trzecia znajdowała się w kwaterach ludzi zatrudnionych na jego farmie. Sprzeciw?

— Owszem, ale nie przekonam tym ani ciebie, ani In wy przysięgłych. Jego córka i żona twierdzą, że broń była wówczas w domu, a Mel Fox mówi, że leżała na swoim miejscu w jego pokoju. Zgoda, one mogą tylko tak twierdzić, Mela zaś w tym czasie nie było w domu, bo też siedział w siodle.

— Wobec tego przejdźmy do szczegółów. Jedyne trzy osoby, które mogłyby mieć jakiegokolwiek motyw, zresztą takie same jak on, przedstawiły alibi, co zostało sprawdzone i potwierdzone. Wprawdzie nie podano ich nazwisk, ale...

— Żona i córka Harveya oraz pewien chłopak, niejaki Gilbert Haight. One są w porządku, a chłopaka mam na swojej liście. Jego ojciec jest szeryfem okręgowym. Chciał się ożenić z córką Harveya i twierdzi, że w dalszym ciągu chce... ten chłopak, nie szeryf.

— Coś takiego? — skomentował Wolfe, unosząc brwi. — Kwestionujesz jego alibi?

— Trochę nad tym pracowałem. Najgorsze, że nie jestem stąd. Obcy znajduje się tu w takiej samej sytuacji jak hipis na lekcji religii. Trudno się z nimi dogadać. Sam mógłbyś się o tym przekonać, gdybyś tu pobyl dłużej, szczególnie w takim stroju: w tej kamizelce i w tym kapeluszu. Masz jeszcze jakieś szczegóły?

— Tak. W dzień po przyjeździe Brodella dwie osoby słyszały, jak Greve powiedział „Taki gruboskórny bydlak nie powinien żyć”. Poza tym...

— On powiedział „nie ma prawa”, a nie „nie powinien”. Sam słyszałem, jak to mówił. „Bydlaka” strawiłeś, ale „nie ma prawa” już nie?

— Znaczenie się nie zmieniło. Poza tym w piątek po południu, w dzień po zabójstwie Brodella, Greve pojechał do Timberburga i kupił butelkę szampana, czego nigdy przedtem nie robił, a następnie wieczorem wypił go wraz z żoną i córką. Ponadto...

— O śmierci Brodella zawiadomiono go przez telefon. Wiedząc, co Harvey o nim myśli, zdziwiłem się, że nie kupił dwóch butelek, a nawet całej skrzynki, i nie urządził prawdziwej fety z tej okazji. Ja wtedy piłem mleko.

— A następnego dnia, w sobotę, kiedy z St. Louis przyjechał ojciec Brodella po ciało i chciał się zobaczyć z Grevem, wówczas on go pobił.

— Lekko go szturchnął i podbił mu oko, lecz tamten sam się prosił. Wprawdzie to godny ubolewania fakt, ponieważ tatuś jest za stary, by go poszturchiwać, ale każdy wie, że nie należy łapać Harveya za nos i luzować mu popręgu, kiedy siedzi na koniu. Co dalej?

— Jeszcze ci mało?

— Dla ławy przysięgłych prawdopodobnie wystarczy, i w tym sęk. To wszystko, czego dowiedziałeś się przez telefon?

— I tego dość.

— A więc teraz moja kolej. W liście zaproponowałem ci pięćdziesiąt przeciwko jednemu i to podtrzymuję. Znam Harveya Greve'a, zna go pani Rowan. Nie dysponuję nawet najnędniejszym dowodem, który by go wykluczył albo wskazał na kogokolwiek innego, ale znam Harveya. Czy prokurator stanowy wspominał ci, że pierwszy strzał, który zranił Brodella w ramię, padł z tyłu?

— Nie — odparł Wolfe, otworzył drugą butelkę i nalał sobie piwa.

— Otóż właśnie tak było. Stał na głazie, twarzą do szczytu wzgórza, zbierając jagody, kiedy Iks zakradł się z dołu po stoku i zbliżył na odległość pewnego strzału. Pierwsza kula obróciła Brodella przodem do Iksa i wówczas dostał w szyję drugą kulę, śmiertelną. To załatwia sprawę. Iksem nie był Harvey Greve. Uwierzę, że on strzelił komuś w plecy bez uprzedzenia, kiedy na własne oczy zobaczę, jak krajesz kiszzonego ogórka na kawałki, polewasz syropem klonowym i zjadasz nożem. Gdybym nawet uwierzył, że on mógłby to zrobić, jednak nie uwierzę, że on zabił Brodella. Każdy wie, że w okolicy nie ma lepszego strzelca. Gdyby Harvey strzelał komuś w plecy, nie trafiłby go w ramię. A drugim strzałem w szyję? Bzdura.

Wolfe zmarszczył brwi, wypił piwo i odstawił szklankę.

— Archie, emocje nie pozwalają ci rozsądnie myśleć. Powszechnie wiadomo, że jako dobry strzelec mógł to zrobić specjalnie, by wyglądało tak, jakby Iks nie był dobrym strzelcem.

— Ale nie Harvey. On ma inną mentalność. Takie coś nigdy by mu nie przyszło do głowy, nie leży w jego naturze. Tylko tak gadają. Sprawa polega na tym, że on nigdy by nie zaszedł człowieka od tyłu i nie strzelił mu w plecy. Mowy nie ma. A niech tam, stawiam sto do jednego!

Wolfe jeszcze bardziej się zmarszczył.

— Puste słowa. Z pewnością nie jesteś bezstronny. Opierać swoje głębokie przekonanie, że ktoś jest winien lub nie, nawet nie na przypuszczeniach, lecz wyłącznie i tu znajomości jego charakteru? To głupota i ty o tym wiesz. Fuj.

Uśmiechnąłem się do niego szeroko.

— Dobra. Teraz cię złapałem. Miałeś rację, twój mózg nie funkcjonuje należycie. Niecałe trzy lata temu oceniłeś Orriego Cathera tylko na tej podstawie, że Saul Panzer znał jego charakter. Radziłeś się również Freda i mnie, lecz myśmy zachowali neutralność. Zdecydowała opinia Saula. Szkoda, że z moim zdaniem tak się nie liczysz. A ja mam poparcie. Pani Rowan jest tak samo głęboko o tym przekonana jak ja, lecz przyznaję, że to kobieta. Jutro o jedenastej rano z Heleny startuje samolot. Jeśli nie uda mi się wrócić na wybory przed piątym listopada, będę głosował tutaj.

Wolfe przestał marszczyć brwi, ale mocno zacisnął wargi. Nalał do szklanki resztkę piwa z drugiej butelki, obserwował opadającą pianę, a potem chwycił szklankę i wypił. Kiedy obliznął wargi, już więcej ich nie zaciskał. Odwrócił głowę, by spojrzeć w otwarte okno. Podpierając się rękami, dźwignął swoje sto czterdzieści kilogramów żywej wagi z fotela, zamknął okno i znów usiadł.

— Czy jest tu gdzieś koc elektryczny? — spytał.

— Prawdopodobnie tak. Zapytam panią Rowan. Kiedy w niedzielę kładłem się o drugiej nad ranem, były zaledwie trzy stopnie ciepła. Pójdę na ustępstwa i odwiozę cię do Heleny. Musimy wyjechać przed siódmą, żeby złapać ten samolot. Najlepiej będzie, jak od razu zadzwonię i zarezerwuję ci miejsce.

Wolfe głęboko wciągnął powietrze przez nos, ile tylko się zmieściło, i wypuścił je ustami. Jeden raz nie wystarczył, więc zrobił to ponownie. Spojrzał na łóżko, później na toaletkę, potem na drzwi do łazienki, a w końcu na mnie.

— Kto spał w tym pokoju ostatniej nocy?

— Nikt. Ten pokój jest wolny.

— Przyrowadź panią Rowan i... A prawda, przecież jesteś na urlopie. Bądź tak uprzejmy i spytaj panią Rowan, czy nie zechciałaby się do nas przyłączyć.

— Z przyjemnością.

Wyszedłem. Mijając drzwi do pokoju Wade'a, usłyszałem stukanie maszyny do pisania, jego maszyny, nie Underwooda. W dużym pokoju obie panie — Diana z jakimś czasopismem, a Lily z książką — siedziały w fotelach przy kominku, na którym, jak zwykle wieczorami, paliły się dwumetrowe polana. Powiedziałem Lily, że jej nowy gość pyta, czy nie zechciałaby się do nas przyłączyć, na co odłożyła książkę i wstała. W drodze nie zadawała mi żadnych pytań, lecz było to do niej podobne, więc się nie zdziwiłem. Z doświadczenia wiedziała, że jeśli chcę jej przekazać jakieś informacje, to przecież mam język.

Przypuszczałem, że Wolfe zamierzał spytać ją o charakter Harveya, ale tego nie zrobił. Lily podeszła do niego i zapytała, czego sobie życzy.

— Zrobi mi pani przysługę, jeśli pani usiądzie — odparł zadzierając głowę. — Nie lubię z nikim rozmawiać, patrząc na niego z góry czy z dołu. Wolałbym, żebyśmy mieli oczy na tym samym poziomie.

Podsunałem jej trzeci fotel. Usiadła.

— Gdybym wiedziała, że pan przyjedzie, wstawiłabym wazon storczyków do pańskiego pokoju.

Wolfe chrząknął.

— Nie mam nastroju do storczyków. Znajduję się w kłopotliwej sytuacji, proszę pani. Rzeczywiście znalazłem się na pani łasce i nielasce. Muszę tu być w pobliżu, pozostając w bezpośrednim kontakcie z panem Goodwinem, a nie wiem, jak długo to potrwa. Ten motel pod Timberburgiem to wprawdzie nie chlew, jest dosyć czysty, nic trudno by mi się tam mieszkało, no i ta odległość... Wpraszający się gość budzi odrazę, jednakże nie mam Innego wyjścia. Mógłbym zająć ten pokój?

Naturalnie — odparła Lily, powstrzymując uśmiech. — Archie cytował mi pańskie powiedzenie, że gość jest największym skarbem gospodarza. Zbyt dużo o panu wiem, bym miała oczekiwać, że będzie pan moim skarbem, lecz nie budzi pan we mnie odrazy. Przecież mógł pan powiedzieć Archie'emu, by mi przekazał, że zamierza pan zostać, a pan poprosił mnie tutaj i zwrócił się z tym do mnie osobiście. To bardzo ładnie. Wiem, jak pana zdaniem gospodarz powinien traktować gości, bo jadałam u was kolacje. Przed pójściem spać proszę mi powiedzieć, czy czegoś panu nie potrzeba.

— Pozwoliłem sobie zapytać pana Goodwina, czy nie ma tu elektrycznego koca.

— Oczywiście, że jest — odparła Lily i wstała. — Coś jeszcze?

— Tymczasem nic więcej. Proszę zostać... jeśli pani sobie życzy. Pan Goodwin właśnie chciał mi powiedzieć, co dotychczas zrobił, a później omówimy, co będziemy robić dalej. Mam kilka pytań. Na niektóre z nich być może pani odpowie mi lepiej niż on. Zostanie pani?

— Tak, z ochotą.

— Znakomicie. Pierwsze pytanie dotyczy pani. Musi, skoro mam być gościem w pani domu. Jak i gdzie spędziła pani popołudnie we czwartek, dwudziestego piątego lipca?

Nie chciałem sprawiać wrażenia, jakobym utrzymywał, że Lily Rowan pod każdym względem i w każdych okolicznościach jest chodzącym ideałem przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Osobie, która próbowałaby mi to wmówić, urządziłbym awanturę. Odpowiadając na pytania, kobiety na ogół tracą czas i słowa w taki czy inny sposób, ona zaś po prostu zrobiła to rzeczowo.

— Prawie całe popołudnie łowiłam ryby w rzece Fishtail. W połowie lata w naszym potoku jest mało pstrągów, więc łowimy je w rzece. Tamtego dnia około pierwszej siedzieliśmy nad brzegiem rozlewiska Cutthroat, jedząc obiad, który zabraliśmy ze sobą z domu. Konie zostawiliśmy przy końcu polnej drogi. — Odwróciła się do mnie i spytała: — Jak daleko byliśmy od Głuszcowego Wzgórza?

— O, jakieś piętnaście... dwadzieścia kilometrów. Dalej mówiła do Wolfe'a.

— To właśnie na Głuszcowym Wzgórzu zabito Brodella. Po obiedzie łowiliśmy ryby i kąpaliśmy się w rzece, czego mogłyby nam pozazdrościć polarne niedźwiedzie. Później obserwowaliśmy bobry naprawiające tamę na strumieniu. Archie rzucił kamieniem w niedźwiedzia, czarnego, nie polarnego, który wskoczył do rozlewiska i popłynął na drugą stronę za palczakami. Było prawie ciemno, kiedy wróciliśmy do domu, i Diana, która też jest tu gościem, powiedziała nam, że dzwonił Bill Turnham i pytał o Philipa Brodella.

— Co to jest palczak?

— Młoda ryba wielkości ludzkiego palca. Nie przypuszczałam, że pan nie zna tego słowa.

— Są tysiące słów, których nie znam — rzekł i zwrócił nic do mnie: — Przyznaję, że masz wszelkie podstawy, by zakwestionować moje walkowanie pani Rowan jako całkowicie zbędne. No bo przecież nie wykluczysz pitni, już byś nie był jej gościem. Mam za sobą ciężki dzień, jestem zmęczony i straciłem refleks. Nawet nie spytałem, czy to nie ty zastrześliłeś tego człowieka, a więc pytam: zastrześliłeś?

— Nie, lecz się dziwię, dlaczego wcześniej tego nie zrobiłeś.

— Bo jestem z mordowany. Jednakże kontynuuj. Skoro stwierdzę, że za tobą nie nadążam, to ci powiem. Referuj.

— Muszę wiedzieć, w jakim celu — odparłem. — Mówiłeś, że nie wiesz, jak długo tu zostaniesz. Jeżeli zamierzasz tylko krytykować nasze wnioski w sprawie Harveya, a później życzyć nam powodzenia, to nie ma sensu, abym...

— Jakżebym śmiały krytykować wasze wnioski? Mogę je tylko przyjąć lub odrzucić. Długość mojego pobytu zależy od tego, ile czasu nam zajmie udowodnienie jego niewinności.

— Nam?

— Tak.

Uniosłem jedną brew.

— Bo ja wiem? Niby masz dobre zamiary i naprawdę to doceniam, ale są — pewne sęki. Po pierwsze, jeszcze nigdy w taki sposób nie współpracowaliśmy. Jesteśmy tutaj gośćmi na równych prawach. Ty nie będziesz mi płacił za wykonywanie twoich poleceń i przyprowadzanie osób, które sobie zażyczysz, a więc ja nie będę musiał słuchać twoich rozkazów, jeżeli uznam...

— Bzdura. Przecież jesteśmy rozsądnymi ludźmi.

— Nie zawsze, szczególnie ty. Znam cię na tyle, by przypuszczać... lecz teraz nie ma potrzeby o tym mówić. Niewykluczone, że coś z tego wyjdzie... Można by spróbować... Po drugie, znajdziesz się w tak samo trudnym położeniu jak ja, a nawet gorszym. Nikt ci nie będzie chciał niczego powiedzieć. Jak wiesz, bywałem już tu przedtem, jednak mężczyźni, którzy dotychczas ze mną rzucali podkowami, grali w bezika i polowali na kojoty, oraz kobiety, które ze mną tańczyły, teraz milczą jak grób, gdy wspominam o morderstwie. Mnie to spotyka od dziesięciu dni, a ty jesteś tu zupełnie obcy i będziesz dla nich dziwolągiem w kamizelce. Jeśli nawet zechcesz z kimś porozmawiać i ja ci go przyprowadzę, to będziesz tak samo mądry na końcu tej rozmowy, jak na początku. Może ci najwyżej powiedzieć, ile ma lat. Wątpię, czy...

— Archie. Jeżeli twoje wnioski co do pana Greve'a są słuszne, a ja je przyjmuję, chyba ktoś powinien to udowodnić. Czy moja obecność będzie ci przeszkadzała?

— Nie.

— Bardzo dobrze. Pani Rowan pozwoliła mi zająć ten pokój. Będę ci wdzięczny za pełne sprawozdanie.

— To potrwałoby całą noc. Lepiej idźmy spać, a....

— Nie mogę iść spać, dopóki nie przyjedzie mój bagaż.

— Dobra. Jeszcze piwa?

Nie chciał. Usadowiwszy się wygodniej w fotelu, założyłem nogę na nogę.

— W życiu coś takiego mnie nie spotkało. Pracuję nad tym od dziesięciu dni i, jak już ci wspomniałem, nie mam najmniejszego dowodu, wskazującego jakąś konkretną osobę. Jest natomiast mnóstwo osób, które mogłyby popełnić to morderstwo. Dwie z nich są pod ręką, goście tak jak ty: Diana Kadany, nowojorska n k lorka, jeszcze nie na Broadwayu, ale ma nadzieję, że się tam kiedyś znajdzie, oraz Wade Worthy, pisarz pracujący nad szkicem książki o ojcu pani Rowan. Oboje mają dostęp do narzędzia. Tu obok, w spiżarni, jesi szafa, a w niej broń, która mogłaby być do tego użyta, Bock Mawdsley Special. Każde z nich miałyby (ludności z trafieniem w stodołę, co udowodnili, kiedy przed dwoma tygodniami urządziliśmy sobie zawody w strzelaniu, chociaż to by pasowało, bo Iks był kiepskim strzelcem. Morley Haight, miejscowy szeryf, sprawdził ich broń za pozwoleniem pani Rowan, lecz dopiero w piątek. Lufy miała czyste, ale było mnóstwo czasu, by się o to zatroszczyć.

— A motywy?

— Zaraz do tego przejdę. Oboje się kwalifikują także co do możliwości. Mimi Defand, która jutro przygotuje ci śniadanie, chyba że będziesz wolał zrobić je sam, miała wtedy wolny dzień i spędziła go w Timberburgu, pani Rowan zaś była ze mną na pikniku nad rzeką. Jeszcze nie przyciskałem tych dwoje, ale z rozmów wynika, że również Diana była na pikniku, w górnym biegu potoku, nad tym, co nazywamy drugim rozlewiskiem, i wróciła około szóstej, tak więc Worthy został tu sam. Pięknie. Żadne z nich nie ma alibi. Byliby bardzo podejrzani, gdyby znalazł się choć najmniejszy ślad motywu. Mówią, że nigdy nie widzieli Brodella. Ja widziałem go zaledwie kilka razy w zeszłym roku. Raz przyszedł tu z Farnhamem na kolację i raz myśmy się wybrali do nich. Lubił chodzić do teatru i bywał w Nowym Jorku, lecz nie wiem, jak często. Chciałem nawet wysłać list do Saula i poprosić go, żeby spróbował ustalić, czy Brodell miał jakieś kontakty z Dianą lub Wadem, ale wiesz, ile byłoby z tym roboty... za pięć stów tygodniowo, bo tyle by to kosztowało panią Rowan.

— Ja bym przez to nie zbankrutowała, ale po prostu nie wierzę, by skłamali mówiąc, że nigdy go nie widzieli i nie słyszeli o nim. Tak właśnie zareagowali, kiedy na drugi dzień po jego przyjeździe powiedziałam im, że wrócił ojciec dziecka Almy.

— Ja nie zwróciłem uwagi na to, czy oni mogli go widzieć — rzekłem — ale przecież nie wiedziałem, że on wkrótce zginie. Farnham zaprosił panią Rowan i jej gości na środową kolację. Poszła tam z Dianą, lecz beze mnie i Wade'a. Nie powiem, żebym z zasady nie jadał z człowiekiem, który uwiódł jakąś dziewczynę, w każdym razie jednak Brodell nie był na liście moich ulubieńców, więc się wymówiłem i wygrałem osiemdziesiąt centów w remika od Wade'a pozbawionego kolacji. Pewnie dlatego poszedł wcześniej spać.

Trzepnąłem się dłonią w czoło.

— Oprócz nich jest jeszcze kupa podejrzanych. U Farnhama ta kucharka, co zajmuje się domem, dwóch kowbojów, czworo wczasowiczów i sam Farnham, a na farmie Bar J.R. Flora Eaton, która pierze i sprząta, Mel Fox, zastępujący Harveya, i dwóch kowbojów. Wykreśliłem Carol i Almę, żonę i córkę Harveya... wcale nie dlatego, że wzajemnie zapewniają sobie alibi, lecz o tym powiem później, gdy przejdziemy do szczegółów. W sumie piętnaście podejrzanych osób, do których można dotrzeć stąd piechotą, a należałoby dodać całą dorosłą ludność okręgu Monroe. Każdy mógł tu przyjechać, zostawić samochód około trzech kilometrów od miejsca, gdzie się skręca w aleję prowadzącą do tego domu, i wejść na Głuszcowe Wzgórze. Farnham mówi, że w zeszłym roku Brodell był w Timberburgu trzy albo cztery razy, przez co straciłem trzy dni na szukanie osób, z którymi tam się kontaktował.

— Raz zawiózł pudełko jagód dziewczynie sprzedającej w kinie bilety — oświadczyła Lily.

Wolfe zmarszczył brwi.

— To jakaś mania? Czy on tu przyjeżdża z St. Louis tylko po to, żeby zbierać jagody?

Powiedziałem, że nie, że również jeździł konno i łowił ryby.

— W ciągu tych trzech dni dużo czasu poświęciłem Gilbertowi Haightowi... na rozmowy z ludźmi, którzy go znają. Poza Greve'ami tylko on mógł mieć jakiś wyraźny powód. Może jego alibi jest lipne, ale chcąc je obalić, trzeba by udowodnić, że trzy osoby kłamią, H nikt z miejscowych ci nie pomoże, gdyż jego ojciec jest szeryfem. Obecna sytuacja bardzo odpowiada staremu Haightowi, bo ma w tym osobisty interes. Jest zadowolony, że Harveya oskarżono o morderstwo, kiedy bowiem zabiegał o stanowisko szeryfa, Harvey ostro występował przeciwko jego kandydaturze. Prokuratorowi okręgowemu, Thomasowi R. Jessupowi, tak na tym nie zależy, ponieważ Harvey trochę mu pomógł w wyborach, ale on nic nie może zrobić, jeśli nawet chce... powstrzymują go dowody zebrane przez Haighta. Haight by się ucieszył, gdyby Jessup nabił sobie guza, i odwrotnie. Dobrze byłoby w jakiś sposób to wykorzystać, ale jeszcze nic nie wymyśliłem. Nawet się nie mogę dostać do Jessupa, prawdopodobnie dlatego, że on uważa dowody przeciwko Harveyowi za zbyt mocne, by mógł wycofać sprawę.

Wolfe skinął głową.

— Prokurator stanowy wspominał mi, że ten prokurator jest człowiekiem zdolnym, prawym i rozsądnym.

— Może to i prawda, wbrew temu, co zrobił wczoraj. Przyjechał tu po południu z adwokatem —Harveya, wynajętym przez panią Rowan, by zadać jej kilka pytań. Chciał się dowiedzieć, a właściwie obaj chcieli się dowiedzieć, czy pani Rowan...

Przerwałem usłyszawszy, że nadjeżdża jakiś samochód. Lily wstała, ale powiedziałem, że ja pójdę, lecz mimo to wyszła za mną na taras. To była taksówka Wolfe'a. Kierowca zdążył już otworzyć bagażnik i wyjmował wielką skórzaną walizkę, która od sześciu lat leżała w piwnicy domu przy Trzydziestej Piątej Zachodniej. Wreszcie przyjechał bagaż nowego gościa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego dnia o trzeciej piętnaście po południu Nero Wolfe i ja siedzieliśmy na kamieniach twarzami do niebie. Przebywaliśmy tam już od ponad trzech godzin. Jego kamień, mniej więcej wysokości krzesła, był równy, pluski, dość gładki i na tyle duży, że zapewniał sporo miejsca dla potężnego zadu Wolfe'a. Mój kamień nie był Ink równy, wprawdzie dość płaski, lecz niezbyt gładki, musiałem więc od czasu do czasu wstawać. Wolfe miał z prawej strony gęste zarośla, z tyłu i z lewej drzewa, przed sobą zaś, w odległości jakichś dziesięciu metrów, potok Harry, który z szumem płynął skalistym korytem w kierunku domu Lily, znajdującego się niecały kilometr od nas.

Po przedniego wieczora, po wyjściu z pokoju Wolfe'a, ustaliliśmy z Lily, że nie będziemy go rozpieszczać. Musi liczyć się z tym, że prowadzimy tu spartańskie życie, a jeśli ma ochotę na takie fanaberie jak śniadanie w łóżku, do czego przywykł, to niech idzie do kuchni i sam je sobie przyniesie. Łóżko może ścielić lub nie — wszyscy tak robiliśmy. Kiedy do niego wróciłem, leżał już pod elektrycznym kocem, a gdy mu powiedziałem, jakie zwyczaje panują w tym domu, coś mruknął i odwrócił się do mnie plecami.

Śniadania jadalіśmy o dziewiątej i zwykle przygotowywano je wspólnymi siłami, oprócz jakichś szczególnych okazji i wyjąwszy Dianę, która często spała dłużej. Tym razem zjawila się punktualnie, prawdopodobnie dlatego, że chciała sobie potrenować na nowym mężczyźnie. Mimi naturalnie znała kulinarne potrzeby Wolfe'a. Uśmiechnąłem się zobaczywszy, jak posypywała jajecznicę papryką i przygotowywała prawie dwa razy więcej plasterków bekonu i kromek chleba na grzanki. Poza tym, zamiast trzech rodzajów dżemu, na stół wjechało sześć.

— Pańska reputacja ma ogromne zalety, panie Wolfe — rzekł Wade Worthy siadając. — Cóż za obfitość!

— Proszę nie zwracać na niego uwagi — powiedziała Lily, lekko dotykając Wolfe'a koniuszkami dwóch palców. — On jest po prostu zazdrosny. Z rozkoszą posmaruję panu grzankę masłem.

Wolfe odrzucił tę propozycję, ale nie spojrzał na Lily spode łba. Gość to skarb. Mimi przyniosła następny półmisek jajecznicy, również z papryką.

Po śniadaniu poszedłem z Wolfem do jego pokoju. Przyznam, że mogło to wyglądać na rozpieszczanie, lecz kierowałem się ciekawością. Tak jak podejrzewałem, kiedy wspólnie z taksówkarzem niosłem walizkę, Wolfe wyjeżdżając z domu przygotował się na dłuższy pobyt, walizka bowiem zawierała jeszcze jeden garnitur — z brązowego samodziału w drobne zielone cętki — drugą parę butów, pięć koszul, dziesięć par skarpetek i tak dalej, a także cztery książki, z których jedną, a mianowicie *Rozwój cywilizacji człowieka od czasów prehistorycznych do rewolucji przemysłowej na przykładzie Indian północnoamerykańskich* Petera Farba, zabrał prawdopodobnie na wszelki wypadek jako źródło podręcznej informacji. Być może przypuszczał, że w gronie podejrzanych znajdzie się jakiś przedstawiciel Czarnych Stóp lub plemienia Chippewa, i chciał poznać ich mentalność.

Kiedy już wszystko zostało rozpakowane, a potem umieszczone w komodzie i szafie, zaproponowałem, byśmy rozmowę przeprowadzili gdzie indziej.

— Skoro to ma być pełne sprawozdanie, potrwa kilka godzin, a ty jesteś przyzwyczajony do większych pomieszczeń. Mój pokój jest dwukrotnie większy od twojego. Możemy też iść do dużego pokoju albo na taras. Prawdopodobnie będzie ci...

— Nie — powiedział Wolfe.

— Nie? Nie chcesz sprawozdania?

— Nie tutaj. Wczoraj wieczorem stałem wrażenie, że ktoś nas podsłuchuje, albo stojąc na zewnątrz pod oknem czy pod drzwiami, albo przez ścianę. Wszystko zawsze

omawialiśmy w pomieszczeniu dźwiękoszczelnym, bezpiecznym, gdzie nikt nam nie przeszkadzał, podczas gdy tutaj... tu są trzy kobiety, a jedna z nich to istna zaraza. Nie możemy, u licha, dokąds pójść?

— Jeśli masz na myśli coś pod dachem, to nie. Poza tym możemy iść wszędzie. Znam dziesiątki miejsc odpowiednich na piknik. Chociaż półki w spiżarni nie są tak pełne jak przed miesiącem, ale jest szynka, jesiotr, suszona wołowina, cztery gatunki sera... coś sobie wybierzemy. W kuchni w lodówce zostało pół pieczonego indyka. W potoku dałoby się schłodzić piwo.

— Daleko?

— Od stu metrów do stu kilometrów. Jeżeli weźmiemy konie...

Rzucił mi karcące spojrzenie i zapytał, gdzie jest spiżarnia.

Była już prawie jedenasta, kiedy wyruszyliśmy, bo Wolfe dobre dwadzieścia minut rozglądał się po półkach i szafach w spiżarni, a ja musiałem zawiadomić Lily, zmienić obuwie i zapakować prowiant do plecaka. Wyszliśmy przez poranny taras. Diana, która tam siedziała w fotelu, popatrzyła na Wolfe'a z nadąsaną miną i powiedziała, że chętnie by z nami poszła. Właściwie to chyba na nią nie warknął.

Tak więc kwadrans po trzeciej siedzieliśmy na kamieniach nad resztkami obiadu; trzy puste puszkę po piwie zdążyły wrócić do plecaka; złożyłem już sprawozdanie, wszystkie pytania zostały zadane i udzielono na nie odpowiedzi. Oczywiście moje sprawozdanie nie było pełne, jeżeli słowo „pełne” oznacza, że niczego nie pominięto, ale Wolfe miał obraz sprawy, łącznie z nazwiskami, kontaktami i gośćmi, którzy już wyjechali — mnóstwo szczegółów, których tutaj nie podaję. O krawędź kamienia, na którym siedział Wolfe, ocierały się pnie trzech młodych drzewek. Próbował się o nie oprzeć, ale wówczas nogi dyndały mu w powietrzu, więc dał sobie z tym spokój. Teraz chciał ponowić próbę, mruknął ze złością, zsunął się z kamienia, stanął i otworzył usta, jakby chciał się odezwać, lecz zrezygnował, bo coś przyciągnęło jego wzrok.

— Co to? — spytał w końcu, pokazując palcem.

Obejrzałem się. Zaledwie dwadzieścia metrów od nas siedział na gałęzi duży szary ptak, niecałe dwa metry nad ziemią.

— Głuptok — odparłem. — To rodzaj głuźca, który myśli, że nic mu nie grozi. Gdybym teraz do niego podszedł wolno i spokojnie, mógłbym go złapać gołą ręką.

— Czy one nadają się do jedzenia?

— Pewnie. Są bardzo smaczne.

— I jeszcze nie wyginęły?

— Kiedyś o to pytałem i sprawa najwyraźniej przedstawia się tak, że jeśli jakieś dzikie stworzenie ma za mało rozumu, by zachowywać się jak dzikie stworzenie, to wreszcie trafia je szlag. Dlatego nazywają go tutaj głuptokiem. Teraz rzadko się je widuje.

Wolfe podszedł do drzewa, oparł się o nie dla utrzymania równowagi i potrząsnął najpierw prawą nogą, potem lewą, żeby odwinąć nogawki spodni.

— Chciałbym zrobić pewną rzecz — powiedział.

— Chodzi mi o telefon. Napisałeś, że linia pani Rowan może być na podsłuchu. Jeśli tak, to kto go założył, szeryf czy prokurator okręgowy?

— Szeryf.

— A więc nie mogę skorzystać z jej aparatu. Czy jest tu gdzieś taki, z którego można by bezpiecznie zadzwonić?

Kiwnąłem głową.

— W Lame Horse. Chcesz dzwonić do Nowego Jorku? Do Saula?

— Nie. Do pana Veale'a.

— Nie wymieniałem nikogo o takim nazwisku.

— Ja wymieniałem... ale tylko jego stanowisko. To ten prokurator stanowy z Heleny. Mam jego numer. On wie, że tu jestem. Wczoraj na moją prośbę McFarland ponownie do niego zadzwonił, by mu powiedzieć, że przyjeżdżam. Widziałem się z nim, kiedy wylądowałem w Helenie. Muszę go o coś zapytać.

Wstałem i podniosłem plecak. Powiedziałem, że prawdopodobnie będziemy mogli wziąć samochód Lily, a jeśli nie, to pożyczymy na farmie. Ruszyliśmy. Ponieważ mieliśmy równe prawa, mógłbym prosić Wolfe'a, by mnie poinformował, o co chce zapytać prokuratora Klanowego, ale mi na tym nie zależało, bo wiedziałem, że jakiegokolwiek pytania zadawane przez niego dowolnej osobie nie są w stanie pogorszyć sytuacji.

Zejście sprawiało mu większą trudność niż wejście, zbrocze było bowiem strome i w paru miejscach każdy mógłby się wywalić, ale jakoś zdołał wrócić cało. Samochód stał na swoim zwykłym miejscu. Wszedłem do domu, pozbyłem się plecaka, zajrzałem na chwilę do pokoju Wolfe'a, by przepisać numer telefonu z kartki papieru w szufladzie, znalazłem Lily na tarasie od strony potoku i spytałem ją, czy samochód jest wolny, bo mamy sprawę do załatwienia w Lane Horse. Odparła, że możemy go wziąć, i zapytała, czy wrócimy na kolację. Powiedziałem, że tak i że po prostu chcemy załatwić telefon, o którym opowiem jej później. Wolfe uznał za rzecz oczywistą, że dostaniemy samochód, i już w nim siedział, co jak na gościa było trochę bezczelne, lecz — wbrew swoim obyczajom — z przodu. W swoim własnym sedanie, najczęściej prowadzonym przeze mnie, zawsze siada z tyłu, gdzie ma specjalny uchwyt, którego może się przytrzymać, gdy samochód podskakuje na wybojach lub potraça jakiś inny pojazd. Zająłem miejsce kierowcy i odjechaliśmy. Kiedy skręcałem z alei na drogę, jakieś zwierzę wyskoczyło z kępy trawy, susami przebiegło przed maską samochodu i zniknęło w zaroślach.

— Miejscowy zając? — spytał Wolfe.

— Nie przyjrzałem się, ale jeśli to był zając preriowy, to one nie nadają się do jedzenia. — Ominąłem kamienie leżące na drodze. — Człowiek, którego chcemy poprosić, żeby pozwolił nam skorzystać ze swojego telefonu, to Woodrow Stepanian. Jak już ci mówiłem, należy do tych kilku osób, co uważają, że Harvey jest czysty.

— Dom kultury. Przed trzema laty wspominałeś mi, że Stepanian próbował cię namówić do czytania esejów Bacona.

— Widzę, że masz dobrą pamięć. Może ci się przydać.

— Zwolniłem wjeżdżając w sporą wyrwę, a potem wspiałem się na jej drugi brzeg. — Nie zapomnij podać mu ręki. Tu wszyscy zawsze się tak witają, a ty dla nich i bez tego masz już dość wad.

— Wiesz, że tego nie cierpię.

— Taa, wiem. Ale cóż to jest wobec tego, co przeszedłeś od wczoraj?

Zacisnął wargi i odwrócił głowę, by popatrzeć na znikające w norach wiewiórki ziemne.

O czwartej po południu Lane Horse pod jednym względem znacznie góruje nad Nowym Jorkiem — jeśli chodzi o parkowanie. Nie ma z tym żadnego problemu, z wyjątkiem sobotnich wieczorów. Kiedy wysiedliśmy z samochodu przed samym wejściem do domu kultury, Wolfe przez chwilę rozglądał się na wszystkie strony, zanim weszliśmy do środka. Przy stoliku, gdzie rozgrywano partię czteroosobowej gry w układanie słów za pomocą klocków z literami, siedział tylko jeden człowiek Woody. Na karteczkach leżących na blacie widniały nazwiska graczy: William Szekspir, John Milton, Ralph Waldo Emerson i Woodrow Stepanian. Kiedyś już widziałem tę grę, lecz uczestnicy byli inni, oczywiście poza Woodym. Wstał, gdy podeszliśmy. Dokonałem prezentacji i Wolfe, jak prawdziwy dżentelmen, przyjął podaną mu dłoń. Przyznaję, że kiedy ściska komuś rękę, robi to elegancko.

— Jestem zaszczycony — rzekł Woody. — Kłaniam nie panom. Może partyjkę?

Wolfe przecząco pokręcił głową.

— Ja w to nie grywam. Lubię używać słów, ale nie | lubię się nimi bawić.

— Przyszliśmy prosić cię o przysługę — powiedziałem. Musimy zadzwonić, a możliwe, że szeryf założył podsłuch u pani Rowan. Kazała ci się kłaniać. Możemy skorzystać z twojego telefonu?

Odparł, że oczywiście tak, spojrzał na grę, mruknął do siebie „Teraz Milton” i wszedł do pomieszczenia za ażurowymi drzwiami. Wolfe podszedł do telefonu stojącego na biurku w kącie pokoju i usiadł w fotelu, który może pasował Woody’emu, ale dla niego był za mały. Powiedziałem mu, żeby połączył się z centralą i podał numer telefonistce. Skrzywił się, jak zawsze, gdy musiał dzwonić, i podniósł słuchawkę.

Nie było drugiej słuchawki, mogę więc zrelacjonować tę rozmowę tylko z jednej strony. Wolfe się przedstawił i poprosił pana Veale’a. Czekał dwie minuty.

— Tak, przy telefonie... Nie, nie w Timberburgu. Zatrzymałem się w domu pracodawczyni pana Greve’a, tej kobiety, która ma tutaj rancho... Tak, pani Lily Rowan. Uznałem, że muszę niezwłocznie porozmawiać z panem Jessupem, i muszę wiedzieć, czy pan już się z nim skontaktował... Tak, wiem. Rozumiem potrzebę zachowania dyskrecji... Nie, lecz on nie wie, gdzie jestem... Tak, istotnie. Jestem panu bardzo zobowiązany. Będzie również pan McFarland.

Położył słuchawkę na widełkach, odwrócił się do mnie i powiedział:

— Połącz mnie z Jessupem. — Zmarszczył brwi i dodał: — Bardzo cię proszę.

Przeszkadzało mu jednak to, że byliśmy na równych prawach.

Nie musiałem szukać numeru, do prokuratora okręgowego w Timberburgu dzwoniłem bowiem już czterokrotnie, kiedy próbowałem się z nim umówić. Stojąc przy końcu biurka, sięgnąłem do telefonu, nakręciłem numer, powiedziałem kobiecie, która podniosła słuchawkę, że Nero Wolfe pragnie rozmawiać z panem Jessupem i po jakiejś minucie usłyszałem jego głos.

— Pan Wolfe?

— Nie, Archie Goodwin. Już daję pana Wolfe’a.

I znów mogę relacjonować jedynie połowę rozmowy.

— Pan Jessup? Tu Nero Wolfe. Sądzę, że pan Veale wspominał panu o mnie... Tak, mówił mi... Tak, oczywiście... O wiele bardziej odpowiadałoby mi dzisiaj... Tak, doskonale to rozumiem... Nie, nie wiem. Najlepiej będzie porozmawiać o tym z panem Goodwinem.

Oddał mi słuchawkę.

— Archie Goodwin.

— Czy pan wie, gdzie jest Cmentarz Whedona?

— Pewnie.

— Wyjadę stąd za jakieś dziesięć minut... może dwadzieścia... i tam się spotkamy. Czy będzie jeszcze ktoś poza panem i panem Wolfem?

Kiedy zaprzeczyłem, powiedział, że bardzo dobrze, i odłożył słuchawkę.

— Spotkamy się na Cmentarzu Whedona, a tam jest trochę dalej z Timberburga niż stąd. Jakies piętnaście kilometrów.

— Na cmentarzu?

— To nie cmentarz. Dawno temu niejaki Whedon wpadł na pomysł, żeby siać tam pszenicę, a kiedy spróbował, podobno umarł z głodu, ale ja w to nie wierzę. Nasza sprawa zaczyna wyglądać interesująco. Jessup nie chce, byśmy przyszli do jego biura, bo w tym samym budynku urzęduje szeryf. — Spojrzałem na zegarek; była za pięć piąta. — Zadzwonię do Lily i powiem jej, że spóźnimy się na kolację.

W czasie, gdy to robiłem, a później pytałem telefonistkę, ile kosztowały nasze rozmowy, Wolfe oglądał wystawione materiały kulturalne. Kiedy wyszliśmy, spodziewałem się zobaczyć przed wejściem Woody’ego, ale go nie byk). Stał z małą grupką ludzi pod sklepem Vewtera, obserwując gonitwę, a raczej pościg na drodze. Jakiś niski, chudy mężczyzna w dżinsach pędził bez koszuli środkiem jezdni. Około dziesięciu metrów za nim biegła tłusta

baba a czerwonej twarzy, wymachująca długim skórzanym pasem. Zbliżając się do sklepu, mężczyzna wrzasnął:

— Łapcie ją na łąasso, do cholery! Łapcie!

Znowu krzyknął to samo, zobaczywszy Wolfe'a i mnie. Tuż przed nami gwałtownie skręcił w prawo, połknął się i o mało nie upadł, a potem ruszył ścieżką między domami. Kobieta deptała mu po piętach i już prawie go dopadła, gdy znikali za rogiem.

Wolfe spojrział na mnie, unosząc brwi.

Tutaj to normalka — powiedziałem. — Mniej więcej raz na miesiąc państwo Barnes urządzają takie sceny. Ona piecze chleb i ciasto, a potem sprzedaje swoje wyroby, on zaś podkrađa jej pieniądze i upija się bimbrem kupowanym na mecie, którą prowadzi niejaka Henrietta. Ludzie mówią, że pani Barnes nie chowa forsy przed mężem tam, gdzie nie mógłby jej znaleźć, bo w przeciwnym wypadku popsułaby widowisko. Gdyby nie był zaprawiony, nigdy by go nie złapała. Powodem, dla którego on wrzeszczy „Łapcie ją na łąasso!”, jest wydarzenie sprzed dwóch lat, kiedy to jakiś kowboj akurat próbował nowe łąasso, które dopiero co kupił u Wawtera, a gdy Barnes go zobaczył, to krzyknął do niego, by złapał ją na łąasso, i ten kowboj ją złapał. Od tego czasu Barnes zawsze tak woła.

— Czy ten chleb, co jedliśmy na śniadanie, to od niej?

— Tak. Solankowy. Wtroiłeś cztery kromki.

— Całkiem niezły.

Wolfe podszedł do samochodu i wgramolił się do środka. Wrócił Woody, któremu z podziękowaniem zapłaciłem za telefony. Pomachałem Wawterom, którzy jeszcze stali przed sklepem, oczywiście zastanawiając się, kim jest ten facet w moim towarzystwie, usiadłem za kółkiem, włączyłem silnik i powoli zjechałem z pobocza na asfalt.

— Specjalnie jeździsz po wybojach — odezwał się Wolfe, kiedy przejechaliśmy już kilka kilometrów.

— Nic podobnego. Taka droga... Spróbuj sam poprowadzić i zobaczysz, czy da się je ominąć. Poza tym ten samochód nie ma tak dobrych amortyzatorów jak twój. — Znowu podskoczyliśmy na wyboju. — Nie uważasz, że nie zaszkodziłoby poinformować mnie, co zamierzasz powiedzieć Jessupowi?

— Nie. Przy takiej trzęsionce? Zadecyduję, co mu powiem i jak, kiedy go zobaczę.

Jeśli chce się zwiedzić Cmentarz Whedona, trzeba dokładnie wiedzieć, gdzie to jest. Nie ma tam żadnego znaku ani drogi dojazdowej, choć prawdopodobnie kiedyś była, w czasach, gdy Whedon próbował siać pszenicę.

Obecnie trzeba skręcić w prawo między kępą osik rosnących blisko asfaltu a kanałem pod drogą, zjechać na suchą trawę — suchą w sierpniu — następnie trzymać się skraju parowu u stóp wzgórza i po kilkuset metrach jest się na miejscu. Widok nie daje szczególnych powodów do zadowolenia, że człowiek się tam znalazł. To, co kiedyś przypuszczalnie było domem, teraz jest kupą drewna, z której pod dziwnymi kątami sterczą różne stare belki i deski, inne walają się dokoła. Jeśli ktoś lubi oglądać gołe zwietrzałe kości, to jest ich tam trochę tu i ówdzie. Prawdopodobnie porozrzucali je zwiedzający, kiedy już nic napatrzyli. Johnny Wawter twierdzi, że niektóre z nich I o kości Whedona, ale przyznaje, że nie jest fachowcem, powołuje się jednak na opinię przedsiębiorcy pogrzebowego z Timberburga, lecz ja tego nie sprawdziłem.

Znam samochód Jessupa, ciemnoniebieskiego Forda, ttle go tam nie było. Poza tym, co opisałem, nie widziałem kuno i nikogo. Odwróciłem samochód o sto osiemdziesiąt stopni i zgasilem silnik.

— Mam propozycję — rzekłem. — Jeśli on usiądzie z tyłu, będziesz musiał się odwrócić, żeby na niego patrzeć. Jeśli ty usiądziesz z tyłu, a on obok mnie, to on będzie musiał się odwrócić.

— Jeszcze nigdy nie prowadziłem ważnych rozmów w samochodzie.

— Owszem, prowadziłeś. Raz z Lily, raz ze mną i parę razy z innymi osobami. Twoja pamięć rzeczywiście świetnie funkcjonuje. Przecież sam kiedyś powiedziałeś, że jedną z istotnych funkcji pamięci jest zapominanie o tym, czego nie chcemy pamiętać. A gdzie byś chciał tu usiąść? Na tym cmentarzu nie ma nagrobków.

Wolfe otworzył drzwi i przesiadł się do tyłu. Odwróciłem głowę i powiedziałem:

— Dużo lepiej. Kiedyś dotrze do ciebie, jak bardzo ci się przydaje.

— Fuj. Co ja tu robię, trzy tysiące kilometrów od własnego domu?

— Walczysz o sprawiedliwość, naprawiasz zło. Wracając do Jessupa, dobrze by było, gdybyś wiedział, że urodził się w Montanie, ma czterdzieści jeden lat, jest szczęśliwym małżonkiem i ojcem trojga dzieci. Studiował na Uniwersytecie Montany w Missouri. W moim sprawozdaniu nie wspomniałem, że zdaniem Luthera Dawsona Jessup zostanie raczej sędzią niż gubernatorem. Na wydziale prawa zajął czwartą lokatę w swojej grupie, a... właśnie jedzie.

Ponieważ byliśmy ustawieni przodem, nie musieliśmy wykręcać sobie szyj, by zobaczyć, jak Ford wyjeżdża zza wzgórza i podskakuje na skraju parowu. Zatrzymał się w odległości jakichś dwudziestu metrów, a potem znów ruszył i stanął obok nas. Sądziłem, że Jessup prawdopodobnie kogoś ze sobą przywiezie, byśmy nie mieli nad nim przewagi liczebnej, ale był sam. Wysiadł, skinął mi głową i podszedł do tylnych drzwi.

— Jestem Tom Jessup — rzekł podając Wolfe'owi rękę przez otwarte okno.

Myślałem, że Wolfe zachowa się normalnie, jednakże przedstawiając się, uściśnął mi dłoń wbrew swoim zwyczajom. Jessup powiedział, że nasz samochód wydaje mu się większy niż jego, a myśmy to potwierdzili. Kiedy przeszedł na drugą stronę, pochyliłem się, by otworzyć przednie drzwi. Jessup natychmiast zrozumiał, o co chodzi, wszedł i odwrócił się do mnie.

— Przyjechałem tu zobaczyć się z panem Wolfem i usłyszeć, co ma mi do powiedzenia — rzekł — ale najpierw chciałbym o czymś napomknąć. Parę dni temu powiedział pan, że nie wie, dlaczego wysoki urzędnik stanowy interesuje się tą sprawą, a teraz wszystko jest dla mnie jasne... No cóż, nie mówił pan prawdy. Pan to wiedział.

— Proszę posłuchać — odparłem. — Zamiast nazywać mnie kłamcą, dlaczego się pan nie zapyta? Nie wiedziałem, że to z inicjatywy pana Wolfe'a, dopóki wczoraj wieczorem nie zobaczyłem, jak wysiada z taksówki. Dowodem na to, że nie kłamię, może być następujący fakt: gdybym wiedział o jego przyjeździe, pojechałbym po niego do Timberburga czy nawet do Heleny. Teraz to już i tak bez znaczenia, bo pan zakłada, że prokurator stanowy chciał mieć tamto sprawozdanie właśnie dla niego.

— Nie zakładam, lecz wiem. — Odwrócił się do tyłu, kładąc kolano na siedzeniu. — Proszę pana, jestem urzędnikiem reprezentującym prawo. Mój przełożony, który także reprezentuje prawo, powiedział mi, że przyjechał pan tutaj prowadzić śle... eee... dowiedzieć się, jak wygląda sprawa Harveya Greve'a, i poprosił mnie, powiedzmy, że mnie poprosił, bym... bym przyjął pana z należytym szacunkiem. Staram się...

— Nie powiedział, żeby pan ze mną współpracował? — spytał Wolfe.

— Może i powiedział... Staram się okazywać należyty szacunek wszystkim obywatelom, zarówno jako urzędnik, jak i człowiek, ale głównym moim obowiązkiem jest przede wszystkim służyć mieszkańcom tego okręgu którzy po to mnie wybrali. Będę z panem szczerzy: pan prokurator stanowy zwrócił się do mnie z taką prośbą po raz pierwszy. Nie chciałbym odmawiać jej spełnienia ani jej lekceważyć, chyba że będę musiał. Również pana proszę o szczerłość. Pragnę, by mi pan powiedział, jakich nacisków użył pan wobec pana Veale'a, aby go do tego nakłonić.

Wolfe skinął głową.

— Naturalnie, że chciałby pan to wiedzieć, a jest wielu urzędników reprezentujących prawo, którzy nie zawracaliby sobie głowy, żeby o to zapytać. Czy pan Veale wymieniał jakieś nazwiska?

— Jedynie pańskie... i pana Goodwina.

— Wobec tego nie mogę być równie szczery jak pan. „Naciski” to prawdopodobnie w tym wypadku zbyt mocne słowo. Nie mam żadnych znajomości w Montanie... ani politycznych, ani zawodowych, ani prywatnych... absolutnie żadnych, ale w Nowym Jorku znam człowieka, który je ma, człowieka przychylnie do mnie nastawionego. Ponieważ pan Veale nie wymienił jego nazwiska, mnie także nie wolno tego zrobić, wiem jednak, że to człowiek uczciwy i honorowy. Przypuszczam, że zwyczajnie poprosił pana Veale’a o przysługę. Jestem pewien, że nie użył żadnych nacisków, które w pańskim mniemaniu mogłyby mieć jakiś związek z brudnymi interesami czy korupcją... ale oczywiście kwestia wartości moich zapewnień pozostaje otwarta. Przecież pan mnie nie zna.

— Jednak pańskie nazwisko jest mi znane. Zna je większość ludzi, nawet tutaj. Dzwoniłem do dwóch osób w Nowym Jorku, jedna z nich jest prokuratorem dzielnicowym, i w rezultacie dowiedziałem się, że na pańskim słowie można polegać, ale każdy, kto ma z panem do czynienia, powinien sam się o tym przekonać.

Wolfe lekko się uśmiechnął kącikami ust.

— Mówi pan jak Pytia. Proszę zatem wskazać sposób, w jaki mógłbym pana przekonać.

— Nie poda mi pan tego nazwiska? Nawet w sekrecie?

— Nie. Skoro pan Veale tego nie zrobił, to i ja nie mogę. — Wolfe odchylił głowę do tyłu.

— Jedno pytanie, proszę pana. Dlaczego mnie pan nie zapytał, jakiego rodzaju współpracy oczekuję od pana? Rozumiem, że naturalnie współpracowałby pan ze mną nawet bez prośby ze strony pana Veale’a.

— No dobrze, czego pan oczekuje?

Wolfe na chwilę zamknął oczy.

— Oczekuję, że mi się umożliwi prowadzenie śledztwa bez żadnych utrudnień. Pan Goodwin próbuje to robić od dziesięciu dni, lecz całkowicie udaremiono mu wszelkie starania. Nie ma żadnego punktu zaczepienia. Nikt nie chce mu nic powiedzieć. Nie zna nie tylko Nlanowiska oskarżenia, ale również nawet pełnomocnika pana Greve’a, ponieważ adwokat wynajęty przez panią Rowan jest przekonany, tak samo zresztą jak i pan, że to właśnie pan Greve zabił tego człowieka.

— To nie tylko przekonanie, to wniosek oparty na dowodach.

— Dowodach dostarczonych przez pana Haighta. Zarzucam mu niedopełnienie obowiązków graniczące z nadużyciem. On ma pewne animozje do pana Greve’a. Zgromadziwszy we własnym mniemaniu wystarczające dowody przeciwko niemu, nie zrobił zupełnie nic, by zbadać inne okoliczności. W tamto czwartkowe popołudnie piętnaście innych osób, które poprzednio kontaktowały się z Brodellem, mogło pieszko dotrzeć do miejsca zbrodni, pan Haight zaś w istocie zignorował ten fakt. Pomijam...

— Może pan to udowodnić?

— Ja mogę — wtrąciłem. — Osoby te nie chcą nic powiedzieć o Brodellu czy morderstwie, ale o Haightcie będą chciały. Niech pan je zapyta.

— Pomijam żonę i córkę pana Greve’a — ciągnął Wolfe — ponieważ wykluczaliśmy je z panem Goodwinem na podstawie dowodów, które nas przekonują, chociaż pana by nie przekonały. Za decydujący dowód nic uznałby pan również tego, co każe nam uważać, że pan Greve jest niewinny, lecz to nie ma znaczenia, nam bowiem chodzi o to, i tylko o to jedno, byśmy mieli możliwość skutecznego prowadzenia śledztwa. Rozumiem, iż w tej chwili nie ma dowodów, które oczyściłyby pana Greve’a, lecz się domagam, by uznano nasze prawo do ich szukania.

— Ani ja, ani nikt nie odmawia panom tego prawa. Proszę kontynuować.

— Fuj. To puste słowa i pan świetnie o tym wie. Równie dobrze mógłby pan powiedzieć człowiekowi bez nóg, że nie odmawia mu pan prawa do chodzenia. Proszę więc, by to prawo potwierdzono czynem, spełniając w ten sposób oczekiwania pana Goodwina i moje.

Wiadomo, że nie uzyskamy tego od pana Haighta, ale mamy nadzieję uzyskać to od pana. Mówiono mi, że w Montanie każdy prokurator okręgowy działa przeważnie na podstawie informacji dostarczonych mu przez szeryfa i policję stanową, chociaż często prowadzi niezależne śledztwo... sam lub za pośrednictwem swoich podwładnych, a w razie potrzeby korzysta z innych, wybranych przez siebie osób. Z panem Goodwinem pragniemy prowadzić dochodzenie w pańskim imieniu. Potrzebne nam są tylko pisemne upoważnienia. Mamy niezbędne kwalifikacje zawodowe, a ponadto nie oczekujemy ani nie zamierzamy przyjąć żadnego wynagrodzenia czy zwrotu poniesionych kosztów.

— Rozumiem — powiedział Jessup. Spojrzał na mnie, zobaczył szczerą twarz człowieka, który gotów jest przyjść mu z pomocą, i znów odwrócił się do Wolfe'a. — Tylko tyle, he? Pan Veale to zaproponował?

— Nie, ja. Prawdopodobnie uznał to za rozsądne, bo w przeciwnym wypadku by nie prosił, żeby się pan ze mną spotkał. Z pańskim upoważnieniem nie bylibyśmy traktowani jak nadęci intruzi. Każdy musiałby nas uznać i wysłuchać, a przy tym moglibyśmy żądać odpowiedzi na zadawane pytania.

Jessup najpierw się uśmiechnął, a potem zapewne doszedł do wniosku, że to zbyt mało, i zaczął się śmiać pełną gębą, lecz chyba nie z nas, byłoby to bowiem nie na miejscu. Gdybym miał pewność, że z szeryfa Haighta, to bym się przyłączył, ale nie miałem.

Wreszcie przestał się śmiać i spojrzał na Wolfe'a.

— Należałoby się zastanowić — rzekł.

— I warto — odparł Wolfe, skinąwszy głową.

— Nie wiem, czy panowie zdają sobie sprawę, jakie skutki mogłoby to mieć dla mnie... dla mojej kariery. Dla panów wszelka wywołana przez was niechęć byłaby epizodem, a ja miałbym ją na stałe.

— Wszelki poklask, jaki my byśmy zdobyli, również miałby pan na stałe.

— Tak, ale jeślibyście go zdobyli. Ryzykowałbym swoją przyszłość, uzależniając ją od waszego... eee... postępowania. Najwyraźniej macie nadzieję oczyścić Greve'a, jednak z dowodami, którymi dysponujecie, nie sposób wykazać jego niewinności, o ile nie udowodnicie, że ktoś inny jest winien. Kto?

— Ani ja nie mam pojęcia, ani pan Goodwin. Nawet Jeszcze nie podejrzewamy żadnej konkretnej osoby. Jesteśmy tylko głęboko przeświadczeni, na podstawie dowodów dla nas wystarczających, że pan Greve jest niewinny, i pragniemy tego dowieść.

— Nawet jeśli ja nie będę „współpracował”?

— Owszem. Skoro pan nie zechce nam pomóc, to może pan Veale będzie chciał, a jeśli nie, to i tak jeszcze nam pozostają fundusze pani Rowan i nasze kwalifikacje detektywistyczne. Może to potrwać wiele miesięcy, nawet lat, ale jesteśmy zdeterminowani i ambitni.

— Czy pan Veale mówił, że będzie z wami współpracował, jeżeli ja się nie zgodzę?

— Nie. Powiedział, że mógłby, jednak niczego nie obiecywał.

— A więc pan mi grozi.

— Proszę pana, nie można deprecjonować zamiaru, nazywając go groźbą.

— Nie, ale bywają zamiary, które są groźbami. Radzono mi, żebym sam się przekonał, czy można polegać na pańskim słowie. Powiedział pan, cytując: „Nawet jeszcze nie podejrzewamy żadnej konkretnej osoby”, a ja to skonkretyzuję. Czy podejrzewają panowie Gilberta Haighta?

— Tylko ogólnie, tak jak innych. Miałby powód, ale ma też alibi, które wygląda na mocne. Pan Goodwin próbował je sprawdzić, lecz jego wysiłki okazały się daremne, jak zresztą w wypadku wszystkich pozostałych osób. Wspomniał pan, że ryzykowałby swoją przyszłość, uzależniając ją od naszego postępowania. Pan już to robi, uzależniając ją od postępowania pana Haighta. Co będzie, jeżeli na podstawie dostarczonych przez niego dowodów uzyska

pan dla Greve'a wyrok skazujący, a po miesiącu czy roku my przedstawimy dowody świadczące o jego niewinności?

Jessup odwrócił się, usiadł normalnie, wyciągnął przed siebie nogi i wbił wzrok w tablicę rozdzielczą. Mam pewną teorię dotyczącą tego rodzaju spojrzeń w podobnych sytuacjach: im mniej mrugnięć, tym intensywniejsze myślenie. Jeśli oczy mrugają zaledwie trzy do czterech razy na minutę, to umysł pracuje tak szybko, jak tylko potrafi, a Jessup mrugnął zaledwie jedenaście razy w ciągu trzech minut. Później częstotliwość mrugnięć się zwiększyła, dochodząc do normy, gdy znów odwrócił się do Wolfe'a.

— Coś panu powiem — rzekł. — Wspomniał pan, że mógłbym z wami współpracować, nawet gdyby pan Veale mnie o to nie poprosił. Chyba mógłbym. Rany boskie, mógłbym, ale pan dotarł do mnie za jego pośrednictwem, a to mi się nie podoba, muszę więc wszystko przemyśleć. Pragnę omówić to z pewną osobą i później zawiadomię pana.

Wolfe zmarszczył brwi.

— Mam nadzieję, że nie z panem Haightem — powiedział.

— Oczywiście, że nie. Z tamtą osobą zawsze łączą mnie identyczne interesy. To moja żona. Wkrótce dam panu znać.

— Im wcześniej, tym lepiej.

Jessup skinął głową.

— Prawdopodobnie jeszcze dziś wieczorem. Gdzie będę mógł pana zastać? U pani Rowan?

Wolfe, wciąż ze zmarszczonymi brwiami, przytaknął. Jessup otworzył drzwi i przesiadł się do swojego samochodu. Kiedy chciał nim zawrócić, przeszkodziła mu jakaś belka i musiał manewrować. Właśnie dlatego zawsze parkuję tyłem; lubię odjeżdżać szybko i bez trudności, zwłaszcza że czasem sytuacja tego wymaga.

— A więc teraz wszystko zależy od kobiety — stwierdziłem, gdy Ford Jessupa się oddalał, podskakując nad skrajem parowu.

— Co za osioł — mruknął Wolfe. — Nie ma takich dwóch osób, które by zawsze miały identyczne interesy.

— No... prawnik powinien to wiedzieć. Poza tym Cholernie kłamie. Gdyby nie Veale, to nawet by na dębnie nie spojrział, a tym bardziej nie przyjechałby na Cmentarz Whedona, żeby się z tobą zobaczyć.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce, silnik zaskoczył i ruszyliśmy. Była za trzy szósta, dobrze więc, że zadzwoniłem do Lily. Kiedy dotarliśmy do asfaltu, opylałem Wolfe'a, czy mam jechać wolno, omijając wyboje, co przedłuży powrót, czy też szybko, nie zwracając na nie uwagi, ale w odpowiedzi otrzymałem jedynie wymowne spojrzenie.

Około półtora kilometra przed Lane Horse nagle się odewał:

— Stań.

Powiedział to głośniej niż należało, prawie krzyknął, lecz przecież znajdował się w jadącym samochodzie. Poza tym nie dodał „proszę”, jednak nie była to ani pora, ani miejsce na etykietę. Zwolniłem, zjechałem na pobocze, zaciągnąłem hamulec.

— Co jest grane? — spytałem.

— Czy o tej godzinie dałoby się zadzwonić od Stepaniana?

— Prawdopodobnie tak. On mieszka na zapleczu, w tym samym budynku.

— Skoro tak, zadzwonisz do Saula. Która teraz godzina w Nowym Jorku?

— Ósma. Trochę po. On jest w domu. Dzisiaj czwartkowy poker.

— Więc do niego zadzwoń. Niewykluczone, choć mnie by się to nie podobało, że trzy razy dziennie siedzimy przy jednym stole z mordercą, a do tego, by zadzwonić, nie musimy mieć żadnych upoważnień. Powiesz mu, że chcemy się dowiedzieć, czy Brodell miał jakieś kontakty z panią Kadany albo Worthym, kiedy przyjeżdżał do Nowego Jorku. Nie mógłbyś dyskretnie zdobyć ich zdjęć, żeby mu je wysłać?

— Mógłbym, ale wątpię, czy to potrzebne. Ona jest aktorką, więc nie będzie miał żadnych trudności ze zdobyciem jej zdjęcia, jeśli zaś chodzi o Worthy'ego, to jego wydawca prawie na pewno coś znajdzie. Chyba najpierw powinienem jednak zadzwonić do Lily, żeby jej o tym powiedzieć.

— Później jej powiesz... albo sam to zrobię. Ja zapłacę Saulowi i pokryję jego wydatki.

— Ona będzie chciała zapłacić.

— No to zapłaci. To bez znaczenia.

Powiedziałem, że w takim razie wszystko w porządku, i zwinęłam hamulec. Wjeżdżając z powrotem na asfalt, zakonotowałam sobie w pamięci zdumiewające oświadczenie Wolfe'a, że tysiąc dolarów czy dwa, a może nawet więcej, to bez znaczenia. W przyszłości będę się mógł na nie powołać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ośmiostronicowe „Wiadomości Okręgu Monroe”, które wychodziły w Timberburgu raz na tydzień, w piątek po południu, docierały do sklepu Vawtera w Lame Morse tego samego dnia około siedemnastej. Kupowaliśmy je zwykle w sobotę, a czasami nawet w poniedziałek czy wtorek, ale tego piątku nieprzypadkowo znalazłem mię u Vawtera, kiedy nadeszło nowe wydanie, i kupiłem dwa dodatkowe egzemplarze. O wpół do szóstej siedziałem z Wolfem w jego pokoju, rozmawiając z nim o następującej wiadomości z pierwszej strony:

SŁYNNY NOWOJORSKI TAJNIAK NA TROPIE MORDERCY PHILIPA BRODELLA

(Informacja własna)

Prokurator okręgowy Thomas R. Jessup oświadczył nam, że ustalił z Nero Wolfem, znanym detektywem o międzynarodowej sławie, oraz jego zaufanym asystentem, Archie Goodwinem, iż pomogą mu prowadzić śledztwo w sprawie morderstwa popełnionego w dniu 25 lipca br. na Philipie Brodellu z St. Louis, który przebywał na wczasach w gospodarstwie Williama T. Farnhama koło i Lame Horse.

Zapytany przez reportera „Wiadomości”, czy oczekuje, że Wolfe z Goodwinem uzupełnią dowody przeciwko Harveyowi Greve’owi, który jest podejrzany o to zabójstwo i przebywa w areszcie, Thomas Jessup powiedział:

— Nie ma takiej potrzeby i nie o to mi chodziło. Gdybym nie posiadał wystarczających dowodów, Greve nie zostałby postawiony w stan oskarżenia i nie przebywałby w areszcie bez możliwości zwolnienia za kaucją. Idzie po prostu o to, że dowiedziałem się o przyjeździe Nero Wolfe’a do naszego okręgu, a ponieważ sprawa tego morderstwa wzbudziła żywe zainteresowanie w całym kraju i mieszkańcy Monroe, wszyscy mieszkańcy Montany, zapewne życzyliby sobie, abym skorzystał z usług tak wybitnego specjalisty jak on, gdyby tylko było to możliwe, a że było, więc nie omieszkałem tego uczynić.

Prokurator okręgowy dodał:

— Wolfe i Goodwin będą oczywiście pracowali pod moim kierownictwem i nadzorem. Okręg nie poniesie w związku z tym żadnych wydatków, gdyż obaj detektywi zrobią to honorowo. Wszystko, co ustalą, zostanie dokładnie przeanalizowane i sprawdzone przez prokuraturę. Jeżeli nie znajdą żadnych nowych dowodów, nic się nie zmieni, jeśli zaś znajdą, a prokuratura uzna je za istotne, wówczas, jak sądzę, wszyscy mieszkańcy okręgu wraz ze mną będą im wdzięczni za przysługę.

Na pytanie, czy wie, że Archie Goodwin, który jest gościem pani Lily Rowan, właścicielki farmy Bar J.R., próbował znaleźć dowody świadczące na korzyść Greve’a, a nie przeciwko niemu, prokurator okręgowy stwierdził, iż nie dopuści, by prywatne opinie lub zainteresowania Archiego Goodwina albo jakiegokolwiek innej osoby miały wpływ na prowadzone śledztwo.

— To, czego chcę — powiedział — czego pragną obywatele okręgu Monroe, to prawda, cała prawda i tylko prawda.

Szeryf Money Haight, zapytany przez reportera „Wiadomości”, czy konsultowano z nim sprawę dopuszczenia do śledztwa Wolfe’a i Goodwina, oświadczył, iż nie ma nic do powiedzenia na ten temat. Podobnie zareagował na dalsze pytania.

Nero Wolfe, przebywający w domu pani Rowan również jako gość, stwierdził w rozmowie telefonicznej, że w tej sprawie nic nie powie, gdyż jedyną właściwą osobą do udzielania jakichkolwiek informacji na ten temat jest prokurator okręgowy.

Powyższe materiały dotarły do redakcji tuż przed oddaniem niniejszego wydania do druku. Możemy sobie pogratulować, iż jesteśmy pierwszą gazetą w kraju, która je publikuje, a

tygodnikowi nieczęsto się to zdarza. Wysyłamy pięć egzemplarzy tego numeru do Biblioteki Kongresu. Czytajcie nas stale — kiedyś może się Wam to opłacić.

W czasie lektury powyższej wiadomości Wolfe kilkakrotnie się skrzywił, ale kiedy ją omawialiśmy, skrytykował jedynie dwa słowa, uznając „tajniaka” za wulgaryzm, a „nadzór” za bajdurzenie. Przyznał jednak, że jeśli urzędnik na wybieralnym stanowisku mówi wszystko, co myśli, to jest cholernie głupi, o czym każdy wie, zatem nie ma się o co sprzeczać.

Posprzeczailiśmy się jednak poprzedniego wieczora, kiedy Jessup zadzwonił z informacją, że dla dobra publicznego postanowił przyjąć naszą ofertę udzielenia mu pomocy w śledztwie, że o jedenastej rano można odebrać w jego biurze upoważnienia i że ja mam się po nie zgłosić. Trochę mnie zdziwiło, dlaczego akurat ja, ale pewnie się obawiał, że Wolfe będzie chciał zajrzeć do akt sprawy. Posprzeczailiśmy się właśnie wtedy. Powiedziałem mu, że po odebraniu upoważnień od razu wybieram się na stację benzynową Presto porozmawiać z Gilem Haightem, lecz Wolfe zaprotestował, na co oświadczyłem, że od czegoś muszę zacząć, a poza tym chciałbym ujrzeć minę tego chłopaka, gdy machnę mu przed nosem upoważnieniem.

— Nie — z naciskiem powtórzył Wolfe. — Jego alibi uda się podważyć jedynie za pośrednictwem osób, które mu je zapewniają, z tym zaś można poczekać do czasu, gdy nie będziemy mieli nic lepszego do roboty.

— Ja nie mam nic lepszego do roboty, jak tylko powiedzieć Gilowi, że chcę mu zadać parę pytań i dowiedzieć się od niego, czy woli udzielić na nie odpowiedzi w prokuraturze. I tak właśnie zrobię.

— Powiedziałem nie.

— Ale ja mówię tak, a chodzi o to, co ja chcę robić.

No i doszło do konfrontacji. Zwarliśmy się spojrzeniami. Ja spoglądałem na niego jak osoba mu równa, która wie, że nie ma sensu się handryczyć, on zaś zmrużył oczy, aż przypominały szparki. Wreszcie całkiem je zamknął, kilkakrotnie głęboko wciągnął powietrze, a kiedy znów je otworzył, patrzył już normalnie.

— Dziś jest ósmy sierpnia — rzekł. — Czwartek.

— Zgadza się.

— Twój urlop skończył się w środę, trzydziestego pierwszego lipca. Jak wiesz, przywożem ze sobą książeczkę czekową. Wystaw sobie czek na sumę odpowiadającą twojej pensji do końca tego tygodnia, a później będziesz to robił jak zwykle co tydzień.

Uniosłem jedną brew, co czasami pomagało, bo on tego nie potrafił. Było wiele „za” i „przeciw”. „Przeciw”, ponieważ znałem tych ludzi i panującą tutaj atmosferę, on zaś nie, a poza tym bezpłatny urlop wziąłem sobie sam bez porozumienia się z Wolfem. „Za”, gdyż mnie z niego odwołał, czego z kolei on ze mną nie uzgodnił, lecz choć tysiąc czy dwa tysiące dolarów nie sprawiało mu żadnej różnicy, to jednak mnie sprawiało. Zapomniał powiedzieć „proszę”, ale to było w jego stylu. Po mniej więcej minucie „za” przeważyło. Na kartce z notesu sporządziłem rachunek: sześćset dolarów minus sto pięćdziesiąt trzy dolary siedemdziesiąt pięć centów federalnego podatku dochodowego, minus dwadzieścia trzy dolary osiemdziesiąt osiem centów składki ubezpieczeniowej, równa się trzysta osiemdziesiąt dziewięć dolarów trzydzieści siedem centów. Podeszedłem do komody, wyjąłem z szuflady książeczkę czekową, na powyższą sumę wypisałem czek na swoje nazwisko, a następnie podałem go wraz z piórem Wolfe’owi, który złożył podpis i w ten sposób dokonał wypłaty.

— No dobra — powiedziałem. — Czekam na instrukcje, Co mam robić, zamiast przejechać się na Gilu Hillighcie?

— Bo ja wiem? — odparł Wolfe i wstał. — Pora spać. Zobaczymy jutro.

Następnego dnia, czyli w piątek, zepsuła się pogoda. Latem słońce paliło wschodnie zbocza Gór Skalistych od samego rana. W lipcu tylko przez trzy dni trzeba było pamiętać o zabraniu poncho, kiedy siodłało się konia, lecz tym razem rozpadało się na dobre. Łało nieustannie: gdy wstawałem, gdy jechałem do Timberburga, gdy wracałem, spóźniając się na obiad, a wreszcie gdy tuż przed piątą wybrałem się do Lame Horse po „Wiadomości Okręgu Monroe”. Nie posądzałem Wolfe’a o stosowanie taktyki uników, choć więc mieliśmy już upoważnienia na papierze firmowym Jessupa z jego własnoręcznym podpisem i byliśmy gotowi do działania, musiałem jednak się zgodzić, że to dobry pomysł, by poczekać, aż „Wiadomości” opublikują tę informację.

Ponieważ wciąż padało, więc na „potokowym” tarasie było zimno i mokro, kolację jedliśmy w kuchni. Egzemplarz „Wiadomości”, który dałem Lily, leżał na kuchennej półce. Prawdopodobnie Lily uważała, że Mimi powinna wiedzieć o nowym statusie dwóch gości. Pozostali dwoje musieli już widzieć gazetę, kiedy bowiem wszedłem z Wolfem do kuchni, siedząca przy centralnym stole Diana przerwała nakładanie jedzenia na talerz i rzuciła nam takie spojrzenie, jak gdyby widziała nas po raz pierwszy w życiu, a Wade wykrzyknął:

— Moje gratulacje! Nie wiedziałem, że jesteście aż tak sławni. Kiedy zaczynacie?

Odpowiedziałem mu dopiero po kolacji, gdyż nigdy nie rozmawialiśmy o sprawach zawodowych w czasie posiłków. Po moim telefonie do Saula uznaliśmy, że nie należy informować o tym Lily. Byłaby skrepowana wiedząc, że dwóch z jej gości sprawdza przeszłość pozostałych dwojga, a jeżeli Saul nic nie wykryje, to ona nie musi o tym wiedzieć. Sam czułem się trochę niezręcznie, podając Dianie sól czy pytając Wade’a o postępy w pracy. Przypuszczalnie tak samo czuł się Wolfe, ale chyba niepotrzebnie, bo przecież oni doskonale zdawali sobie sprawę, że gdyby tylko mieli jakiegokolwiek motyw, znaleźliby się wśród głównych podejrzanych. Niemniej istniała jedna szansa na milion, że Saul coś odkryje, a wówczas powstaną kłopoty trudne do przewidzenia. Tymczasem zajmowaliśmy się spożywaniem pieczonego uda baraniego z fasolą (z lodówki), chleba pani Barnes, sałatki z pomidorów oraz ciasta z jagodami, popijanego kawą ze śmietanką. Obserwowałem Dianę, która wyraźnie się zastanawiała, czy powinna zmienić swój stosunek do nas, a jeżeli tak, to w jaki sposób. Wade widocznie już zdecydował. Dla niego w dalszym ciągu byliśmy po prostu kompanami do rozmów o baseballu (ze mną) czy językoznawstwie (z Wolfem).

Ogień płonący na kominku w taki wieczór jak ten stanowił dużą atrakcję, lecz Wolfe zaciągnął mnie do swojego pokoju, jak sądziłem, żeby się zastanowić, co będziemy robić jutro, ale on, zamiast usiąść w swoim fotelu przy oknie, stanął na środku i spytał:

— Czy pan Farnham ma telefon? Odparłem, że ma.

— Czy on przeczyta tę gazetę?

— Chyba tak.

— Zadzwoń i powiedz mu, że chcielibyśmy do niego przyjść i omówić pewne sprawy zarówno z nim, jak i wszelkimi dostępnymi tam osobami.

— Rano?

— Teraz.

Omiał nie palnąć głupstwa, już bowiem otwierałem usta, by powiedzieć, że przecież pada, ale ugryzłem się w język. Ludzie kierują się przyzwyczajeniami. Wielokrotnie się zdarzało, że w czasie złej pogody Wolfe odkładał na później zadania, które mi zlecał, poza szczególnymi wypadkami, na przykład jeśli chodziło o przywiezienie mu jakiegoś wyjątkowego okazu storczyka lub o zapewnienie transportu mojemu pryncypałowi, gdy akurat padał deszcz czy śnieg. To najwyraźniej była taka wyjątkowa sprawa — należało uchwycić milczenie, a potem jak najszybciej wracać (o domu. Poszedłem do dużego pokoju, zbliżyłem się do stolika, na którym stał telefon, nakręciłem numer i po czterech dzwonekch jakiś głos powiedział „hallo”).

— Bill? Tu Archie Goodwin.

— Miło znów cię słyszeć. Rozumiem, że dostałeś odznakę.
— Nie odznakę tylko papier. Widocznie czytałeś „Wiadomości”.
— No pewnie. Czytałem też o tobie i Nero. Teraz dopiero się zacznie, he?
— Może. Mamy taką nadzieję. Chcielibyśmy do ciebie wpaść i trochę pogadać z tobą i twoimi... z każdym, kto tam jest. Szczególnie z Samem Peacockiem. Dobrze zajęcie na deszczowy wieczór.

— Dlaczego szczególnie z Samem?
— Człowiek, który znalazł ciało, zawsze jest szczególnie ważny. Ale z innymi również... Wolfe naturalnie chce poznać ludzi, którzy najczęściej widywali Brodella. Możemy zajrzeć?
— Pewnie, dlaczego nie. Pan DuBois właśnie mówił, że chciałby poznać Wolfe’a. Przyjeżdżajcie.

Farnham odwiesił słuchawkę. Lily, która siedziała przy kommku z Dianą i Wadem, była odwrócona do mnie tyłem i oglądała telewizję, a kiedy ją spytałem, czy możemy pojechać jej samochodem do Farnhama, bez słowa komentarza wyraziła zgodę. Poszedłem do swojego pokoju wziąć poncha.

Nigdy jeszcze nie widziałem Wolfe’a w kolorowym poncho z kapturem, a te, którymi dysponowała Lily, były jaskrawoczerwone. Wszystkie miały ten sam rozmiar i Nero ledwo się zmieścił, ale wyglądał dość wesoło, oprócz ponurej miny. W dalszym ciągu była ponura kiedy pod jodłami na farmie Farnhama zostawiliśmy samochód z zapalonymi reflektorami, żeby widzieć kałuże, i szliśmy do frontowego wejścia, rozbryzgując wodę. Zapukałem w zamknięte drzwi. Otworzył je William T. Farnham.

Po uściśnięciu dłoni Farnhama, który pomógł mi zdjąć poncho, Wolfe odegrał pewną scenkę. Zawsze korzystał z każdej okazji, by się popisać, ale w tym wypadku miało to również dwa inne cele: zaimponować obecnym i uniknąć wielokrotnego podawania ręki. Poza Farnhamem w pokoju znajdowało się sześć osób: trzech mężczyzn i jedna kobieta przy stoliku do kart nie opodał kominka oraz dwóch mężczyzn, którzy kibicowali im na stojąco. Wolfe ruszył w ich stronę, zatrzymał się w odległości czterech kroków i powiedział:

— Dobry wieczór. Pan Goodwin wspominał mi o państwu. — Skinął głową kobiecie. — Pani Amory.

Następnie zwrócił się do mężczyzny siedzącego i przeciwko niej, który miał okrągłą twarz, grube brwi dość zaawansowaną łysinę.

— Doktor Robert Amory z Seattle.

Potem do mężczyzny z prawej strony, faceta pod czterdziestkę, o szerokich barach i kwadratowej szczęce, która prosiła się o golenie.

— Pan Joseph Colihan z Denver.

Później do mężczyzny po lewej stronie, w wieku około czterdziestu pięciu lat, który wyglądał na cudzoziemca — miał ciemną karnację i krzaczaste brwi.

— Pan Armand DuBois, również z Denver.

Wreszcie do mężczyzny za Amorym, prawie sześćdziesięciolatka o ogorzałej twarzy i gęstych siwych włosach, ubranego w dżinsowe spodnie robocze i różową koszulę, rozdartą na jednym ramieniu.

— Pan Bert Magee.

Na koniec do mężczyzny stojącego nieco dalej za Colihanem, człowieka około trzydziestki, o chudej cienkiej szyi, także ubranego w dżinsowe spodnie i koszulę, która wyglądem przypominała brudną skórę. Na szyi miał biało-czerwoną chustkę.

— Pan Sam Peacock.

— No no, ale prezentacja — skomentował Farnham, kiedy już powiesił nasze poncha.

Spośród sześciu obecnych tam mężczyzn, nie licząc Wolffa i mnie, jedynie o nim mógłbym powiedzieć, że jest przystojny — miał surową męską urodę człowieka (tnie przebywającego na otwartych przestrzeniach).

— A może by tak coś w płynie na powitanie? — zaproponował Wolfe'owi. — Do wyboru wszystko od Montana Special do moczu kojota, jeśli tylko go nie zabrakło.

— On pije piwo — stwierdził Armand DuBois.

— Co to jest Montana Special? — spytał Wolfe.

— Każdy rodzaj wody z rzeki czy potoku, oprócz deszczówki. Dobrze robi zarówno czysta, jak i z czymś wmieszana, ale w taką pogodę najlepiej zmieszać ją z jakimś alkoholem. Proszę go tylko wymienić. Piwo?

— Na razie nie, dziękuję. Może później... Jak państwu wiadomo, pan Goodwin i ja mamy wykonać pewne zadanie... Ale przerwaliśmy państwu brydża.

— To nie brydż, to kłótnia — powiedział DuBois.

— Kłóćmy się tak już cały dzień. — Odsunął krzesło i wstał. — Wolelibyśmy raczej posłuchać pańskich pytań, przynajmniej ja.

— Słyszałem, że jest pan twardy — rzekł Farnham — ale pan na to nie wygląda. Oczywiście pozory mogą mylić, jak powiedział jeden facet. Chce pan nas pytać po kolei czy w kupie?

— Pojedynczo trwałoby to całą noc — odparł Wolfe.

— Wprawdzie mamy oficjalne upoważnienie, lecz przyjechaliśmy tu prowadzić śledztwo, a nie kogokolwiek męczyć. Czy moglibyśmy usiąść?

Wszyscy się poderwali. Prostopadle do kominka stały dwie kanapy, długie i wygodne, a między nimi stolik do kart i krzesła, które szybko uprzętnął DuBois z Farnhamem. Wiedząc, że Wolfe tylko wówczas usiadłby na kanapie wraz z innymi, gdyby musiał, przysunąłem fotel odpowiedni do jego tuszy oraz jeszcze jeden dla siebie i ustawiłem je przodem do kominka, tam gdzie kończyły się kanapy. Farnham, Peacock, Magee i Colihan zajęli miejsca na kanapie z naszej lewej strony, z prawej zaś DuBois i państwo Amory.

— Zastanawiam się, o co może mnie pan zapytać — odezwała się pani Amory do Wolfe'a. — Od lat nie byłam tak wstawiona, jak po tym deszczowym dniu, i nie wiem, co powinnam panu powiedzieć. — Zasłoniła dłonią usta, jakby chciała stłumić czknięcie. — Chyba muszę coś wymyślić.

— Szczerze odradzam, proszę pani. Pan Goodwin dokładnie mnie o wszystkim poinformował — rzekł Wolfe i przeciągnął po wszystkich spojrzeniem. — Wiem od pana Goodwina, co każde z państwa robiło po południu w tamten czwartek... to, co mu powiedziano. Wiem, że wszyscy z was, poza panią Amory, uważają pana Greve'a za prawdopodobnego mordercę. Pan Goodwin i ja mamy inne zdanie. Pan Jessup, prokurator okręgowy, wie o tym, ale również wie, że nie będziemy naciągali dowodów, by potwierdziły naszą opinię... chcemy tylko je znaleźć, jeśli istnieją, a najlepiej szukanie ich zacząć tutaj, od osób, które przebywały najbliżej pana Brodella przez ostatnie trzy doby jego życia. Pani Farnham, najpierw pytanie, na które nikt nie odpowie lepiej od pana. Jak panu wiadomo, nie odnaleziono żadnych kul, jednak charakter ran określił rodzaj użytej broni. Ma pan taką broń?

— Pewnie, że mam. Tak samo jak mnóstwo innych ludzi.

— Gdzie pan ją trzyma?

— W szafie w moim pokoju.

— Czy jest dostępna? Czy szafa jest zamknięta na klucz?

— Nie.

— Broń ta zwykle jest naładowana?

— Oczywiście, że nie. Nikt nie trzyma naładowanej broni.

— Przechowuje pan broń razem z amunicją?

— Tak, naturalnie. Broń bez amunicji jest do niczego. Amunicja leży na półce w tej samej szafie.

— Nie wie pan, czy w tamten czwartek na terenie pańskiej farmy znajdowała się jakaś inna broń?

— Owszem, ale nie taka, z jakiej można by zadać Brodellowi te rany w ramię i szyję. Ja mam jeszcze dwie dubeltówki i rewolwer, a poza tym Bert Magee też ma dubeltówkę. To wszystko.

— Powiedział pan panu Goodwinowi, że razem z panią Amory spędziliście tamto popołudnie konno na szlaku w górnym biegu potoku Berry. Zgadza się?

— Tak.

— Całe popołudnie?

— Od drugiej aż do samego wieczora.

— Zatem nie wie pan, co się w tym czasie działo z pańską bronią. Każdy mógł ją wziąć, użyć jej i odłożyć na miejsce. Kiedy widział ją pan ostatnim razem, czy wyglądała tak samo, jak pan ją zostawił?

— Cholera! — wykrzyknął Farnham podniesionym głosem. — Zadaje pan wredne pytania. Jeśli odpowiem tak, to pan powie, że mógłbym to wiedzieć tylko wtedy, gdybym poszedł ją obejrzeć, kiedy się dowiedziałem o Brodellu, a skoro tak, to musiałbym sobie pomyśleć, że zastrzelił go ktoś z nas. Pan nie jest twardy, ale zwyczajnie fałszywy. — Wstał i zrobił krok naprzód. — Proszę opuścić mój dom! Ci ludzie to, moi goście i moi pracownicy. Nie musimy wysłuchiwać pańskich bredni. Proszę wyjść!

Ramiona Wolfe'a lekko się uniosły, a potem opadły.

— Sądziłem, że tak będzie lepiej zarówno dla was, jak i dla nas — rzekł. — Wzywanie państwa w charakterze ważnych świadków do prokuratury okręgowej, prawdopodobnie pojedynczo, to dla mnie kłopot, a dla was niewygoda. Uważając, że żadna z osób obecnych w tym pokoju nie mogłaby zabić pana Brodella, zdradza pan brak rozsądku. Po cóż bym tu przyjeżdżał w taką ulewę? Mówiłem, że przyjechałem tu prowadzić śledztwo, a nie kogokolwiek męczyć, lecz dochodzenie w sprawie morderstwa rzadko jest przyjemne. No więc mamy kontynuować tu i teraz czy nie?

— To nie brednie, Bill — powiedział DuBois. — Wszyscy, oprócz pani Amory, uważamy, że najprawdopodobniej Greve go zabił, ale przecież pan Nero Wolfe nie jest głupi. Sam twierdziłem, że szeryf mógłby trochę bardziej zainteresować się twoją bronią. Nawet jej nie obejrzał.

— Owszem, obejrzał — rzekł Farnham, w dalszym ciągu stojąc. — Następnego dnia, w piątek po południu.

— No cóż, ale tamto śledztwo było do niczego. Siadaj i opanuj się. — DuBois odwrócił się do Wolfe'a. — Tymczasem proszę zająć się mną, nim on policzy do dziesięciu. Joe Colihan i ja byliśmy z Bertem Magee w górach na wspinaczce tamtego popołudnia, a więc wzajemnie zapewniamy sobie alibi, lecz się przyjaźnimy i moglibyśmy kłamać. Niech pan mnie pomoczy. Jakoś to przeżyję.

— Później — odparł Wolfe. — Jeszcze nie skończyłem z panem Farnhamem. — Zadał głowę, żeby na niego spojrzeć. — Na razie sprawę broni załatwimy jednym pytaniem. Kiedy znaleziono ciało pana Brodella, czy kiedykolwiek przyszło panu do głowy, że może użyto do tego pańskiej broni i że należałoby ją sprawdzić wraz z amunicją?

— Oczywiście, że tak — powiedział Farnham i usiadł. Tego samego wieczora. Każdy rozsądny człowiek by to zrobił i sprawdził, czy broń jest na miejscu. Była i nie strzelano z niej. Amunicji też nie brakowało. Wolfe skinął głową.

— Nie pytam, czy skojarzył pan możliwość użycia pańskiej broni z jakąś konkretną osobą, gdyż odpowiedziałby pan, że nie, a tylko pan wie, co wówczas naprawdę działo się w pańskiej głowie. Pytam natomiast, czy w ciągu trzech dni poprzedzających śmierć pana Hrodella nie doszło do konfliktu między nim a jakąś inną osobą?

— Nie.

— O rany boskie, Bill — odezwał się Joseph Colihan piskliwym głosem, który nie pasował do jego szerokich barów i kwadratowej szczęki. — Ten człowiek chce ustalić fakty

— rzekł i zwrócił się do Wolfe'a. — Brodell i ja trochę się pokłóciliśmy w dniu jego przyjazdu, to znaczy w poniedziałek. Byłem tu już od dwóch tygodni i jeździłem na koniu, którego on używał w zeszłym roku, a mnie właśnie ten koń się podobał. Kiedy we wtorek rano wyszedłem z domu, zobaczyłem na nim siodło Brodella, więc zacząłem je zdejmować, a on próbował mnie powstrzymać. Zamachnął się na mnie uzdą i zadrasnął mi wędzidłem ucho. Nie jestem myśliwym i nie mam pojęcia, jak się ładuje broń. Nawet nie wiedziałem, że Farnham ją ma.

— Ja też nie — wtrącił DuBois — ale oczywiście nie mogę tego udowodnić.

— Czy któryś z panów miał wcześniej jakiś kontakt z Brodellem?

Obaj zaprzeczyli. Wolfe spojrział w prawo.

— A pan, panie doktorze? Czy kiedykolwiek widział go pan przed jego przyjazdem w poniedziałek?

— Nie widziałem — odparł Amory głębokim, silnym głosem, który pasowałby do Colihana.

— A może pańska żona go widziała?

— Nie.

Wolfe zajął się teraz nią.

— Jaką pani miała o nim opinię?

— O Philipie Brodellu?

— Tak.

— Cóż... mogłabym coś wymyślić, bo również mnie nie jest pan w stanie zajrzeć do głowy. Wie pan jednak, że trzymam z wami. Nie sądzę, by ktoś z nas go zabił, niby dlaczego, ale coś dla pana wygrzebię. Co do mojej opinii o nim... widzi pan, wiedzieliśmy, że przyjeżdża i że jest ojcem dziecka tej dziewczyny, miałam więc o nim swoje zdanie. Zna pan kobiecą mentalność.

— Nie. Nikt jej nie zna. A co pani dla mnie wygrzebała?

— Och, oni wszyscy są tak straszliwie tego pewni. Wiadomo: ojciec broni honoru córki. Wracając do Philipa Brodella, tak bardzo pragnęłam się zorientować, co pozwoliło mu z taką łatwością uwieść tę dziewczynę, która, o czym przypuszczalnie pan wie, uchodziła za porządną, że właściwie naprawdę nie wiem, jaką miałam o nim opinię. Ale tak czy inaczej ona nic by panu nie dała, prawda?

— Mogłaby... gdybym ją poznał. Panu Goodwinowi sugerowano, że być może pan Brodell uwiódł panią, a mąż, dowiedziawszy się o tym, chciał go usunąć. Przecież pani mąż nie ma alibi.

Amory prychnął lekceważąco, jego żona zaś parsknęła z ubawieniem.

— Oczywiście sugerowała to córka Greve'ów — rzekła. — Naturalnie. Wątpię, by mu się udało mnie uwieść W ciągu trzech lat, a tym bardziej w ciągu trzech dni. — Spojrzała na mnie. — Dlaczego mnie pan o to nie zapytał?

— Zastanawiałem się, jak to sformułować — odparłem. — Ale to nie była sugestia córki Greve'ów.

— Zdaję sobie sprawę — zwrócił się Amory do Wolfe'a — że każdy, kto choćby w najmniejszym stopniu jest zamieszany w śledztwo w sprawie morderstwa, naraża się na impertynencje i niedorzeczności, ale my nie musimy tego popierać. Tamtego popołudnia przejechałem jakieś piętnaście kilometrów w górę rzeki i w ogóle nie miałem ze sobą broni, a jak pan wie, moja żona była wówczas z panem Farnhamem. Żadne z nas nie wie nic, co mogłoby mieć jakiś związek z tą sprawą. Mieszku m w innym stanie, ale procedura przy prowadzeniu śledztwa jest zasadniczo taka sama wszędzie na całym Zachodzie i chciałbym wiedzieć, skąd się właściwie pan lulaj wziął. Jeżeli przedstawiciel prawa zadaje bzdurne pytania, obywatel powinien mu na nie odpowiedzieć, lecz niby dlaczego panu? Skoro powiedział pan prokuratorowi okręgowemu coś, co kazało mu przyjąć, że Greve może nie być

winni, to powinien pan nas o tym poinformować, jeżeli oczekuje pan od nas uznania swojego autorytetu. Dlaczego akurat panu dał oficjalne upoważnienie?

— Chciał się ubezpieczyć — odparł Wolfe.

— Ubezpieczyć? Przed czym?

— Przed możliwością udowodnienia, że zasługuję na swoją reputację. Panie doktorze, powinien pan wiedzieć, że reputacja zależy od tego, co się robi. W wypadku biegacza czy dyskobola sława ma obiektywne podstawy: czas mierzony stoperem czy długość rzutu. Proszę wziąć swój zawód. Sława lekarza jest tylko częściowo obiektywna, zależy bowiem od tego, ilu pacjentów, których leczył, wyzdrowiało, a ilu zmarło, ale są również inne czynniki, obiektywnie niewymierne. Lekarz z dużą liczbą pacjentów, którzy go szanują i mają do niego zaufanie, może nie cieszyć się uznaniem swoich kolegów. Sława zawodowego detektywa może w ogóle nie mieć obiektywnych podstaw. Bywa, że jego osiągnięcia, które wszyscy podziwiają, są rezultatem wyłącznie szczęścia. Niech pan weźmie na przykład mnie. Tylko parę osób naprawdę może powiedzieć, czy rzeczywiście uczciwie zapracowałem sobie na swoją reputację.

— Archie Goodwin może — stwierdził DuBois.

— Tak, może, ale on nie jest bezstronny. Opinia strony jest zawsze podejrzana. — Wolfe rzucał spojrzenia na ich twarze raz w lewo, raz w prawo. — Pan Jessup rozsądnie ułatwił mi śledztwo, dając upoważnienie. Mądrze zrobił, gdyż się nie upierał, abyśmy mu powiedzieli, dlaczego pan Goodwin i ja odrzucamy założenie, że mordercą jest pan Greve. Wie, że powstrzymujemy się z uzasadnieniem tego do czasu zdobycia przekonujących dowodów. Jeśli chodzi o nasze obecne spotkanie, to przyszliśmy tu porozmawiać, ale nie jesteśmy tak naiwni, by przypuszczać, że czegokolwiek się dowiemy, zadając państwu rutynowe pytania. Kompetentna osoba, prowadząc śledztwo, pomija alibi wzajemnie sobie zapewniane przez potencjalnych sprawców. Panie DuBois, chciał pan, żebym pana pomógł. Zapewniam pana, jeśli będę to robił, to nie za pomocą głupich pytań.

Znowu na nich popatrzył.

— Sądziłem, że spotkanie tutaj wszystkich państwa razem pozwoli nam zorientować się w ewentualnych tarcjach, które mogłyby być wskazówką. Trudno, żeby pięć osób mieszkających przez trzy dni pod jednym dachem nie następowało sobie na odciski. Zastanawiałem się, czy nie zadać sobie trudu i nie przeprowadzić wielogodzinnych rozmów z każdym z osobna, w cztery oczy, analizując minuta po minucie owe trzy dni, kiedy pan Brodell był tu z państwem, oraz każde wypowiedziane wówczas słowo. Miałem jednak wątpliwości, gdyby bowiem, na przykład, pan Colihan lub doktor Amory usłyszał jakiś komentarz albo gest świadczący, że ktoś wcześniej znał Brodella, to czy by mi o tym powiedział? Wątpię. Nie zauważyłem, by ktokolwiek z państwa zdradzał do tego ochotę. Jeśli ktoś spośród was kontaktował się przedtem z panem Brodellem, prawdopodobnie dowodów należy szukać gdzie indziej. Może trzeba będzie pojechać do St. Louis, do jego domu, albo kogoś wysłać. Mam jednak nadzieję, że nie.

— Ja nie miałbym nic przeciwko wielogodzinnej rozmowie z panem w cztery oczy — powiedział DuBois.

Kiedy tylko pan zechce.

— Ja też nie — rzekła pani Amory. — Jeśli...

— A ja tak! — wypalił Farnham. — Moim zdaniem pan jest po prostu gadułą. Im wcześniej pojedzie pan do St. Louis, tym lepiej. No dobra, już pan nas poznał, drzwi są tam.

Wolfe pokiwał głową.

Ta reakcja może wynikać z pańskiego usposobieniu, ale też z obawy, że mógłbym coś odkryć. Zanim wyjdę, muszę spróbować dowiedzieć się czegoś istotnego od pewnej osoby. Najpierw jednak mam pytanie do pana Magee. Czy w tamto czwartkowe popołudnie był pan z panami DuBois i Colihanem na drugim brzegu rzeki?

Bert Magee skinął głową.

— Zgadza się.

— Całe popołudnie? Bez przerwy?

— Taa.

— Kiedy panowie wrócili?

— Około szóstej.

— Pan wie, czego szukam: jakiegokolwiek dowodu, który by potwierdził moje przypuszczenie, że to nie pan Greve zastrzelił tego człowieka. Pomoże mi pan?

— Nie. Harvey oczywiście powinien go zastrzelić i zastrzelił, ale mam nadzieję, że go zwolnią.

— Taka postawa jest bardzo ludzka, lecz niezbyt cywilizowana... Panie Peacock, mam do pana wiele pytań, przeważnie rutynowych, zdaję sobie bowiem sprawę, że pan mi na nie odpowie najchętniej. Często przebywał pan z panem Brodellem w ciągu tamtych trzech dni?

Siedząc między tymi dwoma bykami, Farnhamem po prawej stronie i Magee po lewej, Sam Peacock wydawał się jeszcze drobniejszy, a biało-czerwona chustka, zamiast ukrywać chudość jego szyi, jeszcze bardziej ją podkreślała. Szarymi oczami spojrzął z ukosa na Farnhama, zanim popatrzył na Wolfe'a.

— Hm. Można powiedzieć, że często. W zeszłym roku dałem mu pojeździć na koniu, który go zrzucił z siodła. Wyleciał w powietrze takim łukiem, że aż mnie przeszły ciarki. Kiedy przyjechał w tym roku, Bill wysłał mnie po niego do Timberburga. W pierwszych słowach zapytał mnie, czy nie mam w zagrodzie następnego.

— O której godzinie przyjechał w tamten poniedziałek?

— Do Timberburga przyjechał południowym autobusem, ale musiał kupić mnóstwo ciuchów, sprzętu i nie wiadomo czego, więc dotarliśmy tu dopiero... chyba o... Bill, która to była godzina?

— Około piątej — odparł Farnham.

— Może... ja bym powiedział, że trochę później.

— Czy był pan przy tym, kiedy poznał resztę osób, państwa Amory oraz panów DuBois i Colihana?

— Nie, proszę pana, nie byłem. Chyba akurat jadłem w kuchni kolację z Bertem. Po kolacji Phil poprosił mnie, bym poszedł z nim nad rzekę. Choć nie musiałem, nie chciałem mu odmawiać i poszedłem.

— Mówiliście do siebie po imieniu?

— Mhm. Sam mi zaproponował, jeszcze przed tym upadkiem. Niektórzy to robią, inni nie.

— Czy był pan z nim we wtorek?

— Tak, proszę pana, byłem. — Peacock spojrzął na Colihana. Mówił wolno, ale oczami poruszał szybko. — We wtorek rano mieliśmy pewien problem z koniem, który nazywa się Monty. Phil kazał mi go osiodłać, co zrobiłem, i wtedy przyszedł Colihan. Jak już panu sam powiedział, trochę się poprzytkali. Poszedłem do zagrody, wziąłem Teabaga dla Phila i pojechaliśmy w dół rzeki aż za równiny. Jeździliśmy cały dzień i wróciliśmy dopiero tuż przed kolacją. Phil i Teabag nie bardzo do siebie pasowali, ale chyba mówię więcej, niż chciałby pan wiedzieć. Tak czy owak, wszystko to opowiedziałem Archicemu.

Wolfe skinął głową.

— On czasem nie zwraca uwagi na szczegóły. Poza tym nie może mi pan powiedzieć więcej, niż chciałbym wiedzieć. Czy we wtorek po kolacji widział się pan z panem Brodellem?

— Nie, proszę pana, nie widziałem. Był wykończony, a ja miałem kupę roboty.

— To może następnego dnia? We środę.

— Mhm. To już lepiej. Phil i ja wyszliśmy wcześniej rano i ruszyliśmy w górę rzeki, tym razem pieszo. Wprawdzie nie wyleciał z siodła, ale trzeba było go wyciągać z wody, lecz

mimo to dzień był naprawdę udany. Phil poślizgnął się na kamieniu i skapał się przy wodospadzie, ale niczego sobie nie złamał i wkrótce wysechł na słońcu. Oczywiście włókł się, dopóki nie zobaczyliśmy dymu z komina. Pewnie tyłek go jeszcze bolał po całodziennym jeździe na Teabagu, bo kiedy zapytałem go, co planuje na następny dzień, to powiedział, że źle się czuje i że chyba nie będzie wstawał z łóżka nawet na posiłki, ale wstał. Rano Connie powiedziała mi, że zabrał kupę plastrów i trzy ryby na śniadanie.

— Kto to jest Connie?

— Kucharka.

— Czy był z panem w czwartek rano?

— Nie, proszę pana, nie był. Powiedział, że idzie popatrzeć sobie na potok, a ja lubię szybko chodzić. Później po obiedzie mówił...

— Pozwoli pan, że przerwę. Jak długo nie było go tego ranka?

— Powiedziałbym że dwie godziny, może dłużej. Później po...

— Poszedł w górę czy w dół potoku?

— Nie słyszałem, żeby o tym mówił. Idzie się ścieżką do zakola, a potem w górę albo w dół, do wyboru. Ale chyba nie poszedł w górę do rozlewiska, bo nie zabrał ze sobą wędek.

— Nie wspominał, że kogoś spotkał?

— Nie, proszę pana, nie wspominał. — Peacock szarpał róg chustki na szyi. — Strasznie dużo pytań pan zadaje.

— Kiedyś pewnej kobiecie zadałem ich dziesięć tysięcy. Interesuje mnie tamten czwartkowy ranek, bo wygląda na to, że tylko wtedy pan Brodell wyszedł z domu sam... oprócz popołudnia. Idzie się do potoku... czy on w którymś miejscu przepływa blisko drogi?

— Mhm. Tam, gdzie płynie wokół wzniesienia, przez które biegnie droga.

— A więc mógł nie dojść do potoku, jeżeli spotkał kogoś na drodze. Rozmawiał pan z nim po jego powrocie?

— Nie po powrocie. Po obiedzie.

— Czy z tego, co mówił, domyślił się pan, że on był nad potokiem?

— Ja tam zbyt wiele się nie domyślałem z tego, co ludzie mówią. Gdyby powiedział, że widział trzydziestocentymetrowego pstrąga w rozlewisku za zakolem, to można by się domyślić, że był nad potokiem, ale pan twierdzi, że on mógł tam być albo i nie. Ludzie czasami coś mówią tylko dlatego, że to ładnie brzmi. W każdym razie rozmawiałem z nim dopiero po obiedzie. Akurat naprawiałem ogrodzenie, kiedy przyszedł i powiedział, że idzie na wzgórze zebrać trochę jagód. Wtedy było pięć po trzeciej. Connie mówi, że on wyszedł z domu pięć po trzeciej, ale mój zegarek dobrze chodzi. — Spojrzał na nadgarstek. — Teraz jest za dziewięć dziesiąta. A potem już go pan nie widział... żywego?

— Nie, proszę pana, nie widziałem.

— Gdzie pan był przez następne pięć godzin?

— Na farmie. Najpierw skończyłem naprawiać ogrodzenie, potem jednemu koniowi oblużowała się podkowa, później musiałem przyszyć nowy popręg do siodła, no i jeszcze takie tam drobiazgi.

— Nie opuszczał pan obejścia?

— No no, co za słowo, a jeśli chodzi o to, czy poszedłem na wzgórze z bronią i czy zastrzeliłem Phila, mogę powiedzieć, że nie, proszę pana. Nie poszedłem i nie zastrzeliłem. Nie miałem tego w programie. Za każdym razem, gdy Connie otwierała drzwi i wołała mnie, zawsze przychodziłem.

— I nie widział pan nikogo z bronią?

— Zgadza się. Tak właśnie było. Pierwszym człowiekiem, jakiego zobaczyłem, był Bill, kiedy wrócił z panią Amory, a ja odbierałem od nich konie. Zmywałem naczynia u siebie w pokoju, gdy przyjechał Bert ze swoją dwójką. Zaraz po kolacji Bill znowu spytał mnie o Phiia, ale nie mogłem powiedzieć mu nic ponad to, co już mówiłem. Kiedy słońce zaszło,

pomyśleliśmy, że trzeba będzie się rozejrzeć, i we trójkę z Billem i Bertem ruszyliśmy na wzgórze. Lepiej od nich znałem ulubione miejsca Phila i dlatego właśnie ja go znalazłem.

Wolfe odwrócił głowę i spojrzał na mnie, jakby chciał mnie spytać, czy to, co powiedział Peacock w obecności pozostałych osób, różni się od tego, co mi przedtem mówił w cztery oczy, a jeśli tak, czy chcę go przesłuchać.

— Ja nie mam nic do dodania — stwierdziłem — choć dysponuję upoważnieniem.

Wolfe jeszcze raz na nich popatrzył i bezczelnie skłamał:

— Chyba powinienem zrobić przerwę. Zanim przystąpię do dalszych przesłuchań, muszę skonsultować się z panem Jessupem, który powiedział, że śledztwo będzie prowadzone pod jego kierownictwem i nadzorem. Uważam, że przynajmniej jedna osoba spośród państwa zataiła istotne fakty, lecz wątpię, by udało mi się je odkryć, gdybyśmy nawet siedzieli tutaj całą noc. Jedno jest jasne: wiadomo, przynajmniej z grubsza, co robiliście po południu w tamten czwartek, ale gdzieście byli rano, w ciągu tych dwóch godzin, kiedy pan Brodell był sam?

Pokręcił głową.

— Nie chciałbym wysłać pana Goodwina do St. Louis, bo tu go potrzebuję, ale zobaczymy. — Wstał. — Zdumiewające, jak często dorosłym ludziom na pozór o zdrowych zmysłach wydaje się, że mogą ukryć fakty, które łatwo ustalić. Panie DuBois, będę pamiętał, że mnie pan prosił, bym go pomógł, wkrótce więc zrobię panu tę przysługę.

Ruszył w stronę wieszaka w alkowie, a ja za nim, by wziąć nasze poncha i latarkę. Wszyscy zostali na swoich miejscach, ale kiedy naciągnąłem kaptur na głowę, do wieszaka podszedł Farnham, zdjął swoje poncho, włożył je na siebie i otworzył drzwi. Pora wydawała mi się zbyt późna, by chciał okazywać nam grzeczność, sądziłem więc, że ma coś do zrobienia, on jednak odprowadził nas do samochodu. Deszcz już ustał, choć z jodeł wciąż jeszcze skapywały krople wody. Farnham usłużnie otworzył Wolfe'owi drzwi samochodu, lecz potem ich nie zamknął i zrobił to, co zamierzał.

— Nie chcę, by przyszło panu do głowy, że zatajam jakieś fakty — powiedział. — Są rzeczy, które nie muszą wszystkich interesować. Chyba nikt tutaj nie wie, że ojcu Phila Brodella oddałem w zastaw kawałek mojej ziemi, i nie widzę powodu, dla którego oni powinni to wiedzieć, ale jeżeli pan Goodwin pojedzie do St. Louis i zobaczy się ze starym Brodellem, to on oczywiście mu o tym powie, a równie dobrze może pan to usłyszeć ode mnie.

Wolfe chrząknął.

— Duży kawałek?

— Do cholery, tak! — odparł Farnham i zatrzasnął drzwi samochodu trochę mocniej niż należało.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W sobotę rano o dziesiątej piętnaście otworzyłem drzwi na pierwszym piętrze budynku sądu okręgu Monroe w Timberburgu — drzwi z szybą, na której widniał napis wykonany grubymi czarnymi literami o złoconych obwódkach:

MORLEY HAIGHT
SZERYF

Znalazłszy się w środku, nawet nie odwróciłem głowy, by spojrzeć na urzędnika siedzącego przy stole za barierką, lecz przez furtkę poszedłem dalej, skierowałem się do drzwi po lewej stronie, otworzyłem je i przekroczyłem próg.

Uznałbym za błędne twierdzenie, że ścigałem uciekiniera przed wymiarem sprawiedliwości, ale wymknął mi się człowiek, którego miałem na oku i z przyjemnością bym go dopadł. Dwadzieścia minut wcześniej, o dziewiątej pięćdziesiąt pięć, nie z próżności wjechałem na stację benzynową Presto, stanąłem na skraju żwirowej nawierzchni i grzecznie spytałem pracownika, czy jest Gil, a potem ruszyłem tam, gdzie pokazał mi kciukiem, to znaczy do mrocznego pomieszczenia, w którym z lewej strony zobaczyłem Gilberta Haighta ustawiającego puszek z olejem na półce. Spojrzał na mnie, wykręcając swoją długą szyję, potem sprawdził, czy puszek równo stoją, a wreszcie odwrócił się i powiedział:

— Śliczny ranek.

Gdyby to nie było dziś, a wczoraj, kiedy akurat wracałem od Jessupa z upoważnieniem, nieco bym się ubawił, lecz teraz miałem do wykonania poważne zadanie.

— Ładniejszy niż wczoraj — odparłem. — Nieźle padało.

— No.

— Może byśmy gdzieś usiedli i trochę pogadali?

Skinął głową.

— Wiedziałem, że pan przyjdzie.

— Naturalnie. Jeżeli twój ojciec w dalszym ciągu twierdzi, że nie wolno ci ze mną rozmawiać, chyba najpierw powinienem zobaczyć się z nim. Nie mam nic przeciwko temu.

— No pewnie, że pan nie ma. Ale on tak nie twierdzi. Mówi, że prawo jest prawem. Przecież je zna. Tu nie można rozmawiać, bo za dużo ludzi się kręci. Przypuszczam, że ma pan jakiś papier od prokuratora okręgowego.

Wyjąłem z kieszeni kopertę, a z niej upoważnienie, rozłożyłem je i podałem Gilowi. Bez pośpiechu dwukrotnie przeczytał dokument, oddał mi go i powiedział:

— Wygląda mi na przepisowy. Chyba najlepszym miejscem do rozmowy będzie biuro mojego ojca. To też mu pewno będzie zgodne z przepisami. Siostra wzięła mój wóz, więc pojedziemy pana samochodem, to znaczy pani Rowan.

Mogłem mu odpowiedzieć, że jego ojciec wie najlepiej, ale nie zwracałem sobie głowy. Ustawił jeszcze kilka puszek, wyszedł, powiedział swojemu koledze, że przez jakiś czas go nie będzie — miał prawo korzystać z tego przywileju, stacja bowiem należała do jego ojca « n potem wsiadł do samochodu z przodu, obok mnie.

Do budynku sądu mieliśmy zaledwie osiemset metrów. Jak zwykle w sobotę rano wszystkie miejsca do parkowania były zajęte. Podjechałem więc do budynku sądu od tyłu, mijając tablicę z napisem TYLKO DLA POJAZDÓW SŁUŻBOWYCH, który mnie nie dotyczył, bo po pierwsze wykonywałem służbowe obowiązki, a po drugie Gil nazywał się Haight. Tylne wejście było otwarte. Wszedłem pierwszy i ruszyłem długim korytarzem prowadzącym do głównej klatki schodowej. Po obu jego stronach znajdowały się drzwi, z których troje miało stalowe kraty, tam bowiem była stara część okręgowego aresztu. W hallu

skręciłem w prawo w kierunku schodów, ale w połowie drogi zatrzymałem się i odwróciłem, bo już nie miałem towarzystwa. Gil pokłusował w boczny korytarz. Nie chciałem go zatrzymywać, lecz pragnąłem wiedzieć, nie tylko się domyślać, dokąd zmierzał. Szybko ruszyłem za nim. Zdążyłem zobaczyć, że otwiera jakieś drzwi i wchodzi, a jak powiedziałem, drzwi były zamknięte, kiedy do nich dotarłem.

Urzędnik zerwał się i coś warknął, gdy wszedłem do pokoju szeryfa. Zatrzymawszy się przy samym biurku powiedziałem:

— Co u licha? Przecież mam do tego prawo.

Nie znacie szeryfa Morleya Haighta, ale to nic, bo on też siebie nie zna. Miałem okazję rozmawiać o tym z Lily. Ideałem szeryfa z Zachodu był dla niego Wyatt Earp, więc ubierał się jak on, lecz rewolwer nosił oczywiście nowoczesnie, jak policja stanowa, na pasie, choć wiedział, że powinien nosić go inaczej. Od urodzenia był krzykaczem i z byle powodu się wściekał, czym wcale nie przypominał Wyatta Earpa. Na dobitkę opowiadał różnym ludziom, z których dwóch już poznałem, że kiedy ma do rozwiązania jakiś problem, to zawsze zadaje sobie pytanie, co by wówczas zrobił J. Edgar Hoover. W rezultacie powstała niezwykle skomplikowana osobowość, której bardziej nie zdołałby pogmatwać nawet wykwalifikowany psychoanalityk.

Ponieważ zdawał sobie sprawę, co zrobię, gdy tylko dostanę upoważnienie od Jessupa, i stosownie poinstruował swojego syna, moje wtargnięcie nie było dlań niespodzianką i nawet nie udawał, że jest zaskoczony. Po prostu spojrział na mnie z ukosa, w swoim mniemaniu zupełnie jak Wyatt Earp, i warknął:

— Co tak późno?

Jego syn, Gil, który stał przy szafkach na akta, odziedziczył po tatusiu długie, wiotkie członki i takąż szyję, a naturalnie tego typu budowa ciała nie jest idealna dla szeryfa. Haighta jednak wybrano na to stanowisko, musiał więc jakoś ukrywać swoje niedostatki. Jeden ze sposobów polegał na unoszeniu ramion i wypinaniu piersi, co właśnie teraz robił, by się wydawało, że ma szersze bary.

— Wczoraj pan Wolfe uznał, że mamy coś lepszego do roboty — odparłem uprzejmie. — Po raz pierwszy nadarza mi się okazja zadawania pytań osobie podejrzanej o morderstwo w obecności szeryfa. Czy ktoś będzie stenografował?

— Nie ma potrzeby — powiedział, otworzył szufladę, pogrzebał w niej palcami, wyjął jakieś papiery i wybrał jedną kartkę. — Tu jest dodatkowa kopia zeznań podejrzanych, których ja przesłuchałem. — Podał mi ją.

— Chyba umie pan czytać?

Nie zadałem sobie trudu, żeby się odgryźć. Na zwykłym papierze biurowym formatu A4 znajdował się następujący tekst, pisany na maszynie bez interlinii, z szerokim marginesem:

Timberburg, Montana

27 lipca 1968 r.

Ja, Gilbert Haight, zamieszkały przy ul. Jeffersona 218 w Timberburgu w stanie Montana, oświadczam niniejszym, że we czwartek, dnia 25 lipca 1968 r., w godzinach od 12.00 do 14.00 z dokładnością do pięciu minut, przebywałem na stacji benzynowej Presto przy Main Street.

W godzinach 14.35 — 16.25 przebywałem bez przerwy z panią Bessie Boughton w jej domu w Timberburgu przy Wittow Street 360. Od 16.40 do 17.05 przebywałem cały czas z panem Homerem Dowdem w jego zakładzie dekar skim w Timberburgu. Od godziny 17.20 do godziny 18.00 byłem z panem Jimmy Negronem na jego kurzej fermie przy drodze nr 27 na południe od Timberburga.

Gilbert Haight

Świadek: Effie T. Duggers

Nazwiska wypisano na maszynie, a nad nimi znajdowały się podpisy. Wszystko jak należy.

Oczywiście szeryf się spodziewał, że będę wypytywał Gilberta albo o alibi, aby znaleźć jakieś nieścisłości, albo o jego osobiste kontakty z Alną Greve i Philipem Brodellem, musiałem więc zrobić coś innego. Starannie złożyłem dokument, wsadziłem go do kieszeni, spojrzałem na szeryfa, mrużąc oczy, i powiedziałem tak, jak by to powiedział Wyatt Earp:

— Jeśli chodzi o niego, chyba wystarczy, choć trzeba to sprawdzić, a co z panem? Co pan robił we czwartek, dwudziestego piątego lipca w godzinach od czternastej do osiemnastej?

Jego reakcja przekroczyła nawet moje oczekiwania. Sięgnął do pasa i przez chwilę myślałem, że wyciągnie rewolwer. Oczy wyszły mu z orbit.

— Ty nowojorski gnojku! — ryknął jak byk podczas wypalania znaku.

Odepchnął krzesło, zrywając się na równe nogi, ale nie wiem, co zrobił później, bo już wychodziłem, odwrócony do niego plecami. Do samochodu wróciłem tą samą drogą.

Raz już byłem pod numerem 360 przy Willow Street, nie musiałem więc nikogo pytać o drogę. Stał tam czysty, biały parterowy domek. Do trzech schodków prowadzących na niewielki ganek wiodła wąska betonowa ścieżka. Nigdy nie widziałem wnętrza tego domu, gdyż poprzednim razem zamieniłem z panią Boughton tylko kilka słów przez ażurowe drzwi, lecz teraz otworzyłem je i wszedłem. Najwyraźniej również ona mnie oczekiwała, choć nic o tym nie mówiła. Kiedy zaprosiła mnie do środka i zaprowadziła do małego schludnego pokoiku o dwóch oknach, w którym jedna ściana prawie do samego sufitu była zastawiona regałami pełnymi książek, powiedziała jedynie, że powinienem najpierw do niej zadzwonić, bo często spędza weekendy na rancho ii brata. Z największego spośród stojących tam trzech foteli podniosła tamborek z zaczętym haftem i usiadła. Przypuszczalnie portret Tomasza Jeffersona, zdobiący oparcie mojego fotela, także wykonano na tym samym tamborku.

— Gilberta Haighta uczyłam politologii przez dwa lata. Kiedy trzydzieści osiem lat temu zaczęłam pracować jako nauczycielka, przedmiot ten nazywał się historią.

Uśmiechnąłem się do niej serdecznie. Najwyraźniej przełamaliśmy pierwsze lody, ale spytałem ją, czy chciałaby zobaczyć moje upoważnienie od prokuratora okręgowego.

Przecząco pokręciła głową, rzucając błyski, kiedy światło wpadające przez okno odbijało się od grubych soczewek jej okularów w złoczonej oprawce, które wyglądały na zbyt duże w porównaniu z jej drobną, okrągłą twarzą.

— Wystarczy, że widział je Gilbert — powiedziała. — Dopiero co mówił mi o tym przez telefon. Poprzednim razem oczywiście nie wypadało mi z panem rozmawiać, bo był pan dla mnie człowiekiem obcym, którego w ogóle nie znałam, ale teraz zrobię to z przyjemnością. Niektórzy krytykują Toma Jessupa za to, że wziął sobie do pomocy takich obcych ludzi jak Nero Wolfe i pan, lecz oni są małomiasteczkowi i ograniczeni. Ja całkowicie akceptuję ten wybór. Tom to dobry chłopiec; chodził do mojej klasy w czterdziestym pierwszym, podczas wojny. Wszyscy jesteśmy obywatelami wielkiego państwa, a jego konstytucja służy tak samo panu, jak i mnie. Czygo chciałby się pan dowiedzieć?

— Tylko kilku drobiazgów — odparłem. — Uczy pani politologii, więc oczywiście pani wie, że kiedy dochodzi do zbrodni, na przykład zabójstwa, to wszystkim osobom, które mogłyby je popełnić, zadaje się pytania, a potem sprawdza, czy odpowiadając na nie, mówiły prawdę. Gilbert Haight twierdzi, że był u pani przez jakiś czas pewnego dnia po południu, dwa tygodnie temu. Naturalnie był. Zgadza się?

— Tak. Przyszedł około wpół do trzeciej i wyszedł około wpół do czwartej.

— Jaki to był dzień tygodnia?

— To był czwartek. Czwartek, dwudziesty piąty lipca.

— Jest pani pewna, że to właśnie tamtego dnia?

Rozchyliła wargi, ukazując dwa równe rzędy drobnych białych zębów. Jej zdaniem to prawdopodobnie miał być uśmiech, lecz ja bym tego tak nie nazwał.

— Przypuszczam, że nie ma takiej osoby, która kiedykolwiek odpowiedziałaby na więcej pytań niż ja w ciągu ostatnich trzydziestu ośmiu lat. Pan je zadaje w taki sposób, że można dokładnie przewidzieć, jakie będzie następne. Uznałam więc, że najlepiej odpowiem panu na to pytanie, mówiąc od razu wszystko. Kiedy następnego dnia dowiedziałam się, że ten człowiek został zastrzelony, wówczas powiedziałam sobie: Gilbert już nie będzie musiał używać smoły i pierza.

— Aha — mruknąłem.

Pokiwała głową i znów błysnęła okularami.

— Prawdopodobnie chce pan wiedzieć, dlaczego tamtego dnia spędził tutaj aż dwie godziny. Trwało to tak długo, gdyż musiałam mu coś wyperswadować. Nie powiem, żeby traktował mnie jak swoją matkę... umarła, gdy miał zaledwie cztery lata... Po prostu nie nadaję się na matkę, zbyt interesują mnie bowiem sprawy intelektualne, ale mogę się pochwalić, że Gilbert nie jest jedynym chłopcem, który się mnie radził, kiedy miał jakiś kłopot. O tym kłopotcie powiedział mi wszystko... o tej dziewczynie, którą chce poślubić, i o tamtym mężczyźnie. Kiedy przyszedł do mnie owego dnia, był zupełnie zdruzgotany powrotem tego człowieka i postanowił coś zrobić, ale nie wiedział co. Najpierw poprosił mnie, bym mu poradziła, w jaki sposób go zmusić do poślubienia tej dziewczyny.

— Z pewnością ma dubeltówkę.

— Oczywiście. Tutaj każdy chłopiec ma dubeltówkę, lecz on miał kłopot nie tylko z tym mężczyzną. Jeszcze większe kłopoty sprawiała mu ta dziewczyna. Po pierwsze (Gilbert w dalszym ciągu sam chciał się z nią ożenić, a po drugie ona twierdziła, że nienawidzi Philipa Brodella i nie chce go znać. Wobec tego powiedziałam mu, że nie potrzebuje niczyjej rady w tej sprawie, bo i tak nic nie może zrobić. Gdyby nawet udało mu się zmusić jego, to jednak w żaden sposób nie zmusi jej, a na dodatek, skoro sam chce się z nią ożenić, co by mu z tego przyszło, gdyby ona już miała męża? Powiedziałam mu, że dobrze sobie tego nie przemyślał. Zawsze powtarzam swoim dziewczętom i chłopcom, że pierwsza rzecz, jakiej powinni się nauczyć, to to, że wszystko trzeba sobie najpierw dobrze przemyśleć. Tak robił Jerzy Waszyngton, tak robił John Adams i tak robił Abraham Lincoln.

— Pani również tak robi.

— Z pewnością się staram... Wówczas on zaproponował inne rozwiązanie. Czy pan wie, że ponad dziewięćdziesiąt procent pojedynków w naszym kraju odbyło się na zachód od Missisipi?

— Jeśli w telewizji, to tak.

— Nie chodzi mi o telewizję. Mam na myśli historię. Zbadałam to. Wprawdzie nie nazywano ich wówczas pojedynkami, ale w gruncie rzeczy nimi były i nieczęsto do nich dochodziło, póki nasi przodkowie nie dotarli na zachód od tej rzeki. To ważny historyczny fakt i moi uczniowie zawsze się tym interesowali. Nie sądzę...

Przymknęła oczy i zacisnęła wargi. Po chwili otworzyła oczy i mówiła dalej.

— Próbowałam sobie przypomnieć, czy tamtego dnia Gilbert użył słowa „pojedynek”. Jestem prawie pewna, że nie. Po prostu powiedział, że weźmie dwa rewolwery, jeden da Philipowi Brodellowi i zaczną strzelać, a poza tym radził się mnie co do szczegółów: jak i gdzie to zorganizować, ile powinno być nabojów w rewolwerach... stwierdził, że jemu wystarczy tylko jeden... pytał o wszystkie detale. Oczywiście musiałam mu to wyperswadować.

— Dlaczego oczywiście?

— No cóż, było tam wiele rzeczy nie w porządku, ale najgorsze, że z historycznego punktu widzenia, a mam tu na myśli naszą historię, historię Zachodu, każdy mężczyzna używał wówczas własnej broni, Brodell zaś prawdopodobnie jej nie miał, kto by zatem sprawdził rewolwer, który dałby mu Gilbert? W przygotowaniach musiałyby więc wziąć udział jeszcze przynajmniej dwie osoby, kto zaś chciałby się angażować w coś, co najprawdopodobniej

skończyłoby się gwałtowną śmiercią? Wobec tego musiałam mu to wyperswadować, lecz powinnam zaproponować mu coś w zamian, i tak zrobiłam.

— Niech zgodnę: smołę i pierze.

— Wcale pan nie zgadł, bo już o tym wspominałam. Smarowanie smołą i obsypywanie pierzem nie było tak rozpowszechnione na Zachodzie jak pojedynek amerykański, gdyż zwyczaj ten nie nadał za przesuwaną się granicą. Nie jestem pewna, czy dobrze się stało, że z niego zrezygnowano. Gdyby zachowano go jako środek stosowany przez prawo, a nie tłum, smarowanie smołą i obsypywanie pierzem byłoby karą nie tylko skuteczną, ale również odstraszającą. Czy na przykład pan by się dobrze nie zastanowił przed popełnieniem jakiegoś przestępstwa wiedząc, że ryzykuje coś takiego?

— Zwykle się zastanawiam, gdy ryzykuję mandat, lecz w wypadku smoły i pierza zastanawiałbym się jeszcze bardziej.

Skinęła głową i ponownie błysnęła szklami.

— Moim zdaniem głównie chodziło o to, żeby ten mężczyzna tu nie przyjeżdżał, a smoła i pierze powinny załatwić tę sprawę. Gilbert próbował oponować twierdząc, że to niczego nie rozwiąże, ale tylko tak mówił. W rzeczywistości pomysł mu się spodobał. Gilbert wiedział bowiem, że Brodell znów tam był w dziesięć minut po tym, jak wysiadł z autobusu. Ustaliliśmy, że do pomocy trzeba będzie jakichś ośmiu do dziesięciu chłopców, a jego zdaniem mógłby zorganizować, ilu by tylko chciał, i że najlepiej będzie to zrobić w Lame Horse w sobotni wieczór, ponieważ Brodell prawie na pewno przyjdzie do Woody'ego. Przypuszczam, że pan wie o sobotnich wieczorkach u Woody'ego.

— Tak.

— Uzgodniliśmy wszystkie szczegóły... skąd wziąć smołę i pierze.

— Od Homera Dowda i Jimmy Negrona.

Naburmuszyła się unosząc brodę.

— Wszystko pan już wie.

Ton jej głosu wskazywał, że najchętniej kazałaby mi iść do dyrektora szkoły, gdyby tylko był pod ręką. Nie chciałem wychodzić, zostawiając ją w złym humorze, więc wyjaśniłem:

— Nie. Wiedziałem jedynie, dokąd Gilbert się udał po wyjściu od pani: do zakładu dekarskiego Dowda i na kurzą fermę Negrona, lecz nie wiedziałem po co. — Wstałem. — A więc całkowicie go pani kupiła tym pomysłem ze smołą i pierzem?

— Nie musiałam go kupować. On po prostu sam zrozumiał, że w tym wypadku to najlepsze rozwiązanie... Wychodzi pan? Niewiele zdążyłam panu powiedzieć. Odpowiedziałam jedynie na pytanie, czy jestem pewna, że to było tamtego dnia. Nic więcej nie chce pan Wiedzieć?

— Chcę wiedzieć, kto zastrzelił Philipa Brodella. — Usiadłem. — Mówiła pani, że Gilbert... zacytuje: „O tym kłopotcie powiedział mi wszystko... o tej dziewczynie, którą chce poślubić i o tamtym mężczyźnie”. Gdyby poświęciła mi pani jeszcze trochę czasu, to będę bardzo wdzięczny, jeśli mi pani powie wszystko, co mówił o Brodellu.

— Cóż... wynikła sprawa, czy nie należałoby potraktować tego uwiedzenia jako gwałt, bo ta dziewczyna miała wtedy osiemnaście lat. Gilbert jednak nie mógł wszczać żadnych kroków.

— Wiem, a państwo Greve tego nie zrobili. Ale co on mówił o Brodellu? Chyba pani wie, że moim zdaniem to nie Harvey Greve go zastrzelił. Zastanawiam się, czy Gilbert nie mógł powiedzieć o Brodellu czegoś, co byłoby dla mnie wskazówką.

— Mnie nic takiego nie mówił. Bardzo mi przykro, proszę pana. Świetnie pana rozumiem, ale to pańska sprawa i ja nic nie mogę pomóc.

— Pani oczywiście uważa, że zastrzelił go Harvey Greve.

— Czy ja to powiedziałam?

— Nie.

— A więc proszę tak nie mówić. Jest niewinny, dopóki sąd nie uzna jego winy. To jedna z zasad, które przynoszą chlubę naszemu wielkiemu państwu.

— Zapewne. Przynoszą mu chlubę również tacy obywatele jak pani. — Wstałem. Właściwie nie byłem na nią zły, lecz nie mogłem jej darować, że kiedyś zamknęła mi drzwi przed nosem, więc powiedziałem: — Tylko nie bardzo rozumiem, jak się ma rada udzielona Gilbertowi, żeby posmarował kogoś smołą i obsypał pierzem, co jest przestępstwem, do konstytucji naszego wielkiego państwa, ale to pani sprawa. Proszę to sobie dobrze przemyśleć.

Nie podziękowałem jej za czas, który mi poświęciła. Wyszedłem bez pośpiechu, jednak na tyle szybko, by nie słyszeć jej uwag. Otworzyłem drzwi samochodu i z przyzwyczajenia spojrziałem na oba zegarki: na moim przegubie i na desce rozdzielczej. Obydwa wskazywały jedenastą siedemnaście. Nim dotarłem do Main Street, która znajdowała się trzy przecznice dalej, zdążyłem już przeanalizować sytuację. Do zakładu dekarckiego Dowda, niemal sąsiadującego z biblioteką, powinienem skręcić w prawo, a na drogę do Lam Horse w lewo. Skręciłem w lewo.

Jechałem bez pośpiechu wyboistą drogą, która wznosiła się i opadała. Kiedy dotarłem do końca asfaltu przy wklepie Vawtera, minęła dwunasta, czyli w Nowym Jorku trzecia, i Saul mógł już uznać, że należy kończyć pracę, bo Manhattan opustoszał na weekend. Zatrzymałem się przed domem kultury i wszedłem do Woody'ego, który pozwolił mi zadzwonić. Umówiliśmy się z Saulem, że to my będziemy do niego telefonować, a on do nas tylko w nagłych wypadkach. Spróbowałem dwa razy, ale nikt nie podnosił słuchawki, wróciłem więc do samochodu i pojechałem do domu sądząc, że zdążę na obiad.

Nie było żadnego obiadu. Nigdzie nikogo nie zastałem., ani w dużym pokoju, ani u Lily, ani u Wolfe'a, ani u siebie. Jakieś dźwięki dochodziły jednak z kuchni, gdzie znalazłem Wade'a otwierającego puszkę potrawy z mięczaków. Zapytałem go, czy wystarczy dla nas dwóch. Odpowiedział, że nie i że w spiżarni jeszcze są jakieś puszki. Otworzyłem lodówkę, gdzie zobaczyłem resztkę szynki.

— Czy wszyscy są na koniach? — spytałem wyjmując nóż z szuflady.

Wade przekładał potrawkę do rondla.

— Nie na koniach. Wzięły samochód z farmy. O ile się nie mylę, wybieracie się tam z Wolfem po południu.

— Mielśmy taki zamiar. Późnym popołudniem.

— Otóż była tu pani Greve i powiedziała, że gdyby miała kilka pstrągów, to by zrobiła dla Wolfe'a prawdziwego pstrąga po montañsku, więc zabrały parę wędek i pojechały nad rzekę.

— Z Wolfem?

— Nie. Lily, Diana, Mimi i pani Greve. Czy zabrały Wolfe'a, nie wiem. Byłem w swoim pokoju, ale słyszałem, jak koło dziesiątej kręcił się po kuchni i spiżarni, więc na pewno z głodu nie umiera. Piwo czy kawa?

Odparłem, że ani jedno, ani drugie, i że napiję się mleka.

Jedliśmy w kuchni. Wade przypuszczalnie sądził, że myślami jestem gdzie indziej, bo rzeczywiście tak było. To mało prawdopodobne, by Wolfe zrobił na piechotę przeszło pięciokilometrowa wycieczkę do Farnhama po to, żeby ich dalej męczyć, lecz wobec tego, gdzie się podział? Worthy mówił, że musiałby słyszeć dzwonek telefonu, ale on przecież siedział w swoim pokoju. Poza kłopotem z Wolfem miałem teraz kłopot z Worthym. Przez całe dwa tygodnie z ogromnym trudem próbowałem coś wywęszyć, a tymczasem okazało się, że Gil Haight ma mocne alibi, ja zaś sobie jem i ucinam pogawędkę z człowiekiem, który mógł zabić Brodella. Zamiast prowadzić z nim towarzyską rozmowę, miałem ochotę powiedzieć mu te oto słowa:

— Ponieważ obaj tu jesteście gośćmi, powinienem cię zawiadomić, że na moją prośbę niejaki Saul Panzer, który prawie wszystko robi lepiej od wszelkich znanych mi osób,

rozpracowuje cię w Nowym Jorku. Jeżeli kiedykolwiek miałeś jakiś kontakt z Philipem Brodellem, on się tego dowie, a więc równie dobrze możesz mi to zdradzić sam. Będę dzwonił do niego między szóstą a siódmą i robię to codziennie.

Musiałem użyć całej swojej siły woli, żeby mu tego nie powiedzieć, choć bardzo chciałem, pragnąłem bowiem, by się coś działo. Gdybym mu to powiedział i gdyby Saul rzeczywiście mógł odkryć coś istotnego, byłoby bardziej niż prawdopodobne, że Worthy przed szóstą by zniknął, a wówczas zaczęłby się pościg, co by mi bardzo odpowiadało. Jednakże powstrzymałem się siłą woli. Worthy miał więc podstawy sądzić, że myślami jestem gdzie indziej.

Po umyciu tych kilku naczyń, z których korzystaliśmy, on wrócił do swojego pokoju, a ja wyszedłem na dwór. Zadałem sobie pytanie, czy dobrze znam Nero Wolfe'a, i w ciągu dwóch minut miałem odpowiedź. (Jdyby zadzwonił po taksówkę do Lame Horse lub Timberburga albo wybrał się do Farnhama, wówczas zostawiłby dla mnie wiadomość, lecz tego nie zrobił. Nie miał jednak pojęcia, kiedy wrócę z Timberburga, a pragnął się dowiedzieć, jak mi poszło z Gilem Haightem, nie chciał zatem, żebym go szukał. Domyśliłem się więc, gdzie jest. Wróciłem do domu, zmieniłem buty i spodnie, wyszedłem przez taras od strony potoku i ruszyłem pod górę. Przez pierwsze kilkaset metrów Szedłem normalnie szybkim krokiem, ale gdy zbliżyłem się do miejsca, gdzie urządzaliśmy pikniki, zacząłem się skradać, choć nie tak cicho, abym mógł podejść jelenia. Potok płynął w odległości zaledwie dziesięciu metrów od tej skały i stamtąd dochodziły jakieś dźwięki.

Wolfe'a nie było na skale. Zobaczyłem tam tylko jego marynarkę, kamizelkę, książkę i plecak, ale jego nie widziałem. Podszedłem do nieco stromego kamienistego brzegu potoku, który w sierpniu płynął trzy do czterech metrów niżej niż zwykle. Wolfe siedział okrakiem na jakimś głazie, a wokół niego bulgotała woda, w której zanurzył stopy. Nogawki spodni i rękawy żółtej koszuli miał podwinięte.

— Zmarzną ci nogi! — zawołałem przekrzykując szum potoku.

Odwrócił głowę.

— Kiedy wróciłeś?

— Pół godziny temu. Zjadłem coś i od razu tu przyszedłem. Co zrobiłeś ze spinkami?

— Są w kieszeni marynarki.

Wróciłem na skałę, podniosłem marynarkę i znalazłem je w prawej kieszeni. Owe dwa szmaragdy, większe od jajek drozda, niegdyś zdobyły kolczyki pewnej kobiety, która później umarła, zapisawszy je w testamencie Wolfe'owi. Rok temu jakiś facet proponował mu za nic trzydzieści pięć patyków, nie chciałem więc, żeby ich utrata zwiększyła koszty, które poniesie Wolfe w związku ze ściągnięciem mnie do Nowego Jorku. Włożyłem je do swojej kieszeni i spojrzałem na tytuł książki: *Pierwszy krąg* Aleksandra Sołżenicyna. Jej tematem nie byli Indianie. Wróciłem na brzeg potoku i rzekłem:

— Poznałem kobietę, która o czerwonych mogłaby ci powiedzieć wszystko, szczególnie o plemionach na zachód od Missisipi. Przy okazji dała Gilowi Haightowi mocne alibi i ubranie z pierza.

— To znaczy?

— Zapomnij o tym.

Wolfe wsunął stopy w bystrą wodę na głębokość dwudziestu centymetrów i poruszał nimi we wszystkie strony, szukając dla nich oparcia, wreszcie je znalazł, wstał i odwrócił się do mnie przodem. Wiedząc, jak łatwo się potknąć na tych luźnych kamieniach różnej wielkości, nie tylko w bystrej wodzie, gdzie dobrze ich nie widać, lecz nawet na suchym brzegu, nie dawałem mu zbyt dużych szans, ale jednak się nie wywalił. Dotarł do brzegu i usiadł na dużym płaskim kamieniu, gdzie zostawił buty i skarpetki.

— Melduj.

— Dopiero, jak tu przyjdiesz i nie będzie ci już groziło żadne niebezpieczeństwo.

- Nie mogę założyć skarpetek, dopóki słońce nie wysuszy i nie rozgrzeje mi stóp,
- Powinieneś zabrać ręcznik. — Usiadłem na brzegu. — Słowo w słowo?
- Jeżeli jeszcze potrafisz.

Zacząłem od krótkich rozmów z Haightami, wspomniałem o oświadczeniu Gila z jego własnoręcznym podpisem i przeszedłem do Bessie Boughton. Początkowo miałem pewne trudności z dokładnym powtarzaniem tego, co mówiliśmy, bo ostatni raz składałem takie sprawozdanie w czerwcu, ale z przyjemnością wróciłem do tego zajęcia. Nim dotarłem do smoły i pierza, moja relacja przypominała już nagranie magnetofonowe, choć ud bywała się w okolicznościach bez precedensu. Jeszcze nigdy nie zdawałem raportu Wolfe'owi siedzącemu boso mi granitowym kamieniu i kręcącemu palcami nóg.

— A więc — powiedziałem kończąc — jeśli chcemy kogoś wsadzić do pudła na miejsce Harveya, to tym kimś nie będzie Gilbert Haight. Ona zapewniła mi dobre alibi do wpół do piątej. Możliwe, niemal pewne, że mówiła prawdę, ale gdyby nawet cholernie zełgała, to i tak nic mu nie zrobimy dlatego, bo... o, przepraszam... dlatego, że każdy sąd uwierzy jej bez zastrzeżeń. Jednak nie o to chodzi, ponieważ nigdy nie będzie zeznawała przed żadnym sądem. Chodzi o Jessupa. Mówiłeś, że jest osłem, ale czy skończonym osłem?

- Nie.
- No więc zapomnijmy o Gilu.
- Dobra, szlag z nim.

Sięgnął po skarpetki i buty, włożył je, podparł się ręką wstając i zaczął wspinać. Nie pomogłem mu, boby się nie zgodził, a poza tym, im więcej będzie miał ruchu, tym lepiej. Kiedy odwijał nogawki i rękawy, wyjąłem z kieszeni spinki i oczywiście musiałem mu je włożyć — on by się nie pokazał w domu z rozpiętymi mankietami, na pewno nie on. Wreszcie wdrapał się na skałę, sięgnął po kamizelkę i włożył ją na siebie, potem to samo zrobił z marynarką i usiadł na kamieniu.

- Jak wygląda prawdziwy pstrąg po montańsku? — spytał.
- To dobre pytanie, ale przykro mi, że je zadałeś.
- Zbliżyłem się do niego i usiadłem na drugim kamieniu.

— Wszystko zależy od tego, kto, kiedy i gdzie go przyrządza. Pierwszy prawdziwy pstrąg po montańsku, to znaczy w wykonaniu bladej twarzy, został przyrządzony prawdopodobnie w czasach ekspedycji Lewisa i Clarka. Usmażono go na ognisku, z użyciem żardzewiałej patelni, bawolego tłuszczu i soli, jeśli im jeszcze trochę jej zostało. Od tego czasu powstały setki różnych wersji w zależności od tego, co było pod ręką. W sklepie z artykułami żelaznymi w Timberburgu pracuje pewien staruszek, który uważa, że najlepszy przepis to nasmarować papier pakowy tłuszczem wytopionym z boczku, zawinąć weń całego pstrąga posypanego solą i pieprzem, a potem wsadzić do maksymalnie rozgrzanego piekarnika. Czas pieczenia zależy od wielkości ryby. Pani Greve otrzymała swój przepis od wujka zainspirowanego tym, co pod koniec wycieczki zostało u z zapasów, które ze sobą zabrał. Sama wprowadziła dwie zmiany: używa folii aluminiowej zamiast papieru pakowego oraz prodiża zamiast piekarnika. To bardzo proste. Kładzie się cienki plasterek szynki szerokości mniej więcej dziesięciu centymetrów na kawałku folii, posypuje nie rafinowanym cukrem, obkłada paroma niewielkimi kawałkami cebuli i dodaje kilka kropli sosu worcesterskiego. Na to kładzie się oskrobanego i wypatroszonego pstrąga, a potem soli. Powtarzam: nie rafinowany cukier, cebula, sos worcesterski. Później zawija się go w folię i do gorącego prodiża. Jest kłopot z dobraniem odpowiedniego czasu pieczenia, jeżeli ryby znacznie różnią się wielkością. Podaje się je w folii.

Wolfe ani się nie nachmurzył, ani warknął, lecz zwyczajnie powiedział:

- To mogłoby być jadalne.
- Skinąłem głową.

— No. Próbowałem... Dotychczas ani jednym słowem nie wspomniałeś nawet mnie o jedzeniu, choćby o tych plackach robionych z fabrycznego ciasta czy mrożonkach. Widocznie dałeś sobie słowo honoru, prawdopodobnie w drodze na lotnisko, że bez szemrania będziesz nosił wszystko, co razi twoje podniebienie. Już słyszę, jak po powrocie, zakładając że wrócimy, opowiadasz tym Fritzowi. Mam nadzieję, że one zловіą mnóstwo pstrągów. Powiesz szczerze, co myślisz o tym puszkowym jedzeniu?

Sądziłem, że dobrze by mu zrobiło, gdyby sobie ulżył, ale najwyraźniej tego nie chciał.

— Nie możesz jechać do St. Louis. Jesteś potrzebny tutaj.

— Pewnie. Do sprawdzania alibi.

— Fuj. Masz coś do powiedzenia na temat wczorajszego wieczora?

— Nic poza tym, co powiedziałem w powrotnej drodze, i twoim komentarzem. I jedno, i drugie w dalszym ciągu mi się podoba. Zresztą podoba mi się też sposób, w jaki Farnham zawiadomił cię o tej hipotezie. I jeszcze to, że Sam Peacock próbował prześlizgnąć się po sprawie tamtego ranka, gdy Brodell wyszedł popatrzeć sobie na potok. Musiałeś mu dwa razy przerywać, a kiedy zapytałeś go, czy Brodell wspominał, że kogoś spotkał, zaczął szarpać chustkę na szyi i stwierdził, że zadajesz mnóstwo pytań. Gdyby Brodell żył, chętnie bym go zapytał o tamten czwartkowy ranek.

— Tak... Czy dałoby się porozmawiać z panem Peacockiem, gdybyśmy teraz tam poszli?

— W sobotnie popołudnie? Wątpię.

— Czy on będzie dziś na wieczorku u pana Stepaniana?

— Zawsze jest.

— A więc tam się z nim zobaczymy.

— Ty się tam wybierasz?!

— Tak.

Nie uniosłem brwi. Byłem zbyt zaskoczony. Po prostu wytrzeszczyłem oczy.

— Pić mi się chce — powiedział. — W potoku są dwie puszkowe piwa.

Wstałem i poszedłem po nie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dwadzieścia po piątej siedzieliśmy w czwórce we frontowym pokoju domu Greve'ów, oglądając zdjęcia, wstęgi i medale, a także srebrny puchar i siodło. Sami mężczyźni. Carol Greve i Flora Eaton, nieszczęsna wdowa, przygotowywały w kuchni prawdziwego pstrąga po montańsku, który miał być podany o szóstej. Alma zajmowała się gdzieś dzieckiem. Przyszliśmy z Wolfem o piątej. Pete Ingalls i Emmett Lake już tam byli, musieliśmy jednak poczekać na Mela Foxa, bo zatrzymał go koń, któremu coś się stało. Emmett, stary krowiarz po czterdziestce, wyglądający na krowiarza, powiedział tylko jedno słowo: „Siadajcie”, lecz za to Pete się rozgadał. Po jego budowie można by sądzić, że zajmuje się czymś, co wymaga potężnych mięśni, ale w rzeczywistości odbywał studia doktoranckie z paleontologii na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Spędzał lato na farmie Bar J.R. już po raz trzeci. Wolfe spytał go o demonstracje studenckie w Berkeley, czym dał początek szeregowi uwag, które pewnie ciągnęłyby się do kolacji, gdyby Mel Fox ich nie przerwał swoim wejściem. Mel przeprosił nas za spóźnienie i podał rękę Wolfe'owi. Przysunął swoje krzesło do mojego, usiadł, z przyzwyczajenia podciągnawszy dzinsy, spojrzął na swoje ręce i powiedział, że nawet nie zdążył ich umyć. Potem zapytał, czy nie ominęło go coś, co powinien wiedzieć.

Wolfe pokręcił głową.

— Czekaliśmy z tym na pana. Jestem tu już od trzech dni, panie Fox, może więc pana dziwi, dlaczegośmy się jeszcze nie widzieli.

— Nie miałem czasu się dziwić.

— Pozazdrościć. Ja prawie stale się dziwię. — Wolfe obrzucił ich wszystkich spojrzeniem. — Pan Goodwin już mnie z panami zapoznał, a gdybym miał jakikolwiek powód, by podejrzewać jednego z was o zastrzelenie Philipa Brodella, wówczas bym nie zwlekał aż do dziś, żeby z wami porozmawiać. Przyszedłem tu trochę licząc na to, że być może któryś z was przypadkowo wie coś, co by mnie naprowadziło na jakiś ślad. Wypytywanie was mogłoby potrwać wiele dni, dlatego też proszę, byście opowiedzieli mi wszystko sami. Pan pierwszy, panie Fox. Proszę mi opowiedzieć o Philipie Brodellii i jego śmierci.

— Nie jestem dobrym mówcą — odparł Mel, spojrzawszy na mnie, a potem znów na Wolfe'a. — Zresztą już to mówiłem Archiemu.

— Wiem, ale ja także chciałbym tego posłuchać. Bardzo proszę, niech pan zaczyna.

— No cóż — powiedział Mel i założył nogę na nogę. — Nigdy nie zamieniłem z Brodellem więcej niż dwadzieścia słów. Pewnej niedzieli zeszłego lata byłem rano po coś u Vewtera. Przyszedł Brodell i powiedział, że chce kupić jakąś linkę, żeby zabrać ją do domu, i że musi to być linka używana. Podszedł do mnie, przedstawił się i spytał, czy ja nie mam takiej linki i czy nie chciałbym jej sprzedać. Powiedziałem, że nie mam. Chyba to nie było nawet dwadzieścia słów. Później widziałem go jeszcze może ze dwa razy, ale z nim nie rozmawiałem. Traktowałem go obojętnie. Oczywiście nie było go tutaj, kiedy się okazało, że jest ojcem dziecka Almy. Wówczas bym nie powiedział, że traktuję go obojętnie, bo Alma... cóż, wyjmowałem jej ciernie z nóżki, kiedy miała zaledwie pięć latek. Wtedy dużo się o nim mówiło, ale ja przeważnie tylko słuchałem, bo nie miałem wiele do powiedzenia poza tym, że chętnie bym go żywcem obdarł ze skóry.

— Może zatem należałoby podejrzewać pana?

— Proszę bardzo. Szeryf też mnie trochę podejrzewał.

— Dlaczego przestał?

— Bo on bardziej podejrzewał Harveya niż mnie. Harvey tamtego popołudnia był sam, a ja nie. Cały czas był ze mną Emmett Lake, a częściowo również Pete Ingalls. Szeryf wiedział, że Emmett dla mnie by nie skłamał, bo uważa, że on powinien dostać moją robotę.

— Bzdura — odezwał się Emmett. Wolfe go zignorował i spytał Mela:

— Wiedział pan, że Brodell wrócił?

— Taa, wszyscy wiedzieli. Pete dowiedział się o tym następnego dnia, we wtorek, i zaraz nam powiedział. Tego samego dnia wieczorem, po kolacji, doszło między nami trzema do kłótni. Pete stwierdził, że powinniśmy pomóc Harveyowi i Carol w pilnowaniu Almy dniem i nocą, żeby nie zobaczyła się z Brodellem, a Emmett uważał, że nie wolno nam się wtrącać, bo może Brodell się z nią ożeni. No to ja powiedziałem, że to zależy od jej rodziców i że musimy czekać, aż nas poproszą. Jak w każdej kłótni, w której kiedykolwiek brałem udział, nikt nikogo nie przekonał, ale rano Harvey nic nie mówił, Carol zresztą też, a tego dnia wszyscyśmy pracowali. Po kolacji Pete gdzieś wyszedł, a Emmetta bolał brzuch, więc się położył. Wszystko to już powiedziałem Archiemu.

— Wiem. We środę wieczorem znów zaczęliście się kłócić?

— Trochę. Ciut spokojniej i nawet żeśmy się nie spocili. We czwartek też, ale byliśmy jeszcze spokojniejsi, bo Harvey powiedział, że Carol jest pewna, że Alma nie widziała się z Brodellem i nie ma zamiaru tego robić. Ale, jak powiedziałem Archiemu, rozmawiałem z Petem o Brodellu we czwartek po kolacji, tam, przy tej dużej zagrodzie, akurat w tym czasie, gdy on leżał podziurawiony na kamieniu. Kiedy dowiedziałem się o tym w piątek, pomyślałem sobie, że człowiek nie wie, co gada.

— A niby skąd ma wiedzieć? To zresztą nie tylko niewiedza. Człowiek, którego mózg rozwinął się przez przypadek, wynalazł słowa w ambitnym wysiłku, żeby nauczyć się myśleć, a tymczasem używa ich do wyrażania emocji. Jednakże wciąż próbujemy. Proszę mówić dalej.

Mel pokręcił głową.

— To nic nie da. Wiem, do czego pan zmierza. Chce pan udowodnić, że to nie Harvey zastrzelił Brodella, ale ktoś inny. Bardzo tego pragnę, tak samo jak pan i Archie, lecz skoro chce się wypalić znak cieleńcu, które uciekło w zarośla, trzeba je najpierw odnaleźć i związać. A co z tym małym Haighem?

— Pan Goodwin go wykluczył.

— To nie on, Mel — powiedziałem. — Przez całe rano go sprawdzałem. Jest poza wszelkimi podejrzeniami.

— A kto jest podejrzany?

— Nikt. Właśnie dlatego tu jesteśmy. Pan Wolfe sądził, że może słyszałeś o Brodellu coś, co byłoby dla niego wskazówką.

— Od kiedy nie ma Harveya, jestem zbyt zajęty, żeby cokolwiek słyszeć. W ciągu ostatnich dwóch tygodni tylko raz byłem na tamtym brzegu potoku, gdy pojechałem do Timberburga zobaczyć się z Harveyem, ale Morley Haight mi nie pozwolił. O Boże, chciałbym, żeby tym mordercą był szeryf.

Wolfe przeniósł wzrok w prawo.

— Panie Lake, proszę mi opowiedzieć o Brodellu.

— Szlag by trafił tego Brodella — rzekł Emmett.

Właściwie on powiedział co innego, ale mniej więcej przed rokiem otrzymałem czterostronicowy list od pewnej kobiety z Wichity w stanie Kansas. W liście tym pisze, że przeczytała wszystkie moje reportaże i dla zachęty wręczyła na urodziny po trzy z nich każdemu ze swoich czternaściorga wnuków, które ukończyło dwunasty rok życia. Gdybym dosłownie zacytował Emmetta Lake'a, wówczas prawie na pewno straciłbym wierną czytelniczkę w osobie tej sympatycznej staruszki, a poza tym, co by się stało z pozostałymi jej wnuczętami, które jeszcze nie obchodziły dwunastych urodzin? Nie lubię cenzury tak samo jak wy, lecz gdyby się okazało, że to właśnie Emmett zastrzelił Brodella, musiałbym go dokładnie zacytować, a wtedy... żegnaj, Wichito. On jednak jako krowiarz przebywał wówczas na farmie, więc go ocenzuruję. Czytelnicy, którym podobają się te same słowa, co jemu, mogą je sobie wstawić bez skrępowania.

— Szlag by trafił tego (...) Brodella — rzekł.
— Za późno — wtrącił się Pete Ingalls. — Już nie żyje i został pochowany.
— To ja powiedziałem, że ten (...) i (...) drań mógłby się z nią ożenić, a to dowodzi, jaki był ze mnie głupi (...).

— A ja myślałem, że okazywałeś mu zrozumienie i współczucie — odezwał się Pete.

— Bzdura! Powiedziałem, co myślę, i ty dobrze o tym wiesz. Każda (...) baba, która żyje na tym świecie, to urodzona (...). Nazwałem go (...) i (...) draniem, bo on nie jest stąd, a jak taki (...) wczasowicz chce sobie (...), to niech to (...) albo zostawi swojego (...) w domu, kiedy tu...

Co za (...) język. Dość tego. Cenzurowanie to ciężka praca. Nie mógłbym pominąć Emmetta, bo tam był, lecz tyle wam wystarczy. Wolfe musiał to znosić trochę dłużej — on może wytrzymać wszystko, jeżeli tylko istnieje jakakolwiek szansa, że to coś da. Wreszcie przerwał mu takim tonem, jakim już przerywał elegantszym ludziom, używającym elegantszego słownika.

— Dziękuję panu, panie Lake, za tak znakomitą ilustrację tego, co powiedziałem o słowach. Panie Ingalls, pan również wykazał się niezłym zasobem słów, choć nie tak barwnych. Pan Goodwin poinformował mnie, że zamienił ich pan z Brodellem znacznie więcej niż dwadzieścia.

— W zeszłym roku — zaczął Pete. — Tego lata go nie widziałem. Jak sądzę, Archie powiedział panu, że się z nim zgadzam co do Harveya, ale ja mam lepsze uzasadnienie. Harvey nie zabije żadnego stworzenia, o ile nie zamierza go zjeść. Nie strzela nawet do kojotów. W czasie mojej pierwszej bytności na tej farmie jeden z koni złamał nogę i należało go zastrzelić, ale Harvey nie potrafił tego zrobić. Musiał go wyręczyć Mel. Człowiek o takiej mentalności pewnie mógłby kogoś zastrzelić pod wpływem jakiegoś nagłego impulsu, lecz zakładając, że on z rozmysłem bierze broń i poluje na innego człowieka, a potem go zabija, to po prostu idiotyczne. Dość dobrze znam...

— Pozwoli pan — przerwał mu Wolfe trochę innym tonem niż Emmettowi, ale również poskutkowało. — Pan Greve potrzebuje wybawcy, a nie adwokata. Często pan przebywał z Brodellem latem zeszłego roku?

Pete rozłożył ręce. Dysponował dużym asortymentem gestów.

— Ja bym tego nie nazwał przebywaniem. To nie to samo przebywać z kimś i być tam, gdzie on się znajduje. Ja mu imponowałem, szukał mojego towarzystwa, wiedział bowiem, że mój ojciec jest dobrze prosperującym biznesmenem, zajmuje się nieruchomościami, ja zaś prowadzę prace paleontologiczne, a Brodell chciał wiedzieć, jak się wyzwoliłem. Sam użył tego określenia. Pragnął się wyzwolić od ojca i jego gazety, a ojciec nie chciał go puścić.

— A zamiast tego co zamierzał robić?

— Nic.

— Nonsens. Tylko święci nic nie robią.

Pete pokazał zęby w uśmiechu.

— Dobrze! To mi się podoba. Choć to nieprawda, ale mi się podoba. Kto to powiedział?

— Ja.

— Dobrze, lecz kto to wymyślił?

— Rzadko kogoś cytuję, wówczas jednak podaję jego nazwisko.

— Sprawdzę, a jeżeli znajdę autora, każę to panu odszczekać. Niemniej cofam to, że Brodell nie chciał nic robić. Jak sądzę, mnóstwo ludzi wpada w tę pułapkę: tak intensywnie myślą o tym, czego nie chcą robić, że nie mają czasu zastanowić się nad tym, co by chcieli robić. Wracając do Brodella, starałem się go unikać. Na przykład, kiedyś zaproponował mi wspólną randkę z dwiema dziewczynami w Timberburgu, a ja grzecznie mu odmówiłem. I tak dalej. Właściwie widywałem go bardzo rzadko, poza sobotnimi wieczorkami u Woody'ego... Ze dwa razy natknąłem się na niego u Vewtera, albo on się na mnie natknął... i kiedyś we

czwórkę spędziliśmy wieczór w timberburskiej kregielni. *De mortuis nil nisi bene*, ale on był nudny. W dzień po jego śmierci miałem wątpliwości, czy on kiedykolwiek kogoś sobą zainteresował. Kiedy zginął, liczył sobie trzydzieści pięć lat. Umierał może minutę, albo nawet krócej, lecz tą jedną minutą poruszył więcej ludzi niż w ciągu tych wszystkich trzydziestu pięciu lat. Obliczyłem, że trzydzieści pięć lat to osiemnaście milionów trzysta dziewięćdziesiąt sześć tysięcy minut. Kazał nam pan opowiadać o Philipie Brodellu i jego śmierci. Cóż, gdybym mówił przez cały dzień, nie mógłbym powiedzieć o nim nic bardziej prawdziwego. Paskudny nekrolog.

— I z pewnością niezasłużony — rzekł Wolfe. — Przecież on musiał zainteresować pannę Greve. Chyba że ona się nim zainteresowała, jak twierdzi pan Lake.

— To jest myśl — odparł Pete i zacisnął usta, co świadczyło, że się zastanawia. — Jednak to tylko kwestia semantyki. Czy dziewczyna musi być zainteresowana jakimś mężczyzną, żeby mu się oddała? Oczywiście, że nie. Niektóre tak, lecz one stanowią mniejszość. Przeważnie zadzierają kieckę, bo są tego ciekawe. Chciałbym na tyle dobrze znać Almę, by móc ją o to zapytać. Nie wierzę, że się nim zainteresowała. One świetnie potrafią się przed tym bronić, ale często ciekawość jest tak wielka, że żaden mężczyzna ani żadna kobieta nie może się jej oprzeć. Pracując ze skamielinami, doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie w okresie dewonu, czy nawet syluru... Witaj, Almo!

Czterech z nas wstało. Zwyczaj wstawania, gdy wchodzi kobieta, dłużej utrzymał się w Montanie niż w Nowym Jorku, kiedy więc Mel i Emmett to zrobili, Pete i ja poszliśmy w ich ślady. Wolfe nie. Prawie nigdy nie wstaje, gdy kobieta wchodzi do jego gabinetu, a w ciągu ostatnich trzech dni złamał tyle swoich zasad, że możliwość przestrzegania choćby jednej musiała sprawiać mu ogromną satysfakcję.

— Chodźcie jeść, bo wystygnie — powiedziała Alma, która przypuszczalnie słyszała, jak w ten sposób wzywano na posiłki, jeszcze nim zaczęła ząbkować.

Mel poszedł umyć sobie ręce, a reszta udała się do jadalni dobudowanej na życzenie Carol w czasie, gdy Lily urządziła swój dom. Przy dużym stole było mnóstwo miejsca; czasami karmiono tam dodatkowo cztery do pięciu osób. Wolfe'a posadzono między Carol a Almą, mnie zaś naprzeciwko niego, tak że miałem dobry widok i mogłem obserwować jego reakcję na zupełnie pomidorową z puszki. Wprawdzie zjadł cały talerz, ale tylko ja zauważyłem, że unikał mojego wzroku. Flora jadła z nami, siedząc między Melem i Emmettem. Później pomogła Carol i Almie zebrać talerze po zupie oraz przynieść półmiski z tłuczonymi ziemniakami, fasolką szparagową i cebulą w śmietanie. Wreszcie Carol z Almą zaczęły podawać prawdziwego pstrąga po montańsku. Największą porcję dostał Wolfe. Zawczasu uprzedziłem go, że nie kładzie się tego na talerzu, lecz zwyczajnie rozwija folię i je prosto z niej. Zrobił to, kiedy obie panie usiadły i zabrały się do jedzenia. Jego ryba była wspaniała — tłusty pstrąg tęczowy długości prawie czterdziestu centymetrów. Złowiła go Lily, która z dumą mi go pokazała. Miałem nadzieję, że nie był w środku surowy. Fachowo posługując się nożem i widelcem, Wolfe włożył sobie kawałek ryby do ust, przeżuł, połknął i rzekł:

— Znakomity.

To mi załatwiło sprawę — muszę uderzyć do niego o podwyżkę. Za takie coś chyba mi się należała, tym bardziej że moje wynagrodzenie za pracę u niego było niedostateczne.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

— Nie — powiedział Nero Wolfe do Woodrowa Stepaniana. — Po głębokim namyśle mógłbym się z panem zgodzić. Chodziło mi tylko o to, co powiedziałem, że większość naszych ziomków ma inne zdanie.

Była za dwadzieścia dziewiąta. Znajdowaliśmy się w środkowej części domu kultury, nazywanej przez Lily galerią. Drzwi do dwóch pozostałych części, gdzie za wejście należało płacić, były zamknięte — film jeszcze się nie skończył, a tańce i swawole nie zaczęły. Tylko jeden istotny fakt ustalono na farmie Bar J.R., a mianowicie, że pstrąg pieczony w folii z szynką, nie rafinowanym cukrem, cebulą i sosem worcesterskim jest strawny o ile mi bowiem wiadomo, od Mela, Emmetta i Pete'a nie uzyskaliśmy nic ważnego. Jeszcze jedną istotną wiadomość przekazał mi Saul Panzer, kiedy dzwoniłem do niego od Greve'ów: jeżeli Philip Brodell kiedykolwiek spotkał Dianę Kadany lub Wade'a Worthy'ego podczas swoich wizyt w Nowym Jorku, to Saulowi nie udało się tego ustalić. Uważał, że szanse wykrycia takich kontaktów są znikome.

To, co do czego Wolfe mógłby się zgodzić z Woodym, dotyczyło wiszącego na ścianie za jego biurkiem dużego kartonu w ramach zrobionych domowym sposobem. Widniał tam następujący napis, własnoręcznie wykonany przez gospodarza:

Dobra, w takim razie idę do diabła

Huckleberry Finn Marka Twaina

Wolfe spytał, dlaczego akurat ten cytat umieszczono w ramce, a Woody odpowiedział, że jego zdaniem to najważniejsza sentencja w literaturze amerykańskiej. Wtedy Wolfe zapytał, dlaczego on tak uważa, na co Woody odparł, że słowa te mówią najważniejszą rzecz o Ameryce: nikt nie powinien dopuszczać, żeby ktokolwiek za niego decydował, i że owa sentencja jest tak cudowna, gdyż nie wygłosił jej człowiek dorosły, lecz chłopiec, który nigdy nie przeczytał żadnej książki, a był taki mądry, bo urodził się Amerykaninem.

Miałem wykonać pewne zadanie, ale zostałem, by ich posłuchać, sądziłem bowiem, że mogę się czegoś dowiedzieć albo o Ameryce, albo o literaturze. Kiedy Wolfe stwierdził, że większość naszych ziomków jest innego zdania, Woody spytał go, jaką sentencję uważa za ważniejszą.

— Mógłbym wybrać ich kilkanaście — odparł Wolfe — lecz chyba najlepsza także wisi na pańskiej ścianie — wskazał oprawioną w ramki Deklarację Niepodległości. — „Wszyscy ludzie rodzą się równi”.

Woody skinął głową.

— Oczywiście, że to ważne, ale jest kłamstwem. Z całym szacunkiem. To kłamstwo w dobrej wierze, ale kłamstwo.

— Nie w tym kontekście. Jako przesłanka biologiczna byłoby czymś gorszym niż kłamstwo, po prostu bzdurą, jednak jako broń w walce na śmierć i życie okazało się skuteczne i prawdziwe. Nie miało przekonywać, lecz mieszać w głowach. — Wolfe znowu wskazał na ścianę.

— A tamto co to jest?

„Tamto” było jeszcze jednym ręcznie wykonanym napisem w ramach, ale nie mogę go wam pokazać, bo nie miałem ze sobą aparatu. Najwyraźniej składał się z pięciu czy sześciu słów, lecz w jakimś dziwnym języku, a pod nimi, mniejszymi literami, nazwisko: Stephen Orbelian.

— To jest starsze — rzekł Woody. — Ma około siedmuset lat. Nie jestem pewien, czy to doniosła sentencja, ale mam do niej wielki sentyment. Napisał ją ten człowiek, Stephen

Orbelian, w starym klasycznym języku ormiańskim. Znaczy po prostu „Kocham swój kraj, bo jest mój”. To oczywiście nie jest takie proste, ale bardzo subtelne. Mówi o wiele więcej, niż mogłoby wynikać z tych sześciu słów. Z całym szacunkiem, chciałbym zapytać, czy pan się zgadza?

Wolfe chrząknął.

— Zgadzam się, że to subtelne. Niezwykłe. Usiądźmy i przedyskutujmy to sobie.

Nie zostałem zaproszony, więc wyszedłem, by wykonać swoje zadanie, które polegało na tym, żebym wrócił samochodem do domu, zapewniając w ten sposób środek transportu Lily, Dianie i Wade’owi Worthy’emu. Spodziewałem się, że zastanę Lily i Wade’a w dużym pokoju, naturalnie już gotowych, ale nie Dianę. Tak też się stało. Oczywiście dziewięć kobiet na dziesięć zwykle się spóźnia, lecz z Dianą sprawa nie ograniczała się jedynie do tego. Diana zawsze musiała mieć wejście. Do kuchni jeszcze nigdy nie wchodziła tak po prostu, tylko wkraczała. Bez widzów nie miałyby to najmniejszego sensu, a im więcej publiczności, tym lepiej. Umówiliśmy się, że przyjadę po nich tuż po dziewiątej. Jeżeli Diana zdążyła się ubrać i zrobić sobie twarz na dziewiątą, najpierw czekała w swoim pokoju, póki nie usłyszy samochodu, a potem w korytarzu, póki nie usłyszy, że jestem w środku. Już byłem. Informowałem Lily i Wade’a, że prawdziwy pstrąg po montańsku bardzo wszystkim smakował, i dopiero wtedy weszła Diana — ucza dla każdej publiczności; sunęła, jakby unosząc się w powietrzu, ubrana w jakąś czerwoną kreację z jedwabiu, która u góry nisko się zaczynała, ale u dołu sięgała prawie do kostek. Lily też nie lekceważyła publiczności, lecz wyznawała inne poglądy: jej strój składał się z blad różowej bluzki i białych spodni.

Powróciwszy do Lame Horse, nie miałem już gdzie zaparkować od frontu, objechałem więc dom Vawtera i na podwórku, przy rampie sklepu, znalazłem zaciszne miejsce. Do domu kultury dotarliśmy przejściem między domami. Kiedy wchodziliśmy do środka, nie spodziewałem się, że zobaczę tam Wolfe’a. Już wcześniej bowiem poprosiliśmy Woody’ego, by nam pozwolił korzystać z części mieszkalnej na zapleczu, i otrzymaliśmy jego zgodę, z całym szacunkiem. Ustaliliśmy, że przyprowadzę tam Sama Peacocka, gdy tylko nadarzy mi się okazja albo sam ją stworzę. Jednakże zobaczyłem Wolfe’a. Siedział pod ścianą na krześle o połowę dla niego za małym i miał towarzystwo. W domu kultury prawie nigdy nie widywało się przedstawicieli prawa, ponieważ środki ostrożności stosowane przez Woody’ego nikomu nie pozwalały wymknąć się spod kontroli: od czasu do czasu wpadał umundurowany policjant stanowy, rozglądał się przez chwilę i to wystarczało. Tego wieczora obecny był jednak nie tylko szeryf Morley Haight, siedzący na krześle po prawej stronie Wolfe’a w odległości trzech kroków od niego, ale również jeden z jego zastępców, niejaki Ed Welch, mocno ogorzwały mężczyzna, który miał szerokie bary, o jakich marzył Haight. Stał przy drzwiach tam, gdzie sprzedawano bilety. Diana i Wade skierowali się ku wejściu, Lily zaś, stojąc obok mnie, spojrzała najpierw na zastępcę szeryfa, potem na Haighta i spytała mnie tak głośno, żeby on to usłyszał:

— Czy ja już gdzieś nie widziałam, tego człowieka?

By oszczędzić mi kłopotu z udzielaniem stosownej odpowiedzi, ruszyła w kierunku wejścia do sali, wyciągając portmonetkę z kieszeni spodni.

— Czy znasz szeryfa Haighta? — spytałem Wolfe’a, gdy do niego podszedłem.

— Nie.

— To właśnie on — powiedziałem, ostentacyjnie go wskazując. — Nie chciałbyś go poznać?

— Nie.

— Dobry wieczór — zwróciłem się do Haighta. — Czy nie chciałby pan o coś zapytać pana Wolfe’a lub mnie? A może chce pan nam coś powiedzieć?

— Nie.

Mając już dość tych negatywnych odpowiedzi, zbliżyłem się do człowieka sprzedającego bilety, wręczyłem mu dwa dolce i wszedłem na salę. Muzycy akurat odpoczywali, ale kiedy przepchałem się do miejsca, gdzie powinna być Lily, zaczęli grać coś, czego nie umiałem nazwać. Lily wyszła mi naprzeciw i puściliśmy się w tany. Dotychczas przetańczyliśmy ze sobą tyle godzin w różnych rytmach, że na parkiecie poruszaliśmy się właściwie jak jedna czworonożna istota.

W czasie tańca zazwyczaj prawie nie rozmawiamy ze sobą, lecz po minucie Lily powiedziała:

— On tu przyszedł za tobą.

— Kto? Haight?

— Nie, ten drugi.

— Tak przypuszczałem. Nie chcę sprawiać mu przyjemności i udam, że go nie widzę.

Po następnej minucie Lily znów się odezwała:

— Co ten goryl sobie myśli, że cały czas będzie tu siedział?

— Łudzi się nadzieją, że znajdzie pretekst do wydalenia nas ze swojego okręgu.

Po kolejnej minucie, podczas której widzieliśmy, jak Diana podryguje z jakimś facetem, w purpurowej koszuli i džinsach, a Wade z dziewczyną w swetrze i mini, Lily powiedziała:

— Mówiłeś, że on miał być w mieszkaniu Woody'ego.

— Bo miał. Widocznie jednak postanowił obejrzeć sobie walące tu tłumy i wypatrzeć mordercę. On jest zdolny absolutnie do wszystkiego.

Po następnych dwóch minutach:

— O co chodzi z Samem Peacockiem? Nie, cofam to. Już nie będę zadawała pytań. Wszystko przez Wolfe'a. Jeśli ta sprawa się przeciągnie, będzie miał do mnie żal i może uznać, że trzeba mnie zniszczyć, a on, u licha, jest jedynym człowiekiem na ziemi, którego mogłabym się bać. Powiesz mi o Samie Peacocku, czy nie?

— Nie. On może nas naprowadzić, ale jeszcze się nie ciesz. Co do Wolfe'a, daj sobie spokój. Jemu to dobrze zrobi. Nawet zjadł trochę tłuczonych ziemniaków, które ugotowała Carol. Ani ty go w to nie wciągnęłaś, ani ja. Zrobił to na własne życzenie i w pełni zdaje sobie z tego sprawę. On zdaje sobie sprawę ze wszystkiego.

— Nie zauważyłam tu Sama Peackoaka.

— Zawsze się spóźnia. W zeszłym tygodniu przyszedł dopiero przed jedenastą. Pamiętasz, opowiadałem ci, że słyszałem, jak mówił pewnej dziewczynie, że kiedy miał rok, to musieli wiązać jego matkę, żeby dała mxi possać.

Orkiestra zrobiła przerwę na odpoczynek, odprowadziłem więc Lily na jej ulubione miejsce przy otwartym oknie, a sam ruszyłem na obchód, by zobaczyć, kto już jest, i naradzić się ze sobą. Zastępca szeryfa Ed Welch stał przy podium dla orkiestry. Przechodząc obok, okazałem mu lekceważenie, mój łokieć bowiem minął go zaledwie o centymetr. Jeżeli Morley Haight będzie siedział kamieniem na tym krześle w „galerii”, a chyba miał taki zamiar, Wolfe zaś wejdzie na zaplecze, to ten program wcale mi się nie podobał. Kiedy Haight zobaczy, że prowadzę Sama Peackoaka do Wolfe'a, oczywiście wciąż jeszcze będzie tam siedział i zatrzyma Sama, gdy ten wyjdzie, a Sam to jedyna osoba, od której Wolfe mógłby wyciągnąć coś, na czym można by się zaczepić. Nie chodziło o to, że próbował przemilczeć czwartkowe rano, kiedy Brodell wyszedł popatrzeć na potok, lecz o cały wtorek i całą środę, gdy Brodell przebywał wyłącznie z nim. Jeśli Wolfe wydostanie od Sama jakąś wskazówkę, również Haight ją z niego wydusi. Nie podobała mi się taka perspektywa, bo skoro my coś zdobędziemy, także Haight to zdobędzie. Wiedziałem, że Wolfe'owi to się też nie spodoba. Przechodząc koło drzwi, zerknąłem do „galerii”. Haight z jakąś książką siedział przy biurku Woody'ego, a Wolfe'a nie było.

Krążąc tak lub stojąc w kącie, gdy grała orkiestra, w ciągu pół godziny obejrzałem chyba osiemdziesiąt trzy twarze, które już kiedyś widziałem. Znałem nazwiska około połowy tych

osób, łącznie z większością ludzi poznanych już przez was u Farnhama i na farmie Bar J.R. Pete tańczył z Lily, która pokiwała mi palcem, gdy mnie mijali. Sama Peacocka nie było, ale zobaczyłem jego znajomą, tę dziewczynę, co przed tygodniem powiedziała, że on okropnie wygląda. Miała na sobie tę samą wiśniową bluzkę, a może tylko podobną. Kiedy orkiestra przestała grać i dziewczyna odchodziła od swojego partnera z miną, jakby ten taniec nie sprawił jej zbyt wielkiej przyjemności, zastąpiłem jej drogę i powiedziałem:

— Ja tańczę lepiej od tego faceta.

— Wiem — odparła. — Myśmy się już widzieli. Pan jest Archie Goodwin.

Z bliska wydawała się młodsza i ładniejsza — tak bywa z niektórymi dziewczynami.

— Skoro pani zna moje nazwisko, ja również powinienem wiedzieć, jak pani się nazywa.

— Peggy Truett. Dziękuję za informację, że pan dobrze tańczy. Nareszcie to wiem.

— To był tylko pierwszy krok. Zaraz pani udowodnię. Właśnie do tego zmierzałem.

— No pewnie — odparła zaczesując palcami niesforny kosmyk blond włosów. — Jest pan nieśmiały i w tym pański kłopot, wiem.. Chciałabym skorzystać z tak miłego zaproszenia, ale raczej nie skorzystam. Widziałam tu pana mnóstwo razy, w zeszłym roku i w tym, lecz nigdy przedtem mnie pan nie poprosił, więc dlaczego teraz? To przecież proste: pan chce mnie zapytać o Sama Peacocka.

— Naprawdę? Niby dlaczego?

— Doskonale pan wie. Pan i ten tłuścioch, Nero Wolfe, nieźle go wczoraj wieczorem wałkowaliście tylko dlatego, że wykonywał swoje obowiązki i zajmował się koniem tamtego letnika. Na jego miejscu to bym wam...

Jej wzrok ześlizgnął się ze mnie i skierował na coś za moimi plecami. Kiedy odeszła, ocierając się o moje ramię, odwróciłem głowę i spostrzegłem wchodzącego Sama Peacocka. Zobaczył zbliżającą się Peggy Truett i ruszył jej naprzeciw. Spojrzałem na zegarek: do jedenastej pozostało dziewięć minut. Orkiestra ęła grać, więc stanąłem pod ścianą blisko drzwi i obserwowałem tworzące się pary — Lily z Woodym, Billa Farnhama z panią Amory, Pete'a Ingallsa z Dianą Kadany, Armanda DuBois z jakąś kobietą w czarnej sukience i Wade'a Worthy'ego z dziewczyną z rancia w górnym biegu rzeki. Ed Welch, zastępca szeryfa, siedział na krawędzi podium, trochę wyżej niż na krześle.

Byłem tam potrzebny jak uzda bez wędzidła, więc przeszedłem do „galerii”. Szeryf Haight wciąż tam siedział z jakimś czasopismem, trzymając nogi na biurku Woody'ego. Spojrzał na mnie, ale się nie odezwał. Ja również nic nie powiedziałem. Zbliżyłem się do ściany, by popatrzeć na największą sentencję w literaturze amerykańskiej, i wtedy miałem go na wyciągnięcie ręki. Policzywszy do stu, odwróciłem się i naturalnie spostrzegłem zastępcę szeryfa. Już chciałem wygłosić jedną z trzech dowcipnych uwag, które wymyśliłem na poczekaniu, lecz zrezygnowałem. Ruszyłem do wejścia na zaplecze, otworzyłem drzwi, wszedłem i zamknąłem je za sobą.

Znalazłem się w kuchni Woody'ego, tak samo w pełni nowoczesnej jak u Lily, chociaż znacznie mniejszej. Za nią była sypialnia i łazienka, a następnie pokój, który Lily nazywała „muzeum”. Pokój ten był duży, miał prawie osiemdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni i sześć okien; znajdowały się w nim, przynajmniej w jednym egzemplarzu, niemal wszelkie towary jakimi handlował ojciec gospodarza. Starczyło wyrazić życzenie, a Woody chętnie wszystko pokazywał — od szklanej gabloty z różnymi gatunkami tytoniu do żucia po stelaż z szerokim wyborem firanek. Najcieńszym eksponatem był kamień szlifierski o średnicy siedemdziesięciu centymetrów, największym zaś połączenie maselnicy z maszynką do robienia lodów. Do eksponatów nie należały chyba tylko krzesła, lampy i półki z książkami wyłącznie w twardej oprawie — żadnych tanich wydań, przecież to prywatna biblioteka Woody'ego.

Kiedy wszedłem, dwie książki leżały na stolyczku pod ścianą, a jedną trzymał w rękach Nero Wolfe, który siedział w dużym wygodnym fotelu. Z lewej strony miał lampę do

czytania, z prawej zaś, obok leżących na stoliku książek, szklanek i dwie butelki od piwa, jedną pustą, drugą w połowie opróżnioną. Tak dobrze się urządził, że właściwie powinienem zrobić w tył zwrot i odejść, ale spojrzał na mnie i rzekł:

— No właśnie.

Było to równoznaczne z pytaniem: Gdzieś się, u licha, podziewał?

Przysunąłem więc sobie fotel, usiadłem naprzeciwko Woife'a i powiedziałem:

— Mówiłem ci, że się spóźni. Dopiero co przyszedł.

— Rozmawiałeś z nim?

— Nie.

— Dlaczego? Jest pijany?

— Nie. Chodzi o co innego. Haight wciąż tam siedzi i nie zdradza ochoty do wyjścia.

Powiedzmy, że sprowadzę tu Sama, teraz czy później, i w ciągu jednej lub sześciu godzin uda ci się coś z niego wyciągnąć... albo i nie. Jeżeli ci się nie uda, będzie to strata mnóstwa czasu i energii, co jest godne pożałowania, ale często się zdarza. Jeśli ci się uda, to gdy Sam stąd wyjdzie, nadzieje się na Haighta, który ciągle tam siedzi, a to, co wówczas się stanie, będzie znacznie gorsze niż tylko godne pożałowania. Haight...

— Nie jestem tępy, Archie — przerwał mi i zamknął książkę, używając palca jako zakładki.

— Przyznaję.

— Czy tędy nie można wejść? — spytał wskazując kciukiem drzwi od podwórka.

— Można, ale ja też nie jestem tępy. Przypuszczam, że widziałeś tego krzepkiego małpoluda, który stał przy drzwiach, kiedy przyszedłem, i być może zauważyłeś, że cały czas za mną chodził. To zastępca szeryfa, Ed Welch. Dziś wieczorem jestem jego celem. Gdybym wyprowadził Sama Peacocka frontowymi drzwiami i wszedł z nim tutaj od podwórka, korzystając z tego wejścia, wówczas miałbym Welcha na karku, a Haightowi nawet jeszcze bardziej by zależało na tym, żeby popracować nad Samem po jego wyjściu. Sam nie będzie mógł wymknąć się przez podwórko, bo Welch tam na niego zaczeka. Nie jestem pewien, czy obaj nie okazaliśmy się trochę tępi, szczególnie ja. Powinienem zająć się Samem po południu czy nawet w czasie kolacji, zamiast opychać się tym cholernym pstrągiem po montańsku. W tej sytuacji na dziś musi ci wystarczyć jedynie to, że zdobyłeś przepis na tę potrawę i poznałeś subtelne sentencje w starym klasycznym języku ormiańskim. Jutro niedziela i Sam prawdopodobnie ma wolny dzień, ale go znajdę i przyprowadzę. Im bardziej przyglądam się temu wszystkiemu, tym bardziej podoba mi się pomysł z Samem Peacockiem. Nie wierzę, że Brodell nie podejrzewa k nikogo z sąsiedztwa o chęć załatwienia go, tak samo jak nie chce mi się wierzyć, że przez cały wtorek, całą środę i kawałek czwartku nie powiedział ani jednego słowa, które mogłoby być wskazówką. Czy nie mówiłem ci tego albo czegoś w tym rodzaju przed trzema dniami?

— Nie trzema, lecz dwoma. We czwartek po południu. Mówiłeś, że próbowałeś zastosować wobec Sama to, co nazwałeś moją „metodą filtrowania”, ale on nie chciał z tobą współpracować.

— Pewnie, że nie chciał. Wczoraj wieczorem wydobyłeś od niego więcej niż ja w trzech podejściach. Teraz jednak nie ja, lecz ty prowadzisz dochodzenie i robisz to oficjalnie, a on o tym wie. Proponuję, żebyśmy teraz wyszli tylnymi drzwiami i odwiozę cię do domu. Później wrócę i zabiorę resztę. Wyśpisz się, a ja przyprowadzę ci go jutro.

Skrzywił się.

— Która godzina? — mruknął. Spojrzałem na zegarek.

— Za dwadzieścia dwunasta.

— Jestem w połowie tekstu, który odświeża mi pamięć — rzekł, nalał piwa do szklanki i otworzył książkę. — Może powinienem zawiadomić panią Rowan, że jedziemy?

Odparłem, że nie jest to konieczne i że zwykle siedzimy tu mniej więcej do pierwszej. Podszedłem do niego i zajrzałem mu przez ramię, by zobaczyć, czym odświeża sobie pamięć. Były to *Eseje* Macaulaya i Wolio akurat czytał o sir Williamie Temple'u, którego w ogólnie pamiętałem i nie musiałem niczego sobie odświeżać. Krążyłem po pokoju, oglądając muzealne eksponaty, a czasem ich dotykając, myślałem jednak o ludziach, szczególnie o Morleyu Haighcie i Edzie Welchu. Nie budzili we mnie podziwu. Skoro szeryfowi i jego pierwszemu zastępcy tak bardzo zależy na prawie i porządku, że muszą być na służbie w sobotni wieczór, to mogliby znaleźć sobie coś lepszego do roboty niż rzucanie kłód pod nogi dwóm porządnym obywatelom, których prokurator okręgowy upoważnił do prowadzenia śledztwa w sprawie zbrodni na jego terenie. Należało im przytrzeć nosa, zastanawiałem się więc, jak to zrobić, kiedy wrócę, ale żaden z trzech czy czterech wymyślonych przeze mnie sposobów nie okazał się wystarczająco dobry.

Zbliżała się północ, kiedy Wolfe skończył piwo, zamknął książkę, zgasił lampę, wziął pozostałe dwie książki i wszystkie odłożył na miejsce, a potem spytał:

— Co ze szklanką i butelkami?

W domu nocną porą sam by je odniósł do kuchni, lecz tutaj należało uwzględnić fakt, że była ona daleko, więc uwzględniłem i wziąłem to na siebie. Po powrocie zobaczyłem, że Wolfe siedzi w innym fotelu i pochyla się nad uniesionym rogiem dywanu. Wiedział mnóstwo o dywanach. Domyśliłem się, co o nim sądzi, ale nawet nie mruknął. Kiedy puściwszy róg dywanu wstał, podszedłem do drzwi od podwórka, zaopatrzonych w zamek Murdocka, i otworzyłem je. Wolfe spytał, czy nie powinniśmy zgasić światła. Odpowiedziałem mu, że nie i że zrobię to, jak wrócę.

Odrobina światła sącząca się przez zasłony w oknach pomogła nam przejść pierwsze dwadzieścia metrów, ale potem, gdy skręciliśmy za skrzydło domu Vawtera, zrobiło się na dobre ciemno, księżycy bowiem nie było, a chmury zasłaniały większość gwiazd.

Zwolniliśmy na nierównościach. Przy naszym pikapie nie parkował żaden samochód. Wprawdzie zabrałem ze sobą kluczyki, lecz zamki w drzwiach zostawiłem nie zamknięte, a ponieważ szedłem pierwszy, nie uznałem otwarcia drzwi Wolfe'owi za rozpieszczanie, ale za zwykłą uprzejmość, więc je otworzyłem. Dzięki temu mieliśmy trochę światła z lampki pod sufitem, to zaś pozwoliło nam dostrzec coś bardzo nieprzyjemnego w środku na tylnym siedzeniu. On tam leżał. Głowa i nogi zwiślały mu z krawędzi.

Wolfe spojrzął na mnie i cofnął się o krok, aby mi umożliwić otwarcie tylnych drzwi. Nie chciałem dotykać ani tych cholernych drzwi, ani niczego innego, lecz poszkodowany mógł jeszcze oddychać mimo takiej pozycji, szarpnąłem więc za klamkę, otworzyłem je i pochyliłem się nad nim. Najszybszym sprawdzianem jest przystawienie do nozdrzy czegoś lekkiego i zwiewnego, ale nic takiego nie miałem pod ręką. Chwyciłem go za nadgarstek. Brak wyczuwalnego pulsu. Mimo to, krew być może wciąż krążyła, należało się więc śpieszyć. Rękę miał jeszcze ciepłą, ale przecież widziałem go na parkiecie zaledwie przed godziną. Zauważyłem kropelki krwi na obtartym uchu, a kiedy pomacałem czaszkę, wyczułem głębokie wklęsnięcie. Wycofałem się.

— Prawie na pewno nie żyje — powiedziałem. — Ja to zostanę, a ty pójdziesz po szeryfa i zawiadomisz tego sukinsyna, że doszło do przełomu, choć tak parszywego. Powiedz mu, by przyprowadził lekarza. Jest ich tam przynajmniej dwóch. — Ze schowka w desce rozdzielczej wyjąłem latarkę, włączyłem ją i skierowałem strumień światła w stronę przejścia między domami. — To najkrótsza droga. Trzymaj.

Podaliśmy mu latarkę, ale jej nie wziął.

— A może jednak... — odezwał się, lecz mu przerwałem.

— Doskonale wiesz, że nie. Jest tylko jedna szansa na milion, że żyje, a jeśli tak, to może coś powie. Nie musisz mówić szeryfowi, że to Sam Peacock. Po prostu jakiś mężczyzna. Trzymaj.

Tym razem wziął latarkę i odszedł.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Czasami umysł lubi człowiekowi płatać figle, przynajmniej mój. Kiedy Wolfe zniknął w przejściu, miałem kilkanaście pilnych spraw do rozważenia, a tymczasem Jem sobie pytanie, w jaki sposób Lily wróci do domu? Wreszcie znalazłem na nie odpowiedź, nawet całkiem zadowalającą, i właśnie zastanawiałem się, co robić dalej, gdy w przejściu usłyszałem jakieś kroki. To był Haight. Trzymał w ręku latarkę, która prawdopodobnie należała do Lily. Podeszedł, zajrzał do samochodu, odwrócił się i spytał:

— To pański wóz?

Przez całą noc nie wymyśliłby głupszego pytania, gdyby nawet bardzo się starał. Przecież ja nie miałem samochodu i on dobrze o tym wiedział.

— W schowku znajdzie pan kartę rejestracyjną — odparłem. — Co z lekarzem?

— Wsiadać z przodu i nie ruszać się stamtąd. — powiedział.

Przełożył latarkę do lewej ręki i zaświecił mi w oczy, a prawą dłoń opuścił na kolbę rewolweru, który miał przy pasie.

— Wolałbym nie dotykać samochodu — rzekłem. — Gdybym chciał uciec, to prawdopodobnie bym tu na pana nie czekał. Poza tym trochę mi się śpieszy. Co z lekarzem?

— Kazałem wsiadać z przodu — warknął i wyciągnął rewolwer.

— Każ się pan wypchać, z całym szacunkiem.

Moja uwaga była zupełnie na miejscu, bo akurat zadawałem sobie pytanie, czy on rzeczywiście jest taki głupi, by myśleć, że ucieknę albo rzucę się na niego, czy też wydaje mu się, że jest Edgarem Hooverem. Nim zdążyłem to rozstrzygnąć, sprawę skomplikował dochodzący z przejścia odgłos potknięcia. Haight skierował tam latarkę, w której świetle ukazał się jakiś łysy mężczyzna w sportowej marynarce w jaskrawą kratę. To był doktor medycyny Frank Milhaus. Znałem go tylko z widzenia. Stał za samochodem i zaczął się rozglądać.

— W wozie, Frank — poinformował go Haight.

Lekarz zajrzał do środka, a potem odwrócił się i spytał Haighta:

— Co mu się stało?

— Ty mi to powiesz — odparł szeryf.

Milhaus pochylił się, prawą nogę postawił na podłodze samochodu, lewe kolano oparł na siedzeniu i rozpoczął badanie. Po trzech minutach wyszedł.

— Przynajmniej trzy silne ciosy w głowę — powiedział. — Uważam, że nie żyje, ale upewnię się, gdy... właśnie idzie.

To był Ed Welch. W jednej ręce trzymał latarkę, a w drugiej coś czarnego. Zbliżył się do samochodu, zajrzał do środka i oświadczył:

— To Sam Peacock.

W udzielaniu poufnych informacji nikt nie potrafi dorównać przedstawicielom prawa okręgu Monroe. Milhaus wziął ów czarny przedmiot, który okazał się torbą lekarską, postawił ją na przednim siedzeniu, otworzył, wyjął stetoskop i znów pochylił się nad tym, co — jak to już zostało urzędowo stwierdzone — było ciałem Sama Peackocka. Po paru minutach wyszedł i zaczął składać stetoskop.

— Nie żyje.

— Czy to pewne? — spytał Haight.

— Oczywiście, że pewne. Śmierć zawsze jest pewna.

— Jest coś poza tymi trzema urazami głowy?

— A bo ja wiem? — odparł lekarz, wkładając stetoskop do torby, którą potem zamknął i podniósł. — Najwyraźniej zginął gwałtowną śmiercią, a ja nie jestem koronerem.

— Przeniesiemy go tam, gdzie będziesz mógł go obejrzeć lepiej.

— Ja nie. Jak wiesz, raz już miałem taką awanturę, że nie mam ochoty na powtórkę.

Kiedy odchodził, Haight coś mu powiedział, Milhaus jednak się nie zatrzymał i po chwili zniknął. Haight odwrócił się do mnie.

— Jest pan aresztowany. Wsiadać z przodu.

— Pan tu rządzi — powiedziałem. — Do czasu. Ten samochód powinien być w całości...

Urwałem ze względu na ruch ręki Eda Welcha, który zrobił krok w moją stronę. Ruch ten oznaczał to, co zwykle oznacza. Ed chciał mnie uderzyć, ale nie prostym czy hakiem, lecz z pełnego zamachu. Nim jego pięść wylądowała na mojej szczęce, cofnąłem głowę i cios mnie minął. Haight też nie próżnował; podskoczył i wcisnął mi lufę rewolweru pod żebra. Welch znów się zamachnął, ale zrobiłem sprytny unik: odwróciłem głowę na tyle, że jego pięść uderzyła mnie pod kątem, a nie prostopadle. Ten cios nie przewróciłby manekina z wystawy sklepowej, lecz ja się zachwiałem, straciłem równowagę i rozciągnąłem na ziemi.

Welch mnie kopnął. Prawdopodobnie celował w głowę, jednakże wskutek niedostatecznego oświetlenia trafił w ramię. Nie chciałem cytować tego, co powiedział, bo prawdopodobnie byście mi nie uwierzyli, ale skoro to jest fakt, więc zacytuję:

— Stawianie oporu podczas aresztowania.

Nikt go nie mógł usłyszeć poza Haightem i mną. Spojrzałem w lewo i w prawo sądząc, że być może są tam jacyś widzowie, którym pragnął zaimponować, ale nikogo nie było.

— Wstawaj, ty... — powiedział.

Ja jednak w dalszym ciągu leżałem z tego samego powodu, dla którego upadłem, wiedziałem bowiem, do czego by doszło, gdybym wstał. Być może niezbyt jasno przedstawiłem nastrój, w jakim się znajdowałem: najpierw dwa tygodnie moich bezskutecznych zabiegów, później przyjazd Wolfe'a i wyeliminowanie Gila Haighta, a teraz jeszcze śmierć Sama Peacocka. Tańczyłem na cholernie cienkiej linie. Gdybym wstał, to albo bym zwał ich obu na ziemię, w co wątpię, albo dostałbym jedną czy kilka kul. Wolałem zatem leżeć, choć jakiś ostry kamień wbijał mi się w biodro, a drugi, większy, w ramię.

— Wstawaj, do cholery — po chamsku odezwał się Welch.

Myślałem, że znowu chce mnie kopnąć, i rzeczywiście chciał, ale Haight go powstrzymał mówiąc:

— Pewnie złał się w spodnie. Jeżeli Milhaus się wygada, zaraz będzie tu kupa ludzi. Idź tam i przyślij Farnhama. Eversa też, jeżeli uda ci się szybko go znaleźć. Potem zadzwoń do doktora Hutchinsa i powiedz mu, żeby tu przyjechał, i to natychmiast. Ciała za Chrystusa nie wolno ruszać, póki on go nie obejrzy.

Dokładnie wiem, jak długo leżałem: czterdzieści dwie minuty, od dwunastej czterdzieści sześć do pierwszej dwadzieścia osiem. Lubię śledzić ważne wydarzenia. Gdyby chodziło jedynie o Haighta i Welcha, to mógłbym wstać już znacznie wcześniej, wkrótce bowiem obaj musieli wyteżać wszystkie siły, żeby sobie poradzić z ludźmi, którzy nadchodzili z trzech kierunków: od strony przejścia oraz zza sklepu Vawtera i domu kultury. Bez względu na to, czy zawiadomił ich doktor Milhaus, który najwyraźniej nie kochał Haighta, czy też Farnham albo nawet sam Welch, ciągle przychodzili, a ja napawałem się widokiem pokrzykującego i wymachującego rewolwerem Haighta, odpychającego tłum Welcha oraz Billa Farnhama próbującego bronić dostępu do samochodu równocześnie z obu stron. Z tym akurat sobie poradzili. Jediną osobą, która zbliżyła się do samochodu na wyciągnięcie ręki, był koroner, doktor Hutchins. Zjawił się o pierwszej dziewiętnaście. Do tego czasu Haight zwerbował kilka osób: trzech czy czterech mężczyzn pomagało mu walczyć z tłumem, dwóch innych zaś sprowadziło swoje samochody, których reflektory zapewniały oświetlenie. Sytuację w miarę opanowano. O pierwszej dwadzieścia Haight stał tylko cztery kroki ode mnie, rozmawiając z doktorem Hutchinsem. Pomyślawszy, że można by sprawdzić, czy w dalszym ciągu chce mnie wsadzić do samochodu, wstałem. Pochyliłem się, żeby otrzepać sobie spodnie, a kiedy się wyprostowałem, zobaczyłem obok Eda Welcha. Prawej dłoni nie zaciskał w pięść,

ponieważ trzymał w niej parę kajdanek, lewą zaś sięgnął do mojego prawego nadgarstka, ale nie zdążył go chwycić, bo wyciągnąłem przed siebie obie ręce, nie chcąc, żeby wykręcił mi je do tyłu. Zatrzasnął na nich kajdanki. To był jeden z nowszych modeli — ładnie błyszcząły.

— Mój wóz stoi od frontu — rzekł wskazując przejście między domami. Chwycił mnie za ramię. — Tędy.

Tłum chyba już się trochę przerzedził, ale jeszcze ponad sto osób obserwowało, jak stróż prawa odprowadza z miejsca przestępstwa aresztanta, najwyraźniej niebezpiecznego, był bowiem zakuty w kajdanki. Ja również obserwowałem i kiedy zbliżyliśmy się do przejścia, zobaczyłem Lily, która stała na skraju strumienia światła z samochodowego reflektora. Obok niej do strzegłem Dianę, Wade'a i Pete'a Ingallsa. Pomachali do mnie, a ja odpowiedziałem im tym samym, oczywiście obiema rękami.

— Odwiozł go Woody! — wykrzyknęła Lily.

Sprawiło mi to ulgę. Spodziewałem się bowiem, że kiedy wsiądziemy do samochodu, zastanę tam Wolfe'go również w kajdankach, a to nawet dla mnie byłaby zbytek wielka cena.

W samochodzie, który stał wśród innych wozów przed sklepem Vawtera, ktoś jednak siedział. Osobą tą, zajmującą miejsce kierowcy, okazał się Gil Haighl. Kiedy Welch otworzył tylne drzwi, Gil odwrócił do mnie głowę na swojej długiej szyi.

— Śliczny poranek — powiedziałem wsiadając.

Gil się zaśmiał. Nie był to jednak śmiech pogardliwy, lecz po prostu nerwowy. Welch wsiadł za mną, zatrzasnął drzwi i rzekł:

— No dobra, Gil, jazda. Twój ojciec kazał ci powiedzieć, żebyś natychmiast wracał.

Kwadrans po drugiej zatrzymaliśmy się przed budynkiem sądu w Timberburgu, a dotychczas żaden z nas się nie odezwał. Kiedy trzech ludzi przejeżdża taką drogę pełną wybojów i zakrętów, nie mówiąc ani słowa, oznacza to, że gdzieś brakuje kontaktu, a w tym wypadku brakowało go prawdopodobnie między Welchem a mną i między Gilem a Welchem. Welch wysiadł za mną, zaniknął drzwi i zwrócił się do Gila:

— Powiedz swojemu ojcu, że tu będę.

— Dobra — mruknął Gil.

Przechodzące obok małolaty, dwie dziewczyny i dwóch chłopców, stanęli zauważywszy, że jestem w kajdankach, tak więc Welch znów miał widzów, kiedy prowadził mnie do wejścia. Z ogromnego hallu skierował mnie do korytarza po prawej stronie, a gdy znaleźliśmy się przed drzwiami, przez które wchodziłem przed szesnastoma godzinami, wówczas jeszcze bez kajdanek, wyjął pęk kluczy i jednym z nich otworzył zamek. Zdziwiłem się, przypuszczałem bowiem, że ktoś już powinien być na posterunku w biurze szeryfa dla zapewnienia łączności. Welch klepnął w przełącznik na ścianie, by zapalić światło, wskazał mi furtkę w barierce, a potem, krzesło przed biurkiem, za którym po chwili usiadł.

— Spodnie ci już wyschły? — spytał podchwytliwie.

Ponieważ pytanie było podchwytliwe, zignorowałem je. Welch otworzył szufladę, wyjął z niej blok drukowanych formularzy, piórem kulkowym napisał coś u góry, prawdopodobnie datę i godzinę, a potem zadał mi dwa istotne pytania:

— Nazywasz się Archie Goodwin? Jak to się pisze: A-r-c-h-i-e?

— Chciałbym zadzwonić do mojego prawnika. Wyszczrzył do mnie zęby w uśmiechu. To miał być uśmiech pogardliwy, i był.

— W każdy piątek wieczorem Luther Dawson jeździ do swojego domku kempingowego w górach, na południe od Heleny. Tam nie ma telefonu i...

— Nie chodzi mi o Dawsona. Chcę zadzwonić do Thomasa R. Jessupa.

Uśmiech zniknął z twarzy Welcha.

— Jessup nie jest twoim prawnikiem — powiedział.

— Ale jest prawnikiem. W kieszeni mam dokument z jego podpisem. Zmieniam swoją prośbę, a raczej żądanie. Chciałbym zadzwonić do prawnika.

— Przekażę to szeryfowi, jak się z nim zobaczę. A–r–c–h–i–e?

— Można po prostu napisać X. Pan prawdopodobnie nie wie, co znaczy „trwać w milczeniu”, więc użyję innego określenia. Nie odpowiem na żadne pytania, nawet ważne, dopóki nie zobaczę się z panem Jessupem. Zapyta mnie pan, co wolę na śniadanie, szynkę czy boczek, a ja będę trwał w milczeniu. Ponieważ pan mnie o to nie zapytał, wspomnę tylko, że można przynieść i jedno, i drugie, a wtedy sobie wybiorę. Albo, chcąc uniknąć straty...

Trajkotałem tak wiedząc, że próbował myśleć, a moja gadanina nie tyle mu to utrudniała, ile wręcz uniemożliwiała. Oczywiście nie ja stanowiłem dla niego problem, naprawdę, lecz człowiek, którego nazwisko potrafił przeliterować bez pytania, a mianowicie Thomas R. Jessup. Prawdopodobnie chciałby skontaktować się z Haightem, ale szeryf był osiągalny jedynie za pośrednictwem telefonu Woody’ego, jeżeli w ogóle. Kiedy wreszcie wszystko już sobie dokładnie przemyślał, a później wziął słuchawkę i nacisnął guzik, sądziłem, że nakręci numer Woody’ego, ale nawet nie dotknął tarczy.

— Mort? Ed Welch — odezwał się po minucie. — W biurze szeryfa mam tu takiego jednego dla ciebie. Przyjdź po niego... Nie, może chodzić... Do cholery, co cię to obchodzi?! Przylaż i zabieraj go.

Odłożył słuchawkę i zaczął coś pisać na formularzu, ja zaś patrzyłem na furtkę w barierce i zastanawiałem się, co i jak mógłbym zrobić. Niczego nie wymyśliłem. Lily zapewne próbowała dodzwonić się do Dawsona, a Wolfe do Jessupa, lecz ja mogłem jedynie życzyć im więcej szczęścia, niż przypuszczalnie mieli. Było bardzo prawdopodobne, właściwie prawie pewne, że nie otrzymam ani szynki, ani boczku na niedzielne śniadanie, a nawet poniedziałkowe. Wciąż pozostawało pytanie: co mogę zrobić? Na przykład, czy mógłbym powiedzieć Welchowi coś, co wpłynęłoby na to, w jaki sposób on spędzi weekend? Jeszcze nic nie zdążyłem wymyślić, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Mort, niski żylasty facet z długą czerwoną szramą na lewym policzku. Miał na sobie szare mundurowe spodnie z wiecznym kantem i brudną szarą koszulę, a przy pasie rewolwer. Welch spojrzał na niego i spytał:

— Gdzie masz bluzę?

— Tam jest cholernie gorąco. Udawaj, że nie zauważyłeś.

— Będę musiał o tym zameldować.

Welch się podniósł, wyjął z kieszeni pęk kluczy, wybrał jeden z nich, podszedł do mnie, otworzył kajdanki i zabrał je.

— Wstawaj — powiedział. — Opróżnić kieszenie. Ze wszystkiego.

— Zatrzymam dokument podpisany przez Jessupa — oświadczyłem wstając.

— Niczego nie zatrzymasz. Wyładowywać.

Posłuchałem. Układałem wszystko w kupkę na biurku ciesząc się, że nie było tam nic szczególnego, na przykład odpisu mojego listu do Wolfe’a. Kiedy skończyłem, podszedł Welch i mnie zrewidował, niezbyt brutalnie, a potem zrobił mi niespodziankę. Wziął mój portfel i wyjął banknoty. Sądziłem, że je przeliczy i każe mi podpisać jakiś świstek, ale nawet nie przejechał kciukiem po ich grzbietach. Wręczył mi je i powiedział, że pieniądze mogę sobie zatrzymać, a kiedy je wziąłem, oddał mi również drobne. Coś takiego przytrafiło mi się w areszcie po raz pierwszy w życiu i stanowiło nowy interesujący przyczynek do mojej znajomości obyczajów panujących w Montanie. Oczywiście mógł to być zwyczaj wyłącznie lokalny albo też któryś współaresztant lub klawisz miał lepkie ręce, a później dzielił się zdobyczą z kierownictwem. Byłoby nierozsądne oczekiwać od ludzi pracujących w areszcie, że będą na ogół zachowywali się inaczej niż ci, którzy są zatrudnieni gdzie indziej.

— Wsadź go do piątki i nie odwracaj się do niego tyłem — powiedział Welch. — Czy Greve dalej siedzi w dwunastce?

— Wiesz, że tak — odparł Mort, skinąwszy głową.

— Dobra, więc wsadź go do piątki. Evers może wziąć od niego odciski później. Wygląda na to, że jest mordercą i pewnie będzie twoim gościem dłuższy czas. Nie mogę ci podać jego nazwiska, bo nie chce mówić, nawet nie powiedział, jak się nazywa. Mów mu...

— Wiem, jak on się nazywa. Goodman — oświadczył Mort i położył dłoń na kolbie rewolweru. — Wychodź, Goodman, i w prawo.

Posłuchałem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W niedzielne popołudnie, o godzinie piątej dziesięć lawisz wsadził klucz do zamka i otworzył drzwi ojej celi.

— Ktoś do ciebie — rzekł.

Nie zareagowałem entuzjastycznie. To nie mógł być Wolfe ani Lily. Przypuszczalnie Luther Dawson, Lily bowiem, kiedy chciała, potrafiła działać bardzo energicznie, ale i tak ta wizyta mogła mieć jedynie charakter kurtuazyjny. W ciągu dnia założyłem się sam ze sobą, że w sierpniową niedzielę nie znajdą żadnego sędziego, który by mnie zwolnił za kaucję. Mógł to być również szeryf Haight, lecz to też żadna przyjemność. Pewnie zwyczajnie będzie chciał nakłonić mnie do zeznań, ja zaś zwyczajnie będę wymyślać jakieś błyskotliwe uwagi o zachowywaniu milczenia. Dałem więc sobie spokój ze zgadywaniem, kiedy ruszyłem ku drzwiom, do których miałem dwa i pół kroku.

Zobaczyłem Eda Welcha i uniosłem jedną brew, gdy spostrzegłem, że trzyma kajdanki. To musiało oznaczać wycieczkę, ale dokąd? Zakuł mnie, kiwnął głową w prawo i powiedział:

— Przejdziemy się.

Ruszyłem więc korytarzem. Mijając drzwi z numerem dwunastym, miałem nadzieję, że Harvey mnie zobaczy, bo przecież ja nie mogłem się zatrzymać i wytłumaczyć mu, jak się tu dostałem. Na końcu korytarza Welch otworzył kluczem potężne drzwi z żelaznych prętów, a później następne po drugiej stronie kwadratowej sali. Znaleźliśmy się w bocznym korytarzu budynku sądu, a zatem celem był gabinet szeryfa i prawdopodobnie sam szeryf, lecz okazało się, że nie. Już myślałem, że pomyliłem się co do sędziów, ale kiedy po schodach weszliśmy na górę, Welch poprowadził mnie w prawo w stronę drzwi, z których już niegdyś korzystałem. Były otwarte. Zbliżając się do nich zobaczyłem, że w progu pojawił się człowiek, którego nazwisko na nich widniało: prokurator okręgowy Thomas R. Jessup. Jeszcze pozostały nam do niego jakieś cztery kroki, gdy się odezwał:

— Po co te kajdanki, Welch?

— A dlaczego nie?

— Zdejmijcie je.

— Jeżeli to rozkaz... na pańską odpowiedzialność. Stawiał opór podczas aresztowania.

— To rozkaz. Zdejmijcie je i zabierzcie ze sobą. Zadzwońię po was, gdy...

— Nigdzie nie pójde. Mam rozkaz nie odstępować go ani na chwilę.

Jessup wyszedł na korytarz.

— Zdejmijcie te kajdanki albo dajcie mi klucz. Chyba nie wiecie, gdzie kończy się prawo, ale szeryf Haight wie, i ja też. Nie wejdziecie do mojego biura. Zadzwońię po was, żebyście po niego przyszli. Dajcie klucz.

Welch musiał teraz trochę pomyśleć. Zaledwie po kilku sekundach doszedł do wniosku, że potrzebuje pomocy, lecz najbliższa pomoc znajdowała się na dole. Wyjął z kieszeni klucze, zdjął z kółka jeden z nich, podał go Jessupowi i odmaszerował. Zrobił to bardzo sprawnie. Lepszy od niego, nie wyłączając mnie, miewali kłopoty ze zdejmowaniem klucza z kółka, a jemu pod naciskiem prokuratora poszło to gładko i szybko.

Jessup gestem zaprosił mnie do środka, wszedł za mną i zamknął drzwi. Od szyi w dół wyglądał w przybliżeniu jak zwykle: szczupły i wymuskany, ale oczy miał czerwone, powieki zapuchnięte i był nie ogolony. W pokoju stało biurko i stolik, lecz nikt przy nich nie siedział. Również nikogo nie zobaczyłem w drugim pokoju, do którego mnie wprowadził. Jessup przyjrzał mi się w świetle padającym z trzech okien.

— Nie widzę żadnych śladów — stwierdził.

— Bo nigdzie ich nie ma — powiedziałem. — No, może poza ramieniem, w które kopnął mnie Welch. Mój opór podczas aresztowania polegał na tym, że zrobiłem unik, kiedy on chciał mnie uderzyć z pełnego zamachu.

Wyciągnąłem ręce, z których Jessup zdjął mi kajdanki.

— Dużo im pan powiedział? — spytał.

— W ogóle nic poza tym, że wyjaśniłem Welchowi, co znaczy zwrot „trwać w milczeniu” i że chciałem zadzwonić do prawnika, który nazywa się Jessup. To było dziś rano około trzeciej. Od tego czasu nie miałem z kim rozmawiać.

— A Haight?

— Nie widziałem ani śladu Haighta.

— Cóż, teraz będzie pan mógł trochę sobie porozmawiać, ale najpierw... — wskazał leżące na krześle tekturowe pudło, obwiązane sznurkiem. — To od pani Rowan. Przekąska, jak to określiła. Woli pan najpierw porozmawiać czy najpierw zjeść?

Powiedziałem, że chciałem raczej odbyć rozmowę, a potem spokojnie zająć się jedzeniem. Jessup podszedł do fotela za biurkiem i, kiedy siadałem naprzeciwko niego, z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął jakąś kopertę.

— To wszystko panu wyjaśni — rzekł podając mi ją.

Nie była zapieczętowana i zawierała tylko jedną kartkę papieru listowego Lily z krótką informacją napisaną znanym mi charakterem:

A.G.

Długo rozmawiałem z panem Jessupem, nie ukrywając przed nim niczego w sprawie dochodzenia, które prowadzimy, a więc i Ty nic nie musisz przed nim ukrywać. Jesteśmy nieodwołalnie z nim związani, a myślę, że on stoi po naszej stronie.

N. W.

11 sierpnia 1968 r.

Złożyłem list i wsadziłem go do koperty, którą oddałem Jessupowi.

— Później chciałem otrzymać to z powrotem, na pamiątkę. Welch z pewnością mnie zrewiduje, kiedy znów dostanę się w jego łapy. No dobrze, rozmawiam sobie, lecz najpierw chciałem zadać dwa pytania. Gdzie jest Wolfe?

— U pani Rowan. Wystawiłem zaświadczenie na piśmie, że przebywa w areszcie domowym, że całkowicie za niego odpowiadam i że nie wolno go molestować bez porozumienia ze mną. Moc prawna tego dokumentu jest wątpliwa, lecz powinien wystarczyć. A drugie pytanie?

— Czym zrobiono te dziury w czaszce Sama Peacocka?

— Kamieniem nie większym od pańskiej pięści. Dostał nim cztery czy pięć razy. Kamień znaleziono około siedmiu metrów od samochodu. Doktor Hutchins wysłał go do laboratorium w Helenie, ale sam go zbadał i jest pewien, że właśnie on był narzędziem. Twierdzi, że kamień ma powierzchnię zbyt chropowatą, aby zostały na niej odciski palców. Takich kamieni jest wszędzie pełno. Jak panu wiadomo, grunt jest tu kamienisty.

— Nie słyszał pan, co ludzie o tym mówią?

— Nie. Oczywiście poza tym, że mówi się o was. Byliście tam, a pan wie, jak to jest. W swoim liście do pana Wolfe pisze, że jesteście nieodwołalnie ze mną związani i że stoję po waszej stronie. Ma rację. Ja też jestem z wami związany i tylko w Bogu całą nadzieję, żebym tego nie żałował do końca życia. Rozmawiałem z Wolfem i bardzo się cieszę, że to nie wy zabiliście Sama Peacocka, ale to niewiele pomoże. Wolfe uważa, że oba morderstwa, na Brodellu i Peacocku, są ze sobą powiązane, a przypuszczam, że pan też tak myśli.

— Oczywiście. Na któregośkolwiek z nas by pan postawił, zawsze pan wygra.

— Dlaczego?

— Już panu odpowiadam. — Rozparłem się w fotelu i założyłem nogę na nogę. Tu siedziało mi się znacznie wygodniej niż na taborecie w celi. — Naturalnie chce pan porównać to, co ja mówię, z tym, co powiedział Wolfe. Od czego mam zacząć?

— Od dnia jego przyjazdu. Dam znać, gdy powie pan więcej, niż potrzebuje.

Zacząłem opowiadać. Nie wymagało to szczególnego wysiłku, ponieważ nie zamierzałem ukryć niczego, co dotyczyło sprawy. Jedyne chwilami musiałem się zastanawiać, czy pewne detale mają z nią jakiś związek, czy nie, ale przeważnie o nich wspominałem zaznaczając, że są wątpliwe. Pomiąłem tylko rozmowy telefoniczne z Saulem Panzerem — on przecież znajdował się trzy tysiące kilometrów od jurysdykcji Jessupa. Pozostałe rozmowy streszczałem, z wyjątkiem tej, którą przeprowadził Wolfe z Samem Peacockiem w piątkowy wieczór. Ją zrelacjonowałem słowo w słowo. Jessup był dobrym słuchaczem; przerwał mi pytaniami zaledwie dwukrotnie, w ogóle nie notując. Zakończyłem dwiema moimi rozmowami: z Peggy Truett na parkiecie i z Wolfem w „muzeum”.

— Później wyszliśmy na podwórkę, a kiedy otworzyłem drzwi samochodu, zobaczyliśmy Sama. Wątpię, żeby pan chciał czy musiał wiedzieć, co się potem działo, ma to bowiem związek ze mną, lecz nie z dochodzeniem. Zaczynam chrypieć, bo zaschło mi w gardle. Obsługa na dole nie jest najlepsza. Czy ma pan gdzieś pod ręką trochę wody?

— Przepraszam pana. Bardzo przepraszam. Powinienem był... — Zerwał się z fotela. — Szkocką czy wódkę?

Odparłem, że woda by wystarczyła, ale może być z whisky, skoro on tak uważa. Wówczas podszedł do stojącej w kącie lodówki barwy miedzi i wyjął z niej, co należało. Kobieta stwierdziłaby tylko jedno uchybienie — on nie używał tacy — ja zaś nie stwierdziłem żadnego. Kiedy z powrotem usiadł w swoim fotelu, na biurku stała przede mną duża szklanka, jaką się podaje dorosłemu mężczyźnie, zawierająca dwie kostki lodu zanurzone w whisky, a obok dzbanek z wodą. Przed Jessupem również stała szklanka. Dolałem sobie wody aż do pełna, postawiłem dzbanek w zasięgu ręki Jessupa i pociągnąłem zdrowy łyk. Odchrząknąłem.

— To pomaga — rzekłem i poprawiłem następnym łykiem. — A teraz o powiązaniach między tymi dwoma morderstwami. Po pierwsze obaj z panem Wolfem oczywiście chcemy, żeby one były ze sobą powiązane, a po drugie istnieją inne powody. W piątek wieczorem u Farnhama pan Wolfe dał wszystkim jasno do zrozumienia, że koncentruje swoją uwagę na Samie Peacocku i że w żadnym wypadku jeszcze z nim nie skończył. Być może któreś z nich wiedziało, że Sam Peacock widział lub słyszał coś, o czym nie powinien dowiedzieć się pan Wolfe, ale nic musiało tak być. Wszystkie osoby od Farnhama przyszły wczoraj na wieczorek i jedna z nich mogła komuś powiedzieć, że Nero Wolfe skoncentrował się na Peacocku.

— Znowu sobie łyknąłem i odstawiłem szklankę. — Krótko mówiąc, chodzi mi o to, co pan Wolfe powiedział kiedyś pewnemu człowiekowi: „W świecie przyczyn i skutków każdy zbieg okoliczności jest podejrzany”. Wczoraj wieczorem było tam ponad dwieście osób, może nawet trzysta, i jedną z nich zamordowano. Kogo? Mężczyznę, który przez dwa dni poprzedzające zabójstwo Brodella przebywał z nim sam na sam i który miał być rozpracowywany przez fachowca. Dla mnie ten zbieg okoliczności nie jest podejrzany, moim zdaniem to nie zbieg okoliczności.

Jessup pokiwał głową.

— Wolfe też tak uważa.

— No pewnie. On rozumuje tak samo jak ja. Czy to, co obaj powiedzieliśmy, mniej więcej się zgadza?

— Nie mniej więcej. Dokładnie.

— On ma dobrą pamięć. Ten napój przypomniał mi, że jestem głodny. Kiedy na dole powąchałem niedzielny obiad, postanowiłem pościć. Pan Wolfe nigdy nie rozmawia o

sprawach zawodowych w czasie posiłków, a ja tak. — Wstałem. — Czy mogę otworzyć to pudło?

Powiedział, że oczywiście tak, więc przenieśliśmy je na biurko. Ponieważ węzeł był skomplikowany, pożyczyłem od Jessupa nóż i przeciąłem sznurek. Otworzyłem pudło i zacząłem je opróżniać. Kiedy skończyłem, na blacie biurka w równym szeregu prezentował się imponujący zestaw:

- 1 puszka ananasa
- 1 puszka węgierki
- 10 (lub więcej) dużych papierowych serwetek
- 8 tekturowych talerzy
- 1 słoik kawioru
- 1/4 litra mleka
- 8 kromek chleba pani Barnes
- 6 bananów
- 1 plastikowy pojemnik sałatki ziemniaczanej
- 4 jajka na twardo
- 2 kurze udka
- 1 kostka żółtego sera
- 1 słoik pasztetu z gęsich wątróbek
- 1 placek z jagodami
- 6 papierowych filiżanek
- 2 widelce
- 4 łyżki
- 1 otwieracz uniwersalny
- 1 solniczka.

Wyraziłem nadzieję, że on pewnie też jest głodny, a wówczas powiedział, że obiecał Lily sprowadzić mnie do swojego biura również w poniedziałek, jeśli okoliczności na to pozwolą.

— Oczywiście ludzie będą się tu kręcić i może to być trochę skomplikowane — dodał. — Pani Rowan przez całe przedpołudnie próbowała dodzwonić się do Luthera Dawsona, ale nie mogła go złapać. W weekendy jest nieuchwytny. Może zjawić się w swoim biurze dopiero jutro w południe. Pani Rowan ma jego numer domowy, lecz z Heleny do Timberburga jedzie się tutaj samochodem około trzech godzin. Jutro jednak będzie tu jakiś sędzia. Zdaje pan sobie sprawę, że moja sytuacja jest nieco... no cóż, trudna. W czasie postępowania sądowego w tym okręgu reprezentuję interesy mieszkańców Montany, a Haight będzie się upierał przy wysokiej kaucji. Może nawet się sprzeciwić zwolnieniu pana za kaucją, ale ja oczywiście pana wypuszczę. Wyjaśniłem to wszystko Wolfe'owi i pani Rowan.

Pałaszowałem jajko na twardo. Zdążyłem już otworzyć kawior i teraz otwierałem pasztet. Przełknąłem.

— Boli mnie nie to, że tu siedzę, ale to, że nie jestem tam — powiedziałem. — Po dwóch tygodniach całkowicie bezproduktywnych zabiegów mógłbym wykonać trochę detektywistycznej pracy z realną szansą znalezienia czegoś, gdyby mnie nie zamknięto. — Podsunąłem mu kilka smakołyków. — Proszę się czymś poczęstować. Wszystko do pańskiej dyspozycji.

— Dziękuję. — Sięgnął po kromkę chleba i kawior. — Co by pan robił, będąc na wolności?

— To, co powinien robić Haight, ale prawdopodobnie nie robi, a także Welch, zamiast się mną opiekować. Chce pan, żebym to opisał?

— Owszem.

Posmarowałem chleb kawiolem.

— Wszystko już sobie uporządkowałem po tylu godzinach rozmyślań. Skąd oni się wzięli za sklepem Vawtera... Peacock i ten Iks? Tam się umówili. Przed wieczorkiem? Nie. Po tym, jak Peacock zjawił się za dziesięć jedenasta. W rozmowie na parkiecie ustalili, że spotkają się na zewnątrz. Wyszli nie razem, lecz osobno.

— To tylko przypuszczenia.

— Naturalnie. Jednakże zawsze rozpoczyna się od przypuszczeń. Zakłada się prawdopodobieństwo, odkładając możliwości na potem, gdyby okazały się potrzebne. A więc na parkiecie wydarzyły się trzy rzeczy: rozmowa Peacocka z Iksem, wyjście Iksa i wyjście Peacocka. Są osoby, które musiały to widzieć. Należy je odnaleźć. I właśnie ich bym szukał, będąc na wolności. To zadanie dla przedszkolaka, ale przeważnie tak wygląda praca detektywa. Powiedziałem, że powinien to zrobić Haight, choć właściwie wcale by nie musiał, gdyby miał oczy otwarte, kiedy jest na służbie. Gdyby został tam, gdzie był, gdy piętnaście po jedenastej szedłem do Wolfe'a, to prawdopodobnie znajdowałby się w odpowiednim miejscu, a nie dziesięć kroków od drzwi, przez które tamci wyszli. Zakładam, że wyszli osobno, bo moim zdaniem Iks był oczywiście przekonany, że Peacock już nie wróci. Przypuszczalnie już wcześniej rozejrzał się po terenie za sklepem Vawtera i mógł mieć ten kamień w ręku wówczas, gdy nadszedł Peacock. To jednak są tylko szczegóły, o których człowiek myśli dla zabicia czasu, siedząc na taborecie w celi. Najważniejsze pytanie to kto rozmawiał z Peacockiem na parkiecie i kto wyszedł z sali między jedenastą piętnaście a północą?

Odkrajałem kawał pasztetu i położyłem na kromce chleba, a ponieważ skończyła mi się whisky, nalałem sobie mleka. Jessup widelcem przekładał udko na tekturowy talerz.

— Ale przecież wiele osób wychodzi, nieprawdaż — zaoponował.

— Nie powiedziałbym, że wiele. Owszem, niektórzy wychodzą, lecz przeważnie wracają, co jednak niczego nie zmienia, a tylko po prostu komplikuje sprawę. Czy mógłbym prosić o kawałek papieru i pióro lub ołówek? Cokolwiek... ten kołobrulion.

Podał mi kołobrulion i wyjęte z kieszeni pióro. Żując chleb z pasztetem i popijając mleko, które było ciepłe, zastanawiałem się, jak to sformułować, a wreszcie napisałem:

N.W.

Zgodnie z poleceniem właśnie rozmawiam z Jessupem. Cieszę się, że jesteś w areszcie domowym, bo tutaj areszt jest stary i używają zbyt dużo środków dezynfekujących, Mam dla Ciebie propozycję: poproś panią Rowan albo kogoś z farmy o odszukanie i przyrowadzenie pewnej dziewczyny, niejkiej Peggy Truett. Była znajomą Peacocka i prawdopodobnie coś wie. Może nawet widzieć, z kim miał się spotkać, kiedy wychodził. Mam nadzieję, że Haight do niej nie dotrze, zanim ona dotrze do Ciebie. Mam też nadzieję, że nie będę musiał jechać do St. Louis, skoro bowiem wzbudziłeś jego czujność, powinniśmy go szukać tutaj.

A.G.

11.8.68 r.

— Proszę to przeczytać. Im wcześniej on to dostanie, tym lepiej — powiedziałem wręczając Jessupowi kartkę.

Czytał ją dwukrotnie.

— Po co to? Dlaczego pan do niego nie zadzwoni?

Przecząco pokręciłem głową.

— Telefon może być na podsłuchu. Z tego, co mi mówiono o Haightcie i jego nastawieniu do pana, można sądzić, że nawet pański jest na podsłuchu.

— Co za fatalna sytuacja.

— Zgadzam się.

Spojrzał na kartkę.

— „Skoro bowiem wzbudziłeś jego czujność...” Wzbudził ją w jaki sposób?

— Mój Boże, przecież to jasne. Peacock mógłby zostać zabity z innego powodu, gdyby na przykład kogoś szantażował i przeciągnął strunę, ale chyba nie. Prawdopodobnie jeszcze by żył, gdyby Wolfe się do niego nie dobrał. Naturalnie dawno powinien to zrobić Haight. Albo pan.

Zignorował mój przytyk.

— Peggy Truett to ta dziewczyna, z którą pan rozmawiał, kiedy nadszedł Peacock?

— Tak jest. Nie ukrywałem niczego, co wiąże się ze sprawą. Jeżeli pan woli odszukać ją sam, to przypuszczam, że...

— Nie wolę. — Znów spojrzał na kartkę. — Nie będzie pan musiał jechać do St. Louis, bo w tej chwili leci tam niejaki Saul Panzer. — Spojrzał na zegarek. — Właściwie już powinien być na miejscu, jeżeli samolot się nie spóźnił.

— Ach tak. — Posmarowałem sobie kromkę chleba grubą warstwą kawioru. — Chyba o nim nie wspominałem, ale najwyraźniej zrobił to Wolfe. Dzwonił do niego? Kiedy?

— Dziś rano. Zawiozłem go do Woody'ego. Powiedział Panzerowi, żeby w tym, co robi w Nowym Jorku, zastąpił go... Zapomniałem jego nazwiska.

— Prawdopodobnie Orrie Cather.

— Właśnie. Kazał Panzerowi polecieć najbliższym samolotem do St. Louis i udzielił mu instrukcji. Moim zdaniem Wolfe doszedł do wniosku... nie, nie doszedł do wniosku, lecz przypuszcza, że jedna z osób przebywających u Farnhama miała wcześniej jakieś kontakty z Brodellem. Udaliśmy się tam po powrocie od Woody'ego... Wolfe, pani Rowan i ja. Spytałem, czy pozwoli, żeby pani Rowan zrobiła im zdjęcia swoim aparatem. Ja tam nie znam się na aparatach fotograficznych, ale wyglądu na to, że ona tak.

Skinałem głową.

— Wystarczająco. Czy któreś z nich miało coś przeciwko temu?

— Nie. Farnham nie był zachwycony, lecz nie odmówił. Ona robiła to całkiem fachowo. Wziąłem od niej tę błonę i oddałem do wywołania. Miałem zamiar przekazać odbitki pani Rowan dziś wieczorem, ale pojedę tam teraz z pańskim listem do Wolfe'a. Albo zaczekam, aż odbitki będą gotowe. Bardzo mi smakują przekąski pani Rowan. Ona chyba zdaje sobie sprawę, że nie samym chlebem człowiek żyje. Jutro wczesnym rankiem wyjeżdża do Heleny, by wysłać te odbitki Panzerowi pocztą lotniczą i zabrać Luthera Dawsona. Ona nie jest... Pamięta pan, że przy naszym poprzednim spotkaniu kazała mi się wynosić.

— Zaproponowała tylko, żeby pan wsiadł do samochodu. Ten ser jest doskonały. Proszę spróbować.

— Ale gdybym tego nie zrobił, pan by mnie tam zaciągnął. Zapomnijmy jednak o tym drobnym epizodzie. Chciałbym również panu wyznać to, co jej wyznałem. Proszę jedynie, żeby pan nikomu tego nie powtarzał. Myślę, że się zląkłem. Już dawno powinienem zdać sobie sprawę, że konflikt między Haightem a mną może zakończyć jedynie kompromitacja, polityczna kompromitacja jednego z nas, i że należało skorzystać z okazji, jaką stwarzało jego nieudolne śledztwo w sprawie morderstwa Philipa Brodella. Powiedziałem, że jestem związany z panem i Wolfem, i bardzo się z tego cieszę. Jeśli przegramy, będę skończony, ale myślę, że wygramy.

Wziąłem sobie kawałek sera.

— Czy mówił pan to Wolfe'owi?

— Nie. Powiedziałem tylko pani Rowan. Jego sposób bycia... on do tego raczej nie zachęca.

— Wiem. Troszeczkę go znam. Ładnie pan to ujął, że on nie zachęca. Proszę powiedzieć pani Rowan i jemu, że skoro tak dobrze sobie radzą beze mnie, to niech się nie martwią o kaucję. W ten sposób oszczędzą wydatków, a poza tym nie lubię Dawsona. Haight prawdopodobnie mnie zwolni, kiedy oni dostarczą mu tego Iksa. Czy w pańskiej lodówce znajdzie się trochę miejsca na to, co zostało?

— Z pewnością. Jednakże przez cały dzień będą tu ludzie.

— Zaczekamy, aż sobie pójdą. Ja i tak prawdopodobnie do tego czasu nie będę głodny. Ta zdezynfekowana cęła odbiera człowiekowi apetyt. — Chwyciłem otwieracz do puszek. — Śliwki czy ananas?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nigdy nie dochodziłem, co się stało z resztą owej przekąski, więc w dalszym ciągu tego nie wiem.

Jeżeli kiedykolwiek znajdziecie się w areszcie, spróbujcie robić to, co ja. Rzeczą odbywa się dwustopniowo. Najpierw trzeba ustalić, czy nie udałoby się wykorzystać swojego umysłu do jakichś pożytecznych i praktycznych celów. Jeżeli tak, w porządku, należy go używać. Jeśli zaś nie, robimy następny krok, który polega na tym, że w sposób zdecydowany staramy się umysł wyłączyć niczym ludzkie, którzy chcą zasnąć, a nie mogą, choć ja nie wiem, jak to działa, bo osobiście nigdy nie mam takich problemów. Zamknięci w celi dwa na trzy metry, będziecie zaskoczeni powolnym upływem czasu. Jeżeli choć trochę jesteście do mnie podobni, stwierdzicie dziwne zachowanie swojego umysłu, który wyczynia tysiące różnych rzeczy, nawet to, o co nigdy byście go nie posądzali. Na przykład w poniedziałek po południu postanowiłem znów spróbować zrobić coś dla zabicia czasu, zamknąłem więc oczy, by wyobrazić sobie, że oglądam damskie kolana, a już wiele godzin temu nauczyłem się jednego: nic z tego nie wychodzi, dopóki człowiek sobie nie wmówi, że słyszy, widzi i dotyka rzeczy, których w celi nie ma. Obejrzałem sobie zatem kilkadziesiąt albo kilkaset damskich kolan o różnych kształtach i rozmaitej wielkości i wszystko świetnie mi szło, gdy nagle włączył się mój umysł. Zacząłem się zastanawiać, czy ktoś w tej chwili patrzy na kolana Peggy Truett, a jeżeli tak, to kto: Nero Wolfe czy szeryf Haight... i o czym teraz rozmawiają...

Szlag by to trafił! Wstałem, i ze złością kopnąłem taboret, aż poleciał pod przeciwległą ścianę na odległość około dwóch metrów. Podeszedłem do niewielkiego okienka i chwyciłem pokryte rdzą kraty. Znałem je na pamięć. Nie zamierzam opisywać jedzenia, jakie tam dostawałem, bobyście sobie pomyśleli, że jestem uprzedzony. Żywię jednak głębokie przekonanie, że do owsianki i gulaszu dodawali środków dezynfekujących.

Kiedy za dwadzieścia szóstą leżałem bez butów na pryczy zastanawiając się, czy w biurze Jessupa już nikogo nie ma, pod drzwiami mojej celi zatrzymały się jakieś kroki. Przyznaję, że wówczas chodziło mi o to, co zostało z przekąski, ale bardziej byłem głodny wiadomości. Nie zwróciłem uwagi na to, że te kroki się zatrzymały, często bowiem strażnik zaglądał do celi, żeby sprawdzić, czy nie przecinam krat albo nie robię bomby, podniosłem się jednak, usłyszawszy zgrzyt klucza w zamku. Spuściłem nogi z pryczy i usiadłem. Drzwi się otworzyły, ktoś wszedł i powiedział:

— Idziemy na spacer. Ubrać się i włożyć buty.

To był Evers, zastępca szeryfa na pełnym etacie. Stał przyglądając się, jak wkładam buty i marynarkę. Kiedy mi powiedział, bym wszystko ze sobą wziął, a później się pochylił, zaglądając pod pryczę, wówczas zrozumiałem, że nie idę na górę, lecz wychodzę i już tu nie wrócę. Nie miał ze sobą kajdanek, a po wyjściu z celi, kiedy szliśmy korytarzem, nie zwracał uwagi, czy jestem przed nim, czy za nim. Otworzył drzwi prowadzące do biura szeryfa i kciukiem wskazał mi drogę. W pokoju nikogo nie było. Otworzył furtkę w barierce, kiwnął głową i mruknął:

— Dalej.

Wszedłem do drugiego pokoju, Evers za mną. Haight siedział przy biurku zajęty jakimiś papierami. Wybitny adwokat, Luther Dawson, który swoim wyglądem bardziej przypominał farmera, stał tyłem do Haighta, wpatrzony w dużą ścienną mapę Montany. Na mój widok wyciągnął rękę i serdecznie się ze mną przywitał.

— No, witam, witam! — powiedział, mocno ściskając mi dłoń. — Przybywam panu z odsieczą. Załatwiłem wszystkie podpisy i pieczęcie.

— Doskonale. Następnym razem wybiorę sobie lepszy dzień niż sobotę. — Wskazałem kupkę przedmiotów leżących na stole. — To chyba moje.

Podszedłem, by odebrać swoją własność. Nie brakowało niczego, łącznie z portfelikiem na wizytówki, który trzymam w wewnętrznej kieszeni marynarki, i portfelem, który noszę w kieszeni spodni. Kiedy podniosłem ostatni przedmiot, kluczyk od stacyjki samochodu Lily, Evers powiedział:

— Proszę to podpisać.

Położył na stole jakąś kartkę papieru i podał mi pióro.

— Pozwoli pan, że zobaczę — odezwał się Dawson, wyciągając po nią rękę.

— Bez względu na to, co tam jest napisane, ja tego nie podpiszę — stwierdziłem. — Nic nie podpiszę.

— Czy otrzymał pan pokwitowanie na te wszystkie rzeczy? — spytał Dawson. — Pokwitowanie z ich wyszczególnieniem?

— Nie, a gdyby nawet, to i tak nic nie podpiszę.

Ruszyłem do wyjścia. Na Haighta nawet nie spojrzałem, ale mam szerokie pole widzenia i kątem oka zauważyłem, że był zbyt zajęty papierami, aby podnieść wzrok. Tym razem prawdopodobnie czuł się Wyattem Earpem. Usłyszałem za sobą kroki, przypuszczalnie Dawsona, i właśnie on dogonił mnie w korytarzu.

— Pani Rowan czeka w samochodzie. Chciałem panu coś powiedzieć, proszę pana.

Zatrzymałem się i spojrzałem na niego. Nasze oczy były dokładnie na tym samym poziomie.

— Nie mnie — odparłem. — Dziesięć dni temu, w piątek, drugiego sierpnia, mówiłem panu, że moim zdaniem niejaki Sam Peacock może coś wie, ale mnie nie chce nic powiedzieć, lecz pewnie takiemu słynnemu adwokatowi z Montany jak pan uda się nakłonić go do mówienia. Wtedy pan powiedział, że jest zajęty ważniejszymi sprawami. Teraz nikt już...

— Ja tego nie mówiłem. Powiedziałem tylko...

— Wiem, co pan powiedział. Teraz nikt już nie nakłoni go do mówienia, i to nie Harvey Greve go zabił. Mamy więc następną ważną sprawę. Rozmawiał pan z Nero Wolfem?

— Nie. Nie chce mnie widzieć. Zamierzam...

— Guzik mnie obchodzi, co pan zamierza, ale jeśli pan gdzieś sobie zapisał moje nazwisko, to proszę je wykreślić. Tam musiałem podać panu rękę, bo mieliśmy świadków.

Odszedłem. Jak sądziłem, w ten sposób dałem mu jasno do zrozumienia, że chcę w samotności cieszyć się wolnością, i rzeczywiście zrozumiał. Idąc dalej korytarzem, już nie słyszałem za sobą kroków. W hallu było kilka osób.

— To ten Arenie Goodwin — powiedział ktoś.

Nie zatrzymałem się jednak, by przyjąć pokłony. Wyszedłem na chodnik, spojrzałem w lewo i w prawo, lecz Lily nie zauważyłem. Spostrzegłem ją dopiero przy drugiej próbie — siedziała w niebieskim Dodge'u, zaparkowanym parę domów dalej. Patrzyła w przeciwnym kierunku i nim zdążyła mnie zobaczyć, usłyszała mój głos, otworzyłem bowiem drzwi i powiedziałem:

— Nie wyglądasz na starszą o jeden dzień, a co dopiero o dwa.

Spojrzała na mnie z ukosa.

— Ty tak.

— Postarałem się o dwa lata. Mamy jakieś sprawy do załatwienia?

— Nie. Wsiadaj.

Lily siedziała z przodu, ale nie za kierownicą.

— Lepiej przesiądź się do tyłu — zaproponowałem. — I otwórz oba okna. Ja po prostu śmierzę. Wątpić, czy to wytrzymaś.

— Będę oddychała ustami. Jedźmy.

Obszedłem samochód, wsiadłem z drugiej strony, włączyłem silnik, tyłem zjechałem na jezdnię i ruszyłem na wschód. Spytałem, czy to wynajęty samochód. Potwierdziła i dodała, że

jej wóz jest u szeryfa, ale nie mu ochoty go odbierać. Nie chciała mieć samochodu, w którym zabito człowieka.

— Nie mogłem zapytać Dawsona, ile za mnie zażądano, bo go objeżdżałem. A więc ile jestem wart?

— Czy to ważne?

— Dla mnie tak. Do kroniki. Dotychczas najniższe notowanie wynosiło pięć stów, a najwyższe trzydzieści patoli. Ile jestem wart dla mieszkańców stanu Montana?

— Dziesięć tysięcy dolarów. Dawson powiedział pięć tysięcy, Jessup piętnaście, a sędzia to zsumował i podzielił przez dwa. Mnie nie pytali.

— A ile byś dała?

— Pięćdziesiąt milionów.

— To się nazywa rozmowa — stwierdziłem i poklepałem Lily po kolanie.

Byliśmy już poza miastem. Przez jakieś dwa kilometry bawiłem się pedałem gazu, by sprawdzić silnik. Okazał się dobry.

— Nie będziesz zadawał mi pytań?

— Będę, nawet mnóstwo, ale nie na wybojach. Niedaleko jest odpowiednie miejsce.

Znajdowało się ono tuż za kanałem, gdzie droga skręca na północ, a z lewej strony rosną sosny. Zwolniłem i zjechałem na pobocze w cień drzew, które osłaniały nas przed skośnie padającymi promieniami słońca. Zgasilem silnik i odwróciłem się do Lily.

— Przez dwa dni i jedną noc pragnąłem, żebym mógł zadać ludziom pewne pytania, i dopiero teraz nadarza się okazja, a więc zacznę od ciebie. Kiedy w sobotę wieczorem wychodziłem z sali około kwadransa po jedenastej, wkrótce po przyjeździe Sama Peacocka, ty tańczyłaś z Woodym, Farnham z panią Amory, DuBois z kobietą w czarnej sukience, a Wade z dziewczyną, którą wcześniej widziałem, lecz nie potrafię powiedzieć, jak się nazywa. Czy ty w ogóle widziałas Peacocka?

— Tylko dwa razy z daleka. Potem rozglądałam się za nim, ale go nie widziałam, ciebie zresztą też. Sądziłam, że zaprowadziłeś go do Nero Wolfe'a.

— Nie zaprowadziłem. Postanowiliśmy z tego zrezygnować z powodu obecności Haighta i Welcha. Czy po tańcu z Woodym widziałas, żeby Peacock rozmawiał z jakąś znaną ci osobą? To ważne.

— Nie. — Zmarszczyła brwi. — Widziałam go tylko z daleka i... Nie.

— Czy widziałas, by ktokolwiek ze znanych ci ludzi wychodził z sali do „galerii”

— Jeśli widziałam, to nie zwróciłam na to uwagi. Nie.

— Jak powiedziałem, to ważne, a nawet rozstrzygające. Wiesz, że ludzie często coś widzą i nie zdają sobie z tego sprawy. Gdybyś spokojnie gdzieś usiadła, najlepiej się położyła, zamknęła oczy i postarała tworzyć to, co wówczas widziałas i robiłaś, począwszy tańca z Woodym, może byś sobie coś przypomniała. Spróbujesz?

— Wątpię... ale naturalnie spróbuję.

— Dobra. Teraz przejdę do rzeczy, z których zdajesz sobie sprawę, lecz najpierw kilka słów uznania w kwestiach kulinarnych. Ani ty, ani ja nie lubimy, jak się nam dziękuje za to, co jest oczywiste, lecz wszystko ma swoje granice. Sześć bananów! Cały placek! Najlepszy kawior i najlepszy pasztet! Nazywanie tego przekąską to wyjątkowo fałszywa skromność, ale uratowałaś mi życie.

— Idź do diabła, rybeńko. Sama cię w to wciągnęłam.

— Nie ty, lecz Iks, i będzie tego żałował. No, a teraz, gdzie jest Wolfe?

— Myślę, że u Woody'ego. Zatrzymamy się tam. Wczoraj i dziś spędził więcej czasu u niego i na farmie niż w domu.

— Dlaczego na farmie?

— Bo tam jest ta dziewczyna, Peggy Truett. Carol przywiozła ją wczoraj wieczorem z Timberburga, gdzie mieszka, i przyprowadziła ją do nas. Akurat był Jessup i obaj wypytywali

ją przez ponad dwie godziny. U ciebie. Około jedenastej Jessup przyszedł do dużego pokoju, zadzwonił do Carol i powiedział jej, że zaraz przyjadą do niej z Peggy Truett. Pojechali samochodem Jessupa. Po północy odwiózł Wolfe'a. Nie powiedzieli mi ani słowa, a dziś rano wyjechałam do Heleny przed siódmą. Tym samochodem. Jakies dwie godziny temu zadzwoniłam do Carol, która mi powiedziała, że Wolfe rozmawiał z Peggy Truett prawie cały dzień i że jeszcze tam jest. Pytał Carol, czy by go nie zawiozła do Woody'ego około piątej. Myślę więc, że jest u Woody'ego, chociaż może jeszcze być na farmie. Ty znasz go lepiej niż ja. Peggy Truett chyba jest w jego typie.

— On nie ma żadnych typów. To filtrowanie.

— A cóż to takiego?

— To samo, o co cię prosiłem w sprawie sobotniego wieczoru, tylko że Wolfe załatwia to pytaniami. Proces ten przypomina filtrowanie kawy, ale ma inny cel. W wypadku kawy chodzi o to, co przejdzie przez filtr, w wypadku Peggy zaś o to, co na nim zostanie. W takim razie nie wiesz, czy Haight widział się z Wolfem, czy nie.

— Nie. Czy to ważne?

— Prawdopodobnie nie. Byłoby ważne tylko wówczas, gdyby rozmawiali o czymś, czego ja nie wiem. Co mi jeszcze pozostało? Aha. Jessup wspomniał, że poszłaś do Farnhama robić zdjęcia i że jedynie Farnham nie był tym zachwycony, ale oczywiście nie odmówił. Czy ktoś inny miał coś przeciwko temu, lecz tego nie powiedział? Jak sądzę, zdawałaś sobie sprawę, że mnie zastępujesz.

— Naturalnie. Ty jednak pewnie byś zauważył to, co mnie umknęło. Jessup oficjalnie ich poprosił, ale wyjaśnił, że to tylko prośba i jeśli ktoś nie ma na to ochoty, może odmówić bez podawania powodów. Bardzo sprytne posunięcie. Ty i ten geniusz macie na niego dobry wpływ i jeszcze będą z niego ludzie. Tak sobie tutaj siedzę i wydaje mi się, jakbym coś czuła... hm... jakąś egzotyczną woń. Czy to wywietrzeje?

— Nie, już się utrwaliło. Od dziś będziemy się spotykali wyłącznie na dworze i to w czasie silnego wiatru. Wysłałaś odbitki Saulowi?

— Wysłałam. Musiałam wstać i ubrać się przed szóstą, żeby zdążyły na samolot, który odlatuje o dziesiątej. Saul już powinien je mieć. Sądzisz, że to któreś z nich, prawda?

— Nic nie sądzę. Nie mam prawa nic sądzić, póki trochę nie popracuję. — Włączywszy silnik, ustawiłem nawiew powietrza na maksimum. — I póki się nie wykapię.

Podskakując, z powrotem wjechałem na asfalt.

Do siódmej pozostało dziesięć minut, kiedy zatrzymaliśmy się przed domem kultury. Wsiadłem, ruszyłem ku ażurowym drzwiom i wszedłem. W „galerii” nie było nikogo, ale zauważyłem, że wejście do kuchni na zapleczu jest otwarte, więc tam zajrzałem. Woody siedział przy stole na taborecie i coś mieszał w misce, a obok stał Wolfe i się przyglądał. Obecność Wolfe'a sprawiła, że kuchnia wydawała się jeszcze mniejsza.

— Zdażyłem — powiedziałem wchodząc.

Wolfe popatrzył na mnie i zrobił krok w moją stronę, by się lepiej przyjrzeć.

— Cieszę się — mruknął.

Trochę mnie to zirytowało.

— Co cię tak cholernie ucieszyło? — spytałem.

— Że tu jesteś, że jesteś cały i że nie straciłeś języka. Masz rację, zdażyłeś. Na ulubioną potrawę pana Stepaniana, *hunklav beyandi*. On twierdzi, że wymyślili ją Ormianie, ale Turcy od wieków roszczą sobie do tego prawo. To kebab podawany z oberżyną nadziewaną farszem, który Turcy nazywają *imam baldi*, „omdlewający imam”. Nadzienie przyrządza się z cebuli przyrumienionej na oliwie, pomidorów, czosnku, soli i pieprzu. Czy ten areszt był paskudny?

— Owszem.

— Jesteś głodny?

Zrozumiałem, że nie chciał składać mi relacji w obecności Woody'ego, a widocznie nic nie było tak pilne, żeby nie mogło poczekać, aż on spróbuje *hunklav beyandi*,

— Oczywiście, że jestem głodny, lecz muszę się wyszorować, a pani Rowan dzwoniła do Mimi, żeby wyjęła kilka befsztyków. Myślała, że ty również możesz być głodny.

— Panowie mi wybaczą, że się wtrącam — powiedział Woody — ale u mnie też jest łazienka z prysznicem i mnóstwo gorącej wody, byłby więc to dla mnie zaszczyt. Dobrze wiesz, Archie, że miło mi cię widzieć. Cieszę się, jak powiada pan Wolfe.

— Mnie także miło cię widzieć, Woody — rzekłem, a później zwróciłem się do Wolfe'a: — A więc potem wrócę. Wystarczy koło dziewiątej?

Spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Zupełnie jak w domu.

— Czekam na telefony i sam muszę jeszcze zadzwonić. Powiedzmy, między dziewiątą a dziesiątą. Albo może pan Stepanian mnie odwiezie, a był tak miły, że mi to zaoferował. Proponuję, żebyś się wykapał, najadł i poszedł spać.

— Co za wspaniały pomysł — odparłem. — Ach, jak dobrze się stało, że się tu zatrzymałem, bo sam nigdy bym na to nie wpadł. A więc, do jutra. Dobranoc, Woody.

Odwrociłem się i wyszedłem.

— On nie jedzie? — spytała Lily, kiedy otworzyłem drzwi samochodu.

Wstrzymałem się z odpowiedzią, dopóki nie ruszyliśmy.

— Pewnego dnia — oświadczyłem — przyrumienię go na oliwie i przyprawię czosnkiem. Czeka na telefony. Zaproponował mi, żebym się wykapał, najadł i poszedł spać. Albo więc zaczął już działać i uważa, że moja pomoc nie jest mu potrzebna, albo pichci jedną z tych swoich idiotycznych szarad, a wie, jak ja tego nie lubię. Słuchaj mnie uważnie. Widzisz, w jakim jestem nastroju, i nie szykuj żadnych szarad. Mocząc się w wannie pełnej wody o odpowiedniej temperaturze, już nie będę robił dokładnych planów na jutro... będę się zastanawiał, w cośmy u licha wdepnęli. Od tej chwili nie zwracaj na mnie uwagi. Udawaj, że mnie nie ma. Gdyby w twoim domu był jakiś pies i koniecznie chciałby się ze mną przywitać, to bym go skopał.

Nic nie mówiła przez jakieś półtora kilometra, a wreszcie się odezwała.

— Mogłabym pożyczyć psa od Billa Farnhama.

— Świetnie. Pożycz.

Kiedy skręcaliśmy w aleję, znów się odezwała.

— Ale jeść będziesz.

— Masz rację, do cholery. Umieram z głodu.

W ciągu dnia w domu Lily nikt nie zawracał sobie głowy kluczykiem od stacyjki, lecz od osoby, która ostatnia korzystała z samochodu po południu lub wieczorem, oczekiwano, że odłoży go w pewne miejsce na półce w dużym pokoju. Zabrałem więc kluczyk, by pokazać Lily i wszystkim zainteresowanym, to znaczy sobie, że na dziś koniec z jazdą. Gdyby Woody nic dotrzymał obietnicy, niech Wolfe wraca na piechotę.

Jadłem. Czyściutki jak oskrobany pstrąg, ogolony, z głową umytą szamponem i zębami oczyszczonymi szczotką, ubrany w elegancki przepasany szlafrok z szarego jedwabiu w czarne kropki i białą piżamę bez kropek, siedziałem w kuchni z Lily, jedząc żółtą zupę, dwa befsztyki, podsmażane ziemniaki, chleb z masłem, szpinak z grzybami i maderą oraz melona i pijąc mleko, a na końcu kawę. Dwukrotnie wchodziła Diana i oferowała nam swoją pomoc, ale z podziękowaniem odpowiadaliśmy, że niczego nie potrzebujemy, lecz za trzecim razem, gdy Mimi akurat nalewała kawę, zapytała, czy też może się napić, i wówczas powiedzieliśmy, że nie mamy nic przeciwko temu. Usiadła i oświadczyła, że oboje z Wadem umierają z ciekawości, bo chcieliby się dowiedzieć, jak mi było w areszcie, zawołała więc Wade'a, który natychmiast przyszedł.

Opowiedziałem im o areszcie, przedstawiając go jako cholernie ponure miejsce. Dla ubarwienia relacji dodałem kilka pluskiew, które widocznie przyciągnął środek

dezynfekujący, oraz parę jaszczurek. Później pytali mnie, jak znaleźliśmy ciało Sama Peacocka, a wreszcie padło najważniejsze pytanie: kto go zabił i dlaczego? W tej kwestii powiedziałem oczywiście, że ich domysły są równie dobre jak moje, a nawet lepsze, ponieważ ja byłem w ciupie, i zaproponowałem partyjkę bezika. Stwierdziłem, że gra w karty z przyjaciółmi pozwoli mi na chwilę zapomnieć o tych straszliwych przejściach. Nie mówiłem, że bardzo bym się ucieszył, gdyby wrócił Wolfe i zobaczył, jak świetnie się bawię, nie dbając o tak banalne sprawy jak morderstwa, ale przyszło mi to do głowy. Lily naturalnie wszystkiego się domyśliła, kiedyśmy bowiem wstali, by przejść do dużego pokoju, uniosła kącik ust w wyrozumiałym uśmiechu, który oznacza to, co każda kobieta mówi każdemu mężczyźnie: Ach, jak dobrze cię znam.

Wolfe jednak nie sprawił mi tej przyjemności. Tuż po jedenastej usłyszeliśmy zatrzymujący się pojazd, trzaśnięcie drzwi, odjazd samochodu, ciche kroki, otwieranie i zamykanie drzwi frontowych, a wreszcie kroki w długim korytarzu, które w końcu ucichły. Widział nas przez okno, ale poszedł do siebie.

— Wielki Nero — powiedział Wade. — Nie zgrywam się, Archie, a jeśli tak, to nie z jego talentów, tylko manier. Jeśli nie chce nam nic mówić o tym wszystkim, to jego sprawa, ale mógłby przynajmniej zadać sobie trochę trudu i życzyć dobrej nocy gospodyni. I tobie. Czy on w ogóle wie, że wyszedłeś z aresztu?

Skinąłem głową.

— No pewnie. Wracając z Lily, wpadłem do Woody'ego i on tam był. Przyglądał się, jak Woody gotuje potrawę, którą Turcy ukradli Ormianom. Rozdawaj, Diano. — Zdobyłem zaledwie kilka punktów. — Jeżeli dasz mi przyzwoite karty, to coś zainkasujemy.

Dała i zainkasowała, choć omal wszystkiego nie popsułem głupim wistem.

Moja decyzja, by iść do Wolfe'a i życzyć mu dobrej nocy, nie świadczyła, że się łamię. Jak powiedziałem Lily, kiedy Diana i Wade udali się do swoich pokojów, być może Wolfe miał powody do odegrania tej scenki Woody'ego, a taki tolerancyjny człowiek jak ja powinien dać mu szansę, by to potwierdził. Ruszyłem więc długim korytarzem, cicho stąpając w miękkich irchowych kapciach, zapukałem w ostatnie drzwi, a kiedy usłyszałem stłumione „Proszę”, wszedłem. Wolfe, ubrany w swoją żółtą pizamę, siedział boso w fotem przy zamkniętym oknie.

— Pewnie będę spał aż do południa — powiedziałem. — Dobranoc.

— Fuj. Usiądź.

— Muszę przecież odpocząć po...

— Cholera, siadaj! Podeszedłem do fotela i usiadłem.

— Jak sądzę, pani Rowan powiedziała ci, że pani Greve sprowadziła tę dziewczynę.

— Tak. A poza tym, że zrobiła zdjęcia i wysłała je Saulowi, który jest w St. Louis, oraz że ty i Jessup praktycznie bez przerwy obrabialiście Peggy Truett. Żałuję, że mnie to ominęło.

— Ja też. Należałoby ustalić, że ty przeprowadzasz wszystkie wywiady z kobietami. Wiesz zatem, że dziewczyna jest na farmie. Wczoraj wieczorem pan Jessup ją aresztował, nazywając to eufemistycznie „zatrzymaniem ochronnym”. Chroni się ją przed szeryfem Haightem, a strażnikami są panie Greve. Ta dziewczyna była i jest ważnym ogniwem. Warto zauważyć, że chociaż przebywałeś w areszcie, to jednak dostarczyłeś nazwisko, które pozwoliło przygotować rozwiązanie.

— Naprawdę?

— Tak.

— Wszystko przygotowane?

— Tak.

— Udało się?

— Tak. Sprawę załatwił ostatni telefon od Saula, przed godziną. Dzwoniłem do pana Jessupa, żeby mu to powiedzieć. Jutro o dziewiątej rano w Helenie wyląduje pewna osoba,

która przyjedzie do Timberburga. Właściwie nie powinienem ci tego mówić. Tymczasem okoliczności nie pozwalają mi powiedzieć ci nic więcej.

Otworzyłem usta, lecz zaraz je zamknąłem. Zmierzyłem go wzrokiem od wysokiego i szerokiego czoła, przez morze żółci, aż po boscie stopy, a później z powrotem.

— Jeśli to ma być jeden z tych twoich popisowych fajerwerków — powiedziałem — o długim i splątanym lonicie i jeżeli on ci wybuchnie przed nosem, to nie stracisz klienta czy honorarium, ale stracisz mnie, a po tym, co przeszedłeś przez ostatnie pięć dni, będzie to dla ciebie wstyd.

— Nie będzie żadnego wstydu. — Przecząco pokręcił głową. — Nic z tych rzeczy, Archie. Sam zobaczysz, lecz musisz z tym poczekać. Chciałbym się ciebie poradzić w sprawie jednego szczegółu. W tym drugim samochodzie zauważyłem kluczyk, który trzeba przekręcić, żeby go uruchomić, tak samo jak w samochodach, które ty prowadzisz, ale tego kluczyka na noc nie zostawiano w samochodzie. Czy podobny kluczyk jest w samochodzie używanym teraz przez panią Rowan?

Naturalnie podejrzewałem go, że zmienił temat, by mnie wywieść w pole, zdobyłem się jednak tylko na potwierdzenie.

— Tak — powiedziałem.

— I bez niego nie można uruchomić samochodu?

— Można, ale trzeba mieć parę narzędzi i wiedzieć jak. Ja mógłbym to zrobić, ty nie.

— Ja bym tego nie zrobił nawet kluczykiem i z pewnością nie będę próbował. Czy kluczyk do samochodu pani Rowan w tej chwili jest na półce?

— Powinien być. Tam go położyłem.

— Wstań rano, przed śniadaniem, i wsadź go do swojej kieszeni. Mógłbym to zrobić sam, czułbym się jednak niezręcznie, gdyby pani Rowan pragnęła skorzystać z samochodu. Właśnie o ten szczegół mi chodziło. Już późno. Dobranoc.

Nie było absolutnie żadnego sensu tracić energię na pytania czy komentarze, a poza tym odczuwałem potworne zmęczenie. Podniosłem się, mruknąłem dobranoc i wyszedłem. Nim dotarłem do swojego pokoju, uznałem, że to albo Wade Worthy, albo Diana Kadany, lecz wślizgując się po ciemku pod koldrę, już byłem zdecydowany postawić na Wade'a, nie umiałem bowiem wyobrazić sobie Diany rozbijającej kamieniem czaszkę Sama Peacocka.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

We wtorek, pięć po dziewiątej rano doszedłem do wniosku, że to ani Wade, ani Diana.

Wniosek ten miał wystarczające uzasadnienie. Jak wiecie, Wolfe'owi trudno byłoby przebywać w towarzystwie gości podejrzanych o morderstwo, a jeden z nich przestał już być tylko kandydatem, gdyż Nero wiedział, kto jest sprawcą, wobec tego nie przyszedłby na śniadanie, gdyby nawet oznaczało to, że pozostanie głodny. Tymczasem, gdy z kluczykiem od samochodu w kieszeni wszedłem do kuchni, on już tam siedział naprzeciwko Wade'a, popijając sok pomarańczowy i rozmawiając jak człowiek z człowiekiem. Mimi smarowała francuskie grzanki, Lily układała plasterki boczku na półmisku, a Diana nalewała kawę. Powiedziałem dzień dobry i usiadłem przy stole razem z Wolfem i Wadem, lecz nie miałem nastroju, żeby być duszą towarzystwa. Wprawdzie miło wiedzieć, że nie musiałem jeść śniadania w towarzystwie mordercy, ale w takim wypadku co robił ten kluczyk od samochodu w mojej kieszeni?

Odpowiedź przyszła z drugą porcją francuskich grzanek. Rozmowa toczyła się wokół aresztów, które najwyraźniej fascynowały Dianę. Opowiadając o pewnym areszcie w Austrii, z którego kiedyś udało mu się uciec, Wolfe odwrócił się do Lily i rzekł:

— *À propos* ucieczek, proszę pani. Byłoby niewdzięcznością z mojej strony, gdybym potraktował swój wyjazd stąd jako ucieczkę, lecz nie przyjechałem tu dla przyjemności i nie będę udawał, że z zalem wrócę do swojego właściwego otoczenia. Pan Goodwin i ja wkrótce wyjeżdżamy, prawdopodobnie jutro rano. Osłoda była mi tutaj pani gościnność i pobłażliwość dla moich humorów.

Lily patrzyła na niego z głupkowatą miną, choć wcale nie jest głupia. Spojrzała na mnie, bezskutecznie szukając pomocy, a potem znów na niego.

— Twierdzi pan... — Ponownie skierowała wzrok na mnie. — Ty też wyjeżdżasz, Archie?

Nie wiem, co bym powiedział przy pozostałych gościach, ale Wolfe wybawił mnie z kłopotu.

— Istnieje wprawdzie niewielka możliwość, że to, co ma się wydarzyć, zawiedzie moje oczekiwania, ale nie sądzę. Wczoraj kilkakrotnie rozmawiałem przez telefon z pewnym człowiekiem w St. Louis, niejakim Saulem Panzerem, którego tam wysłałem, i chyba nie ma żadnych wątpliwości. Pan Panzer ma zdjęcia ludzi, którzy obecnie przebywają w Montanie, a jeden z nich został zidentyfikowany przez parę osób w St. Louis. Sześć lat temu, latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku, pewna młoda kobieta zginęła gwałtowną śmiercią. Została uduszona męskim paskiem. Pasek oraz inne dowody wskazywały, że prawdopodobnie sprawcą był niejaki Carl Yaeger, ale go nie zatrzymano, ponieważ zniknął. Po prostu uciekł. Odnaleziono go dopiero teraz. Jedna z fotografii, które ma pan Panzer, przedstawia Carla Yaegera. W tej chwili pewien policjant z St. Louis jest w drodze do Montany. Właśnie... która godzina, Archie?

— Dziewiąta trzydzieści siedem.

— Wobec tego pół godziny temu wylądował w Helenie i teraz jedzie do Timberburga. — Spojrzał na Lily.

— Mam więc powody przypuszczać, że moje oczekiwania się spełnią. Nie podam państwu nazwiska sprawcy, nazwiska, pod którym go znacie, ze względu na to, że występuję tu półoficjalnie i że obiecałem panu Jessupowi tego nie robić. Mogę jednak powiedzieć o wszechstronności metod stosowanych przez Carla Yaegera, na co wskazują pewne dowody: jedną kobietę udusił, jednego mężczyznę zastrzelił, a drugiemu rozbił czaszkę kamieniem. Niewielu morderców tak umiejętnie wykorzystuje okoliczności. W tej sytuacji pan Greve zostanie wkrótce zwolniony, tak że pan Goodwin i ja przed wyjazdem prawdopodobnie zdążymy się jeszcze z nim pożegnać.

Lily spojrzała na niego, mrużąc oczy.

— A więc wy... wy naprawdę...

— Naprawdę udało się nam to rozwiązać. Tak. Mówię to pani już teraz, chciałbym bowiem, żebyśmy mogli wzajemnie wyświadczyć sobie przysługę. Potrzebuję kilku pstrągów. Wiem, że w rzece są one większe i liczniej tam występują, lecz są również w potoku, a ja wolę mniejsze. Gdyby pani zechciała poświęcić mi ten dzień wraz z panią Kadany i Mimi, to należałoby oczekiwać, że do piątej zdążą panie wrócić z potrzebną mi liczbą pstrągów, nieprawdaż?

Lily w dalszym ciągu miała zmrużone oczy.

— To zależy od celu.

— Zdobywając pstrągi, pani robi mi przysługę, moja zaś przysługa będzie polegała na tym, że przyrządzę je *à la Nero Wolfe* i zrobimy sobie ucztę przy pani stole. Nie będzie to prawdziwy *truite Montbarry*, ponieważ nie mam pod ręką stosownych ingrediencji, ale jakoś sobie poradzę. Zgoda?

Lily posłała mi spojrzenie, jakby chciała zapytać: Czy to ma coś wspólnego z tymi jego idiotycznymi szaradami, których tak nie lubisz? Natychmiast odpowiedziałem głośno:

— Oczywiście, gdybym poszedł z wami, to na pewno byśmy złowili wystarczającą liczbę, ale mogę być potrzebny tutaj. W każdym razie we trzy... każda z was musiałaby złowić tylko pięć lub sześć trzydziestocentymetrowych pstrągów.

Po raz drugi musiałem zmienić zdanie w ciągu niecałej półgodziny, ponieważ teraz stało się to całkiem jasne: miałem w kieszeni kluczyk od samochodu, bo mordercą jest Wade Wortli, a już dostał cynk. Co będzie dalej? Czy Wolfe chciał się pozbyć pań, żeby oszczędzić im widoku gościa siłą zatrzymywanego przez innego gościa? Jeżeli tak, to dlaczego nie zaczekał z podniesieniem kurtyny, aż one odejdą? Te i podobne im pytania tłoczyły mi się w głowie, kiedy Wolfe kończył piątą czy szóstą grzanek. Wade uznał, że ma już dość grzanek z boczkiem i sięgnął po kawę, ale ręka mu nie drżała, gdy podnosił filiżankę do ust. Lily, Diana i Mimi uzgodniły, że najlepiej będzie, jeśli wyjdą przed dziesiątą, na wszelki wypadek zabierając ze sobą puszkę ikry łososia. Powiedziałem, że pozmywam z Wadem, lecz nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Kiedy panie zaczęły przygotowania, panowie wyszli z kuchni. Wade ruszył do swojego pokoju, a Wolfe w stronę frontowych drzwi. Idąc za nim przez taras, pomyślałem sobie, że widocznie chce się upewnić, czy kluczyk nie został w stacyjce, Wolfe jednak minął samochód i zatrzymał się prawie na początku alei.

— Tu nas nikt nie podsłucha.

— Taa... ale też jesteśmy daleko od domu. Teraz mam poczekać, aż pani Rowan sobie pójdzie, a później pokazać mu upoważnienie i go zatrzymać. O to ci chodzi?

— Nie. Gdyby tak było, to bym cię uprzedził. Ani ty, ani ja nie mamy nic do roboty, dopóki nie przyjedzie po niego Haight z tym policjantem z St. Louis, co prawdopodobnie nastąpi około pierwszej. Policjant miał dotrzeć do Timberburga mniej więcej w południe i zgodnie z tym, co mówił Jessup, uda się do biura szeryfa. To normalna procedura. Potem Haight przywiezie go tutaj. Patrzyłem na Wolfe'a zdziwionym wzrokiem.

— A ja w tym czasie mam nie zatrzymywać Carla Yaegera *alias* Wade'a Worthy'ego?

— Tak, ty masz go nie zatrzymywać. Przypuszczam, że jego już tu nie będzie, kiedy tamci się zjawią. Nie wiem, jak i dokąd się uda. Kiedy zauważy brak kluczyka do samochodu pani Rowan, chyba przedostanie się na drugi brzeg potoku i pójdzie na farmę w nadziei, że tam zdobędzie samochód, ale pani Greve i Fox już zadbają o to, żeby mu się nie udało. Będzie musiał zatem iść pieszo albo biec do Lane Horse. Nie gap się tak na mnie. Jeśli nie podam ci szczegółów przygotowań, prawdopodobnie byłbyś gotów rzucić się za nim w pościg, więc lepiej będzie, jak ci wszystko powiem.

Powiedział.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przyjechali dziesięć po pierwszej, gdy siedziałem z Wolfem w dwóch najlepszych fotelach na tarasie, rozmawiając o zaletach charakteru i karierze Woodrowa Stepaniana.

Po odejściu pań i Wade'a zostaliśmy sami, zupełnie jak w mieszkaniu przy Trzydziestej Piątej Zachodniej. Nie widzieliśmy, jak Wade wychodził, ale zgodnie z przypuszczeniami Wolfe'a prawdopodobnie zdążył już przejść potok, by spróbować zdobyć samochód na farmie. Byliśmy bardzo zajęci. Ponieważ brakowało czasu na upranie lub oczyszczenie odzieży, którą miałem na sobie w areszcie, należało ją chociaż przewietrzyć i w tym celu porozwieszałem ją na krzakach. Następnie dokładnie przeczesałem pokój Wade'a nie w poszukiwaniu jakichś dowodów przeciwko niemu, lecz po to, by pozbierać i wynieść wszelkie materiały związane z książką, której nie napisze. Przeniosłem dwa wypełnione nimi kartony do pokoju Lily. Później sprawdziłem, czy czegoś nie brakuje w dużym pokoju, w sypialni Lily i mojej, ale był to po prostu odruch zawodowca — Wade przecież opuścił dom pieszo i w pośpiechu, nie mógł się więc zbytnio obciążać. Wreszcie zadzwoniłem do Mid-Continent Airlines w Helenie i zarezerwowałem dwa miejsca w porannym samolocie do Denver z połączeniem do Nowego Jorku. Wolfe załatwił cztery sprawy: spakował większość swoich rzeczy, przeszukał wszystkie szafki i półki w spiżarni, z wyjątkiem zamrażarek, aby znaleźć ingrediencje potrzebne mu do przyrządzenia prawdziwego pstrąga *à la Nero Wolfe*, przeczytał rozdział książki o Indianach i ugotował dla nas potrawkę z jaj na wcześniejszy obiad. Zanim przyłączyłem się do niego na tarasie, pozamykałem okna i drzwi wejściowe, te ostatnie na klucz.

Drogą nadjechał czarny Oldsmobile Haighta i zatrzymał się w samym środku łąki. Wsiadły z niego trzy osoby: Haight, Ed Welch i prawie dwumetrowy facet o kwadratowej szczęce, ubrany w niebieski garnitur, który był wymięty, jakby właściciel w nim podróżował, czego należało się spodziewać, bo przecież dopiero przyleciał z St. Louis. Przybysze jedynie popatrzyli na nas z ukosa. Nieznajomy zatrzymał się na skraju tarasu, a Haight i Welch podeszli do drzwi i nacisnęli dzwonek. Ponieważ nikt im nie otwierał, zaczęli pukać, a potem głośno walić. Haight otworzył ażurowe drzwi i nacisnął klamkę drzwi wewnętrznych, ale bez skutku. Powiedział coś Welchowi, który podszedł do drzwi prowadzących do korytarza i spróbował je otworzyć. Wrócił do Haighta, po czym obaj zeszli z tarasu i zniknęli za prawym węglem domu, gdzie znajduje się pokój Lily. Wówczas nieznajomy odwrócił się i podszedł do nas.

— Jestem sierżant Schwartz z policji w St. Louis. Pan to chyba Nero Wolfe.

Wolfe skinął głową.

— Zgadza się, a to pan Archie Goodwin. Dlaczego pan stoi? Proszę usiąść.

— Bardzo dziękuję. Miło mi, panie Goodwin.

Jednak nie usiadł i tylko rozglądał się dookoła. Po kilku minutach tamci dwaj wrócili z lewej strony, okrążywszy dom. Haight podszedł do mnie i spytał:

— Gdzie jest pani Rowan?

Przecząco pokręciłem głową.

— Mnie wypuszczono za kaucją. Nic nie powiem.

— Ty gnojku, gdzie jest Wade Worthy?!

Położyłem sobie palec na ustach.

— Ja mogę mówić, panie Haight — odezwał się Wolfe. — Lubię jednak rozmawiać na jednym poziomie, skoro więc chce pan ze mną pomówić, musi pan usiąść.

— Gdzie jest Wade Worthy?

— Usiądźcie, panowie, albo odejdźcie. To nie potrwa długo. Carla Yaegera *alias* Wade'a Worthy'ego tutaj nie ma.

— Gdzie on jest?

— Proszę usiąść albo odejść.

Sierżant Schwartz podszedł do fotela naprzeciwko Wolfe'a, usiadł i grzecznie spytał:

— Panie Wolfe, gdzie jest Carl Yaeger?

— Nie wiem. Powinienem był wspomnieć, że oczekiwaliśmy pana, panie Schwartz. Przypuszczam, że poznał pan Saula Panzera, którego wysłałem do St. Louis. Rozmawiając z nim wczoraj wieczorem przez telefon, dowiedziałem się, że pan przyjeżdża.

Schwartz skinął głową.

— Mówił mi o tym. A więc nie wie pan, gdzie jest Carl Yaeger?

— Nie.

— Kiedy pan go widział po raz ostatni?

— Około... — Wolfe urwał ze względu na hałas, jaki robili Haight i Welch, przysuwając sobie fotele. Kiedy usiedli, powiedział: — Około czterech godzin temu. Jednak...

— Nie ma go w środku? — spytał Haight.

— Nie. Już mówiłem...

— To dlaczego drzwi są zamknięte na klucz, jeśli wy tu siedzicie?

— Żebyście nie mogli tam wejść. Wewnątrz nikogo nie ma. Klucze są w kieszeni pana Goodwina. Woleliśmy, żeby panowie nie wchodzili do domu pani Rowan w czasie jej nieobecności. Mam dla pana ważną wiadomość, panie Haight, dotyczącą Wade'a Worthy'ego, ale proszę mi nie przerywać. W przeciwnym razie pan jej nie usłyszysz.

— Chcę tylko się dowiedzieć, gdzie on jest.

— Dojdę i do tego, lecz zacznę od początku. Dziewiętnaście dni temu, dwudziestego piątego lipca, we czwartek, Philip Brodell...

— Gwiżdżę na Brodella! Chcę...

— Milczeć.

Trzeba usłyszeć ten szczególny ton głosu Wolfe'a, żeby zdać sobie sprawę z jego brzmienia. Nie wiem, jak on to robi. Nawet nie powiedział tego tak głośno jak Haight, ale natychmiast go uciszył.

— Albo będzie pan spokojnie słuchał, albo niczego się pan nie dowie — rzekł Wolfe. — Tamtego dnia Philip Brodell wybrał się rano na samotny spacer, żeby popatrzeć sobie na potok, jak powiedział Sam Peacock. Kiedy znalazł się nad potokiem, ruszył w dół jego biegu i dotarł aż do tego domu... albo też Wade Worthy szedł z domu w górę potoku. To jednak nieistotne. Najważniejsze, że zobaczywszy Worthy'ego, Brodell rozpoznał w nim Carla Yaegera i że Worthy od razu się tego domyślił. Może zamienili parę słów, ale to także nieistotne. Brodell wrócił ze spaceru, zjadł obiad i uciał sobie drzemkę. Dlaczego natychmiast nie zadzwonił do St. Louis z wiadomością, że widział Carla Yaegera, pozostanie jednym z wielu pytań, na które nikt nigdy nie odpowie, ponieważ zarówno Brodell, jak i Peacock nie żyją. Kiedy o trzeciej Brodell szedł na Głuszcowe Wzgórze, by zbierać tam jagody, spotkał Sama Peacocka i powiedział mu, że rano widział mordercę. Co dokładnie...

— Niczego pan nie udowodni! — przerwał mu Haight i, przybierając pozę Wyatta Earpa. — Peacock nie żyje. Nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co on mówi, i nikt nie uwierzy!

Wolfe gwałtownie odwrócił głowę w jego stronę.

— Panie Haight, należy pan do ludzi, którzy muszą krzykiem przekonywać o swoich racjach. Gdyby miał pan choć trochę oleju w głowie, to by pan zrozumiał, że jestem gotów odkryć wszystkie swoje karty i że póki ich pan nie zobaczy, należałoby powstrzymać się od komentarzy... Co dokładnie Brodell powiedział Peacockowi w tamto czwartkowe popołudnie, to tylko domniemanie, tak samo jak wiele innych szczegółów... na przykład sposób, w jaki Worthy'emu udało się zobaczyć, że Brodell wychodzi, a później iść za nim na Głuszcowe Wzgórze, podczas gdy sam nie został zauważony przez Peacocka. Fakty jednak ustalono. Ustalono, że Brodell powiedział Peacockowi wystarczająco dużo, by ten, znalazłszy

jego martwe ciało z dwiema ranami od kul, zaczął podejrzewać Wade'a Worthy'ego. Ustalenia te może potwierdzić prokurator okręgowy, pan Jessup. Informacje na ten temat uzyskano od pewnej młodej kobiety, która obecnie, na jego polecenie, przebywa w areszcie domowym. Nie podam...

— Gdzie?! Jak ona się nazywa?!

— Proszę o to zapytać pana Jessupa. Nie podam panu żadnych szczegółów na jej temat, niech pan jego zapyta. Powiem tylko, że jedyną rzeczą, której nic ustalono, jest sposób, w jaki Sam Peacock próbował wykorzystać swoje informacje... lub podejrzenia. Najprostszym i najbardziej oczywistym wyjaśnieniem byłby szantaż, ale ta młoda kobieta temu zaprzecza. Są też inne możliwości. Jeżeli to było tylko podejrzenie, to może on okazał się na tyle lekkomyślny, że przed ujawnieniem próbował sam wszystko sprawdzić. Mógł też żywić niechęć do pana Greve'a i nie chciał mu pomóc. *À propos*, gdyby mnie zapytano, czy żywię niechęć do pana, to odpowiem, że tak. Normalne śledztwo w sprawie śmierci Philipa Brodella, prowadzone przez kompetentną osobę, obejmowałyby intensywne przesłuchania Sama Peacocka, a wówczas pan Goodwin najprawdopodobniej już dawno by stąd wyjechał, mnie zaś nigdy by tu nie było.

Wolfe uniósł rękę, odwracając dłoń.

— Lecz stało się inaczej. Co do Peacocka, bez względu na to, jaki miał cel, to jednak go nie osiągnął. Albo sam zaaranżował to spotkanie z Worthym w sobotę wieczorem, albo zgodził się na nie przyjść. W każdym razie zginął. Nawiasem mówiąc, niewykluczone, że to Worthy zaproponował spotkanie w tym samochodzie albo koło niego. Przyjechał nim i wiedział, że to miejsce było ciemne i odosobnione.

— Mówi pan, że on zabił dwóch mężczyzn — odezwał się Schwartz.

Wolfe skinął głową.

— I naturalnie to nie jest dobra wiadomość dla pana. Prawdopodobnie Montana nie zgodzi się oddać go Missouri.

— Chyba że Montana już go ma albo złapie. Twierdzi pan, że jego tu nie ma, ale przecież widział go pan przed czterema godzinami.

— Owszem. Jadłem z nim śniadanie. Miałem pewien osobisty problem. Wiedziałem, że pan przyleci, uda się do szeryfa i razem tu przyjedziecie. Od sześciu dni wspólnie z panem Worthym korzystaliśmy z gościnności pani Rowan, a pan Goodwin przebywał z nim znacznie dłużej. Oczywiście byłoby nie do pomyślenia narażać ją na to, by cierpiała z powodu upokorzeń związanych z aresztowaniem jednego z jej gości pod zarzutem morderstwa i wyprowadzeniem go w kajdankach. Nie ona, lecz my byliśmy za to odpowiedzialni, bo myśmy go wykryli: pan Goodwin i ja. Należało użyć jakiegoś wybiegu, i tak też zrobiłem. Podczas śniadania przy stole, gdzie siedział również Worthy, oświadczyłem nie wymieniając jego nazwiska, że człowiek przebywający obecnie w Montanie został zidentyfikowany na podstawie zdjęcia jako Carl Yaeger, domniemany morderca, poszukiwany w St. Louis, i że przyjedzie tu po niego policjant. Następnie zaproponowałem pani Rowan i pozostałym dwu paniom, z których jedna jest jej gościem, druga zaś służącą, żeby poszły na ryby, co uczyniły. Nie chciałem, żeby ona tu była, kiedy wy przyjedziecie.

Wszyscy trzej patrzyli na niego zdziwieni.

— A gdzie jest Worthy? — odezwał się Haight.

— Nie wiem. Wyszedłem z domu z panem Goodwinem, żeby sobie porozmawiać, a kiedy po krótkim czasie wróciliśmy, już go nie było. Przypuszczalnie wyszedł tylnymi drzwiami i przedostał się na drugi brzeg potoku...

— Ach ty grubasie... To ty wyjdiesz stąd w kajdankach! I Goodwin!

— Nie, proszę pana. Mam pewną propozycję. Pan Goodwin otworzy drzwi, a pan wejdzie i zadzwoni do biura pana Jessupa. Pozwolił mi na to, docenia bowiem nasz wkład, pana Goodwina i mój. Na jego życzenie dziś o godzinie dziewiątej rano funkcjonariusze policji

stanowej znaleźli się na posterunkach w odpowiednich miejscach... Nie wiem, ilu ich jest, ale z pewnością wystarczająco dużo, by Carl Yaeger *alias* Wade Worthy daleko nie zaszedł. Niewątpliwie został już zatrzymany i prawdopodobnie przewieziony do koszar policji, jeśli takowe są w Montanie. Może też być w biurze pana Jessupa.. Proponuję, żeby pan tam zadzwonił.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tego rodzaju relacje winny kończyć się pomyślnie, lecz ta nie może, choć nie ma to nic wspólnego z morderstwem ani pstrągami. Yaeger–Worthy wylądował w biurze Jessupa cały i zdrowy, odwieziony tam przez policję stanową, a wędkarki wróciły tuż po trzeciej z osiemnastoma pstrągami czterech odmian, w tym siedmioma tęczowymi, co dla całej piątki, mimo że wśród nas był Nero Wolfe, okazało się aż nadto.

Smutna sprawa, jaka pozostała mi do zrelacjonowania, to zadanie, które jeszcze mnie czekało: powiedzieć Lily, że z tą książką musi znowu wszystko zaczynać od samego początku, czyli znaleźć innego pisarza, który rozpocznie od szkicu. Straszne. Ponieważ perspektywa trudnego zadania jest bardziej nieznośna niż jego wykonanie, postanowiłem tego nie odkładać. Kiedy skończyły się zachwyty nad pstrągami, które następnie przekazano Wolfe'owi, i panie poszły się przebrać, cichutko zapukałem do drzwi łączących mój pokój z sypialnią Lily. Usłyszawszy „proszę” wszedłem. Siedziała w fotelu przy oknie, grzebieniem rozczesując włosy.

— Mam dla ciebie wiadomości — powiedziałem — ale zarówno dobre, jak i złe. Z jednej strony...

A guzik! Niby dlaczego miałbym wam sprawiać przykrość? Niech to się skończy pomyślnie. Harvey Greve został wypuszczony na wolność, tak że zdążył pożegnać się z Wolfem i mną, kiedy rano odjeżdżaliśmy do Heleny.